

 GALAKTYKA GUTENBERGA

EDGAR RICE BURROUGHS



Powrót do epoki kamienia
PELLUCIDAR V

EDGAR RICE BURROUGHS

POWRÓT DO EPOKI kamienia

Pellucidar (tom 5)

(Back to the Stone Age)

Przełożyła: Lucyna Targosz



2018

Spis treści

Karta tytułowa

PIEKŁO NA ZIEMI

STUDNIA GROZY

JEDYNA NADZIEJA

SKRUF Z BASTI

W NIEWOLE

LA-JA

UCIECZKA NIEWOLNIKÓW

LAS ŚMIERCI

KOSTNICE

GORBUSI

TUCZONY NA RZEŻ

LUDZIE-MAMUTY

PORWANIE

„GIŃ!”

PAN MŁODY

STARY BIAŁAS

MAŁY KANION

LUDZIE-BIZONY

KRU

RYCZĄCA HORDA

PORZUCONY

GAZ

PIEKŁO NA ZIEMI

Niezmiennie południowe słońce Pellucidaru spoglądało na scenę, jakiej od niezliczonych wieków nie oglądała zewnętrzna ziemską skorupa, na scenę, jaka dzisiaj może się wydarzyć tylko w wewnętrznym ziemskim świecie.

Setki szablatozębnych tygrysów zaganiały nieprzeliczone stada roślinożerców na polanę w olbrzymim lesie; obserwowali to dwaj biali mężczyźni z zewnętrznej skorupy, dwaj biali mężczyźni i grupka czarnych wojowników z dalekiej Afryki.

Mężczyźni przybyli tutaj wraz z innymi w wielkim sterowcu przez otwór w biegunie północnym Ziemi na gorącą prośbę Jasona Gridleya; lecz tę historię już opowiedziano.

To opowieść o tym, który zaginął.

– To się wydaje niemożliwe – wykrzyknął Gridley – że pięćset mil pod naszymi stopami auta mkną zatłoczonymi ulicami, przy których stoją ogromne budynki; że telegraf, telefon i radio są tak powszechne, że nikogo nie dziwią; że nieprzeliczone tysiące osób przez całe swoje życie ani razu

nie musiało dobyć broni w samoobronie; zaś my w tym samym czasie patrzymy na szablastozębne tygrysy w krajobrazie, jaki na zewnętrznej skorupie nie istnieje od milionów lat.

– Patrzcie tylko! – zawołał von Horst. – Patrzcie, co już zapędziły na tę polanę! A nadciąga ich więcej.

Były tam wielkie, kudłate, podobne do wołów stworzenia o szeroko rozstawionych rogach. Były ogromne leniwce i jelenie. Mastodonty i mamuty oraz potężne słoniowate stworzenie – przypominało słonia, a jednak na pewno nim nie było. Jego olbrzymi łeb był szeroki na trzy stopy i długi na cztery. Miało krótką, silną trąbę, z dolnej szczęki wyrastały potężne ciosy, wygięte ku dołowi, a ich ostre końce odginały się w górę, ku cielsku. W kłębie miało co najmniej dziesięć stóp wysokości, tułów był długi na dwadzieścia stóp. Małe świńskie uszka wydatnie zmniejszały podobieństwo do słonia.

Dwaj biali mężczyźni na chwilę zapomnieli o tygrysach z tyłu, zdumieni widokiem, jaki się im ukazał; zatrzymali się i zapatrzyli z podziwem na tłum stworzeń na polanie. Ale szybko się okazało, że jeśli chcą ująć z życiem, to muszą dotrzeć do drzew, zanim dopadną ich szablastozębne tygrysy albo stratuja przerażeni roślinożercy, już szukający drogi ucieczki.

– Wciąż mamy jedną możliwość, bwana – powiedział Muviro, czarny wódz Waziri.

– Musimy ją wykorzystać – oznajmił Gridley. – Wszystkie zwierzęta kierują się teraz ku nam. Poślijmy im salwę, a potem biegiem ku drzewom. Jeśli zaatakują, każdy będzie się ratować na własną rękę.

Po salwie na moment zawróciły, ale kiedy zobaczyły za sobą wielkie koty, ponownie zmieniły kierunek i ruszyły ku mężczyznom.

– Zbliżają się! – wykrzyknął von Horst.

I pognali ku drzewom, bo tylko tam mogli się schronić.

Gridleya zwałił z nóg wielki leniwiec; podniósł się w samą porę, żeby uskoczyć z drogi uciekającemu mastodontowi i dotrzeć do drzewa, które opłynęła masa uciekających zwierząt. Chwilę później, tymczasowo bezpieczny wśród gałęzi, rozejrzał się za towarzyszami, ale żadnego nie dostrzegł; poza tym żadna tak mizerna jak człowiek istota nie mogła pozostać przy życiu pod zwartą masą uciekających, przerażonych zwierząt. Był pewny, że część jego towarzyszy bezpiecznie dotarła do lasu; ale obawiał się o von Horsta, który biegł za Waziri. Lecz porucznik Wilhelm von Horst uciekł. A nawet udało mu się wbiec kawałeczek w głąb lasu bez konieczności wspinania się na drzewo. Skręcił w prawo od uciekających zwierząt, które po dotarciu do lasu skierowały się w lewo. Słyszał ich tętent z oddali, kiedy pędziły trąbiąc i kwicząc, chrząkając i rycząc.

Zasapany i niemal wykończony, usiadł u stóp drzewa, żeby złapać oddech i odpocząć. Był bardzo zmęczony i tylko na chwilę zamknął oczy. Słońce stało w zenicie. Kiedy otworzył oczy, słońce nadal stało w zenicie. Zdawał sobie sprawę, że zasnął, ale pomyślał, że tylko przez chwilę. Nie wiedział, że spał długo. Któż może wiedzieć, jak długo? Bo jak można zmierzyć czas w świecie bez czasu, gdzie słońce zawsze stoi nieruchomo w zenicie?

Las był dziwnie cichy. Nie słyszał już trąbienia i kwików roślinożerców, czy warczenia i parskania kotów. Krzyknął głośno, żeby przyciągnąć uwagę przyjaciół, ale nie było żadnej odpowiedzi. Potem wyruszył na ich poszukiwanie, obierając, jak mu się zdawało, drogę wprost do głównego obozu, gdzie przycumowano sterowiec – wiedział, że z pewnością tam pójdą. Ale zamiast na północ, jak powinien, poszedł na zachód.

Może i dobrze, że tak zrobił, bo usłyszał głosy. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Zbliżali się ludzie. Słyszał ich wyraźnie, ale nie mógł

rozpoznać, jakim językiem mówili. Mogli być przyjaźni; ale wątpił w to w tym barbarzyńskim świecie. Zszedł ze ścieżki i ukrył się za kępą krzaków; chwilę później ukazali się ludzie. Byli to Muviro i jego wojownicy. Rozmawiali w narzeczu swojego afrykańskiego szczepu. Von Horst, ujrzawszy ich, wyszedł na ścieżkę. Ucieszyli się na jego widok tak samo jak on. Byliby szczęśliwi, gdyby znaleźli Gridleya – ale nie odnaleźli go, choć długo szukali.

Muviro, podobnie jak von Horst, nie miał pojęcia, gdzie są ani w jakim kierunku jest obóz. On i jego wojownicy byli bardzo przygnębieni, że – będąc Waziri – zgubili się w lesie. Kiedy porównali dane, okazało się, że po rozdzieleniu się każdy zatoczył wielki krąg w przeciwnym kierunku. Jedynie dzięki temu natrafili na siebie, skoro każdy się upierał, że ani razu nie zawrócił po swoich śladach.

Waziri nie spali i byli bardzo zmęczeni. Za to von Horst był wypoczęty. Toteż, kiedy znaleźli jaskinię, w której mogli się wszyscy schronić, Waziri weszli w głąb, gdzie było ciemno i zasnęli, a von Horst usiadł na ziemi w wejściu do groty i próbował coś zaplanować. Kiedy tak cicho siedział, przeszedł wielki dzik – von Horst, wiedząc, że będzie im potrzebne mięso, wstał i poszedł za nim. Zwierzę zniknęło za zakrętem ścieżki. Lecz choć sądził, że jest tuż za zwierzem, zupełnie stracił je z oczu. Poza tym była tam taka płatanina ścieżek, że raz dwa wszystko zaczęło mu się mylić i zawrócił ku jaskini.

Przeszedł spory kawałek drogi, zanim do niego dotarło, że się zgubił. Głośno wołał Muviro, ale nie było żadnej odpowiedzi. Zatrzymał się i starał się zorientować, w jakim kierunku powinna być jaskinia. Odruchowo spojrzął na słońce, jakby mogło mu pomóc. Stało w zenicie. Jak ma wyznaczyć kurs, skoro nie było tu gwiazd, a tylko słońce, niezmiennie

wiszące nad głową? Zaklął pod nosem i znowu pomaszerował. Mógł jedynie zrobić co w jego mocy.

Szedł, jak mu się zdawało, długo, ale wciąż było południe. Często odruchowo popatrywał na słońce – słońce, które nie pozwalało ustalić kursu ani nie dawało wskazówek co do upływu czasu. Wreszcie poczuł nienawiść do złotej kuli, która zdawała się z niego drwić. Las i dżungla tętniły życiem. Było mnóstwo owoców, kwiatów i orzechów. Nigdy by mu nie zabrakło pożywienia, gdyby wiedział, co może zjeść, a czego nie powinien. Był bardzo głodny i spragniony i to ostatnie najbardziej go martwiło. Miał pistolet i mnóstwo amunicji. W tej obfitującej w zwierzynę krainie zawsze zaopatrzy się w mięso, ale musi mieć wodę. Parł naprzód. Teraz przede wszystkim szukał wody, a nie towarzyszy czy obozu. Zaczynał cierpieć z braku wody, znowu stał się bardzo zmęczony i śpiący. Ustrzelił dużego gryzonia i napił się jego krwi; potem rozpałił ogień i upiekł mięso. Pod miejscami zwęgloną skórą było tylko na wpół upieczone. Porucznik Wilhelm von Horst był człowiekiem przyzwyczajonym do smakowitej strawy, odpowiednio przygotowanej i podanej, ale wgryzł się w swoje niedopieczone mięsiwo niczym wygłodniały wilk i uznał, że jeszcze żadna potrawa nie była taka smakowita. Nie wiedział, jak długo nie jadł. Znowu się przespał – tym razem na drzewie; bo wśród listowia dżungli mignęła mu jakaś bestia, mająca wielkie kły i pałające ślepia.

Kiedy się obudził, znowu nie miał pojęcia jak długo spał; dobrze wypoczął, co wskazywało, że trwało to długo. Pomyślał, że w świecie pozbawionym czasu człowiek mógłby spać dzień albo i tydzień. Jak można by to było ustalić? Ta myśl go zaintrygowała. Zaczął się zastanawiać, ile czasu spędził z dala od sterowca. Samo to, że nic nie pił od kiedy stracił z oczu towarzyszy, wskazywało, że mógł to być jedynie dzień lub dwa; chociaż teraz bardzo cierpiał z pragnienia. Mógł myśleć jedynie o wodzie.

Zaczął jej szukać. Musi mieć wodę! Jeśli jej nie znajdzie, to umrze – umrze, samotny w tym okropnym lesie i żaden człowiek nie będzie wiedział, gdzie padł. Von Horst był zwierzęciem społecznym i taka możliwość wydała mu się odrażająca. Nie bał się śmierci; ale to byłby całkowicie bezsensowny kres – a on był bardzo młody, miał dwadzieścia parę lat.

Szedł ścieżką wydeptaną przez zwierzęta. Było ich mnóstwo – krzyżowały się w całym lesie. Niektóre musiały prowadzić do wody; ale które? Wybrał tę, którą szedł, bo była szersza i wyraźniejsza od innych. Chodziło nią wiele zwierząt i to pewnie od bardzo dawna, bo była głęboko wydeptana; a von Horst uznał, że więcej zwierząt wybrałoby szlak prowadzący do wody niż jakiś inny. Miał rację. Kiedy dotarł do niewielkiej rzeczki wykrzyknął z radości, podbiegł do niej i padł na brzeg. Pił chciwie. Może powinno mu to być zaszkodzić, ale nie zaszkodziło. To była czysta, mała rzeczka, płynąca wśród głazów, o żwirowym dnie; prawdziwa perełka, niosąca lasom i nizinom świeżość, chłód i piękno gór, w których się zrodziła. Von Horst zanurzył twarz w wodzie, zamoczył gołe ramiona, nabrał jej w stulone dłonie i polał głowę; upajał się nią. Jeszcze nigdy nie doświadczył czegoś tak cudownego. Wszelkie kłopoty zniknęły. Teraz wszystko będzie jak trzeba – miał wodę! Był bezpieczny!

Podniósł wzrok. Na drugim brzegu rzeczki przycupnęło stworzenie, jakiego nie było w żadnej książce; którego szkieletu nie było w żadnym muzeum. Przypominało gigantycznego uskrzydłonego kangura o gadzim łbie; szczęki były długie, z mnóstwem zębów, podobnie jak u pterodaktyla. Bacznie się przyglądało von Horstowi; zimne, gadzie, pozbawione powiek oczy wpatrywały się w niego bez wyrazu. W tym nieruchomym spojrzeniu było coś niesłychanie groźnego. Człowiek zaczął się powoli podnosić; paskudztwo nagle ożyło. Z syczącym wrzaskiem jednym potężnym susem przeskoczyło rzeczkę. Von Horst odwrócił się, żeby uciec, jednocześnie

sięgnął po pistolet; ale zanim zdążył go dobyć i uciec, stwór skoczył na niego i powalił go na ziemię. Potem chwycił w szponiaste łapy, podniósł i przyjrzał mu się. Siedział wyprostowany na szerokim ogonie – miał w tej pozycji jakieś piętnaście stóp wysokości – a z bliska jego szczęki wydawały się dostatecznie wielkie, żeby pochłonąć gapiącego się na nie ze zgrozą człowieczka. Von Horst uznał, że już po nim. Był całkiem bezbronny w tych potężnych szponach, unieruchamiających mu prawą rękę. Stworzenie najwyraźniej pożerało go oczami, zastanawiając się, gdzie uszczknąć pierwszy gryz – a przynajmniej tak się von Horstowi wydawało.

Tam, gdzie strumień przecinał ścieżkę, w sklepieniu z liści był prześwit, przez który nieustannie stojące w zenicie słońce słało promienie na szemrzącą wodę, zieloną murawę, monstrualną istotę i jej drobną zdobycz. Gad – o ile stwór nim był – podniósł zimne spojrzenie ku prześwitowi, potem skoczył wysoko w powietrze, rozpościerając skrzydła i ciężko wzbił się w górę.

Von Horst zdrętwiał z przerażenia. Przypomniawszy sobie czytane niegdyś opowieści o wielkim ptaku z zewnętrznej skorupy, który unosił w powietrze swoją zdobycz i potem zabijał ją, rzucając na ziemię. Zastanawiał się, czy taki będzie jego los i dziękował Stwórcy, że tak niewielu będzie go oplakiwać – nie zostawi bez opieki ani żony ani dzieci; żadna ukochana nie będzie cierpieć, tęskniąc za wybrankiem, który nigdy nie wróci.

Teraz byli ponad lasem. Dziwaczny, pozbawiony horyzontu krajobraz rozpościerał się we wszystkich kierunkach, stopniowo niknąc w oddali, poza zasięgiem ludzkiego wzroku. Za lasem, w kierunku lotu stworzenia, leżała otwarta przestrzeń, wzgórze i góry. Von Horst widział rzeki i jeziora oraz w mglistej dali coś, co wyglądało na wielką masę wody – śródlądowe morze lub wielki, nieznany ocean; w którą by stronę nie spojrział, wszędzie leżało tajemnicze nieznanne.

W sytuacji, w jakiej się znalazł, podziwianie widoków nie było najważniejszą sprawą; no ale i tak nic już nie miało znaczenia. Stwór nagle cofnął jedną łapę. Von Horst pomyślał, że go rzuci, że nadszedł kres. Wyszeptał modlitwę. Stwór uniósł go o parę stóp, a potem opuścił w ciemny, woniejący worek, który trzymał w drugiej łapie. Kiedy go puścił, von Horst znalazł się w całkowitej ciemności. Przez chwilę nie wiedział, co się dzieje; potem go oświeciło, że jest w torbie lęgowej torbacza. Było tu gorąco i duszno. Miał wrażenie, że się udusi, a gadzi odór był niemal nie do zniesienia. Kiedy już nie mógł tego znieść, podciągnął się ku górze i wytknął głowę z otworu torby.

Stwór leciał teraz poziomo i von Horst mógł patrzeć tylko na to, co było bezpośrednio pod nim. Wciąż znajdowali się nad lasem. Listowie, przypominające skłębione szmaragdowe chmury, wyglądało na kusząco miękkie. Von Horst się zastanawiał, czemu i dokąd stwór niesie go żywego. Bez wątpienia do jakiegoś gniazda czy legowiska, gdzie stanie się pożywieniem miotu młodych paskudztw. Dotknął pistoletu; jak łatwo byłoby strzelić w to ciepłe, pulsujące cielsko – ale co by mu to dało? Oznaczałoby niemal pewną śmierć – prawdopodobnie w męczarniach, bo gdyby nie zginął od razu, to odniósłby ciężkie rany. Odrzucił ten pomysł.

Stworzenie leciało zadziwiająco szybko jak na swoje rozmiary. Las zniknął z oczu i teraz mknęli nad upstrzoną drzewami równiną, na której widać było mnóstwo pasących się lub odpoczywających zwierząt. Były tam wielkie jelenie, leniwce, olbrzymie pierwotne bydło o kosmatej sierści; a w pobliżu kęp bambusów, rosnących wzdłuż rzeki, widać było stado mamutów. Były tam i inne zwierzęta, których von Horst nie potrafił nazwać. Lecieli teraz nad niskimi wzgórzami, zostawiając za sobą równinę, a potem nad nierówną, wulkaniczną krainą jałowych, czarnych, stożkowatych wzgórz. Pomiędzy stożkami i na dolnych partiach ich stoków

kłębiła się tropikalna zieleń Pellucidaru. Nic nie rośło tylko tam, gdzie żaden korzeń nie mógł się wczepić. Uwagę von Horsta przyciągnęła szczególna cecha tych stożków – na szczycie wielu z nich był otwór, nadający im wygląd miniaturowych wygasłych wulkanów. Miały od stu do kilkuset stóp wysokości. Kiedy się im przyglądał, jego porywacz zaczął kołować nad jednym z większych stożków, a potem gwałtownie opadł w ziejący krater, lądując na dnie w snopie światła wiszącego wiecznie w zenicie słońca.

Kiedy stwór wywlókł go z torby, von Horst początkowo niewiele widział z wnętrza krateru; lecz kiedy wzrok mu się raz dwa dostosował do półmroku, zobaczył coś wyglądającego na truchła wielu zwierząt i ludzi, leżące wielkim kręgiem na obrzeżu pustego stożka, głowami na zewnątrz od środka. Krąg nie był zamknięty – ziała w nim kilkujardowa przerwa. Pomiedzy głowami zwłok a ścianą stożka złożono pewną ilość kul koloru kości słoniowej, mających jakieś dwie stopy średnicy.

Wszystko to von Horst dojrzał przelotnie, potem uniesiono go w powietrze. Stwór go podniósł, plecami do siebie, aż ich głowy znalazły się na jednym poziomie. Potem człowiek poczuł ostry ból w karku, u podstawy czaszki. Krótki ból i chwilowe mdłości, a potem nagły zanik czucia. Jakby umarł od szyi w dół. Wiedział, że jest niesiony ku ścianie stożka i układany na podłodze. Wciąż widział; kiedy spróbował poruszyć głowę, przekonał się, że może to zrobić. Patrzył, jak stwór, który go tu przyniósł, skacze w górę, rozpościera skrzydła i ciężko odlatuje od wylotu krateru.

STUDNIA GROZY

Von Horst, leżąc w ciemnej jaskini śmierci, rozmyślał nad swoim położeniem, żałując, że nie umarł, kiedy miał okazję i moc samozniszczenia. Teraz był bezradny. Coraz bardziej przerażała go groza tej sytuacji i wreszcie zaczął się bać, że oszaleje. Spróbował poruszyć ręką, lecz wydawało się, że nie ma rąk. Nie czuł ich; ani żadnej innej części ciała poniżej szyi. Wydawał się sobie głową leżącą na ziemi, świadomą lecz bezradną. Przekręcił głowę na bok. Umieszczono go na końcu rzędu ciał, po jednej stronie ziejącej w kręgu przerwy. Po przeciwległej stronie luki leżało ciało człowieka. Przekręcił głowę w drugą stronę i zobaczył, że leży w pobliżu ciała innego człowieka. Potem jego uwagę przykuły trzaski i stuki, dobiegające z przeciwnej strony. Znowu przekręcił głowę, żeby zobaczyć, co żyło w tej hali umarłych. Jego wzrok przyciągnęła jedna z kul barwy kości słoniowej, leżąca niemak dokładnie za ciałem po przeciwległej stronie luki. Kula się kołysała. Dźwięki zdawały się dochodzić z jej wnętrza. Stały się głośniejsze, bardziej natarczywe. Kula podskoczyła i

przetoczyła się. Potem pojawiło się w niej pęknięcie, dziura o nierównym obrysie i wysunęła się głowa. Miniatura paskudnego łba stwora, który go tu przyniósł. Wyjaśniła się tajemnica kul – były jajami wielkiego workowatego gada. Ale te ciała?

Von Horst, zafascynowany, patrzył jak paskudny stworek wydobywa się z jaja. Na koniec, wyswobodzony, spadł na dno krateru, gdzie jakiś czas leżał nieruchomo, jakby odpoczywał po wysiłku. Potem zaczął ostrożnie poruszać kończynami, wypróbować je. Podniósł się na cztery łapy, potem usiadł na ogonie i rozpostarł skrzydła. Przez chwilę nimi machał – początkowo słabo, potem energicznie. Wreszcie rzucił się na skorupę swojego jaja i pożarł ją. Kiedy ją pochłonał, bez wahania zwrócił się ku ciału człowieka po drugiej stronie luki. Kiedy się ku niemu zbliżał, von Horst z przerażeniem zobaczył, że głowa obraca się ku stworkowi; oczy były szeroko otwarte ze zgrozy. Stworek z gromkim syczącym rykiem wskoczył na leżącego i natychmiast dał się słyszeć przeszywający krzyk człowieka, którego von Horst uważał za nieżywego. Pełne przerażenia oczy, spięte mięśnie twarzy świadczyły o wysiłkach mózgu, usiłującego pokierować sparaliżowanymi ośrodkami nerwowymi, próbującego zmusić je do zareagowania na pragnienie ucieczki. Tak widoczny był wysiłek zerwania niewidzialnych krępujących go więzów, iż zdawało się, że musi mu się to udać, ale paraliż był zbyt kompletny, żeby go pokonać.

Paskudny pisklak zaczął pożerać ciało; i chociaż ofiara pewnie nie czuła bólu, to krzyki i jęki niosły się echem we wnętrzu stożka grozy, aż inne stworzenia, które bez wątpienia czekał taki sam los, nie dołączyły swoich głosów do mrożącej krew w żyłach kakofonii przerażenia. Von Horst po raz pierwszy sobie uświadomił, że wszystkie te stworzenia były żywe, sparaliżowane tak jak on. Zamknął oczy, odcinając się od straszliwego

widoku; lecz nie mógł zatkać uszu, żeby nie słyszeć okropnego, szarpiącego duszę zgiełku.

Odwrócił głowę od pozywającego się gada, ku człowiekowi leżącemu po jego prawej i otworzył oczy. Ujrzał, że tamten nie dołączył do przerażającego chóru i przygląda mu się spokojnym, oceniającym wzrokiem. Był to młody mężczyzna z gęstą, czarną jak węgiel czupryną, pięknymi oczami i regularnymi rysami. Sprawiał wrażenie silnego i pełnego godności, co spodobało się von Horstowi; zrobiło też na nim dobre wrażenie to, że młody człowiek nie przyłączył się do hysterii, jaka ogarnęła przerażonych współtowarzyszy. Młody porucznik uśmiechnął się do niego i skinął głową. Tamten na moment trochę się zdziwił, a potem i on się uśmiechnął. Odezwał się do von Horsta w niezrozumiałym dla Europejczyka języku.

– Wybacz, ale cię nie rozumiem – powiedział von Horst.

Wtedy z kolei tamten potrząsnął głową na znak, że też nie rozumie.

Żaden nie rozumiał języka drugiego, ale uśmiechnęli się do siebie i łączyło ich oczekiwanie na taki sam los. Von Horst poczuł, że już nie jest osamotniony; niemal miał wrażenie, że znalazł przyjaciela. To wątłe poczucie braterstwa miało wielkie znaczenie; nawet w tak beznadziejnej sytuacji. A biorąc pod uwagę wcześniejsze uczucia, porucznik był niemal zadowolony.

Kiedy ponownie spojrzął w stronę dopiero co wyklutego stworka, po ciele ofiary nie było już śladu, nie została nawet kość. Mały stworek, z wydętym brzuchem, wpełzł w okrągłą plamę słonecznego blasku pod wlotem krateru, zwinął się w kłębek i zasnął.

Ofiary znowu umilkły i leżały niczym martwe. Czas mijał; lecz von Horst nie miał pojęcia, ile go upłynęło. Nie chciało mu się ani jeść ani pić, co przypisywał paraliżowi. Co jakiś czas zasypiał. Raz obudził go łopot

skrzydeł; spojrział i zobaczył, jak paskudny pisklak wyfruwa przez wylot krateru z tego siedliska grozy, w którym się wylągl.

Po pewnym czasie pojawił się dorosły stwór z kolejną ofiarą, antylopą. I wtedy von Horst zobaczył, jak sparaliżował i jego i pozostałe ofiary. Gad, trzymając antylopę na wysokości paszczy, ukłuł ją w kark u podstawy czaszki ostrym jak igła końcem języka; potem ułożył bezradne stworzenie po lewej stronie von Horsta.

W tej pozbawionej czasu pustce żywej śmierci nie było jak się przekonać, czy istnieje jakaś regularność wydarzeń. Pisklaki wylaziły ze skorupki, zjadały je, pożerały unieruchomioną ofiarę (zawsze na przeciwnym końcu luki po lewej von Horsta), spały i odlatywały, żeby już nigdy nie wrócić. Dorosły gad zjawiał się z nowymi ofiarami, paraliżował je i układał na bliższym von Horstowi skraju luki i odlatywał. Luka miarowo przesuwiała się w lewo; von Horst uświadomił sobie, że tak oto pełźnie ku niemu nieunikniony los.

Czasami wymieniał uśmiechy z mężczyzną po swojej prawej, niekiedy każdy z nich coś mówił w swoim języku. Sam dźwięk głosów, wymawiających słowa, których ten drugi nie mógł zrozumieć, dodawał otuchy. Von Horst żałował, że nie mogą rozmawiać; o ileż lżejsza stałaby się samotność! Tamten musiał myśleć o tym samym, bo to on jako pierwszy dał temu wyraz i pokonał przeszkodę, uniemożliwiającą cieszenie się – co prawda wymuszonym – sąsiedztwem. Kiedy porucznik znowu na niego spojrział, mężczyzna powiedział „Dangar” i starał się wskazać na siebie, opuszczając ku sobie wzrok i pochylając brodę ku piersi. Powtórzył to kilka razy.

Von Horst wreszcie uznał, że zrozumiał, w czym rzecz.

– Dangar? – zapytał, kiwając głową ku mężczyźnie.

Tamten uśmiechnął się, kiwnął głową i wypowiedział słowo, najwyraźniej będące w jego języku potwierdzeniem. Wtedy von Horst kilka razy wymówił swoje imię, wskazując na siebie tak, jak zrobił to Dangar. Taki był początek. Potem pochłonęło ich to na dobre. Nie zajmowali się niczym innym, żadnego to nie męczyło. Niekiedy spali; lecz teraz, zamiast zasypiać kiedy któregoś morzył sen, czekali póki i drugi nie zrobił się senny. Dzięki temu mogli godziny czuwania poświęcać nowemu i fascynującemu zajęciu – nauce porozumiewania się.

Dangar uczył von Horsta swojego języka; a ponieważ porucznik już opanował cztery czy pięć języków z górnego świata, łatwiej mu przychodziła nauka kolejnego, nawet tak odmiennego od już znanych. W normalnych okolicznościach byłby to powolny proces, pozornie wręcz niemożliwy. Ale silna motywacja i fakt, że nic ich nie rozpraszało (pomijając wykluwanie się i żerowanie pisklaków) sprawiały, że czynili zadziwiająco szybkie postępy. A przynajmniej tak się wydawało von Horstowi, póki sobie nie uświadomił, że w tym pozbawionym czasu świecie od jego uwięzienia mogły upłynąć tygodnie, miesiące, a nawet lata ziemskiego czasu.

Wreszcie mogli w miarę swobodnie rozmawiać. Lecz kiedy oni się uczyli, nieunikniony los był coraz bliżej. Dangara dosięgnie najpierw. Potem przyjdzie kolej von Horsta.

Porucznik bardziej się obawiał kresu Dangara niż własnego, bo znowu byłby sam – nie miałby czym zająć czasu i myśli, jak tylko czekającym go, nieuniknionym i strasznym losem, nasłuchiwanym trzeszczenia skorupki, która uwolni okropną śmierć.

Na koniec pomiędzy Dangarem a luką zostały tylko trzy ofiary. To już długo nie potrwa.

– Z przykrością cię opuszczę – rzekł Pellucidarczyk.

– Niezbyt długo będę sam – przypomniał mu von Horst.

– Nie. Lepiej umrzeć niż trwać tutaj, daleko od własnego kraju. Chciałbym, żebyśmy przeżyli. Wtedy mógłbym cię zabrać do Sari. To piękna kraina wzgórz, drzew i żyznych dolin. Jest tam mnóstwo zwierzyny, a w pobliżu znajduje się wielkie Lural Az. Byłem tam na wyspie Anoroc, gdzie Ja jest królem. Spodobałoby ci się Sari. Tamtejsze dziewczęta są bardzo piękne. Jedna z nich na mnie czeka, ale nigdy do niej nie wrócę. Będzie rozpaczać, ale – westchnął – wreszcie się z tym pogodzi i zostanie żoną innego.

– Chętnie poszedłbym do Sari – powiedział von Horst; nagle szeroko otworzył oczy, zdumiony. – Dangar! Dangar! – wykrzyknął.

– Co się stało? – zapytał Pellucidarczyk. – Co się stało?

– Czuję palce! Mogę nimi poruszyć! – zawołał von Horst. – Palcami stóp też!

– To niemożliwe, Horst! – wykrzyknął z niedowierzaniem Dangar.

– Ale tak jest! Tak jest! Odrobinę, ale mogę nimi poruszyć.

– Jak to wyjaśnisz? Ja nic nie czuję poniżej szyi.

– Pewnie zanika działanie trucizny. Może paraliż całkiem ustąpi.

Dangar potrząsnął głową.

– Od kiedy tu jestem nigdy nie widziałem, żeby cofnął się paraliż ofiary, którą Trodon ukłuł swoim jadowitym jęczorem. A nawet jeśli ustąpi? Co ci to da?

– Uważam, że tak – powiedział powoli von Horst. – Od kiedy mnie tu uwięziono miałem mnóstwo czasu, żeby marzyć, planować i wyobrażać sobie. Często marzyłem, że ten paraliż się cofnie i o tym, co wtedy zrobię. Wszystko sobie zaplanowałem.

– Pomiędzy tobą a śmiercią jest tylko troje – przypomniał mu Dangar.

– Tak, wiem. Wszystko zależy od tego, jak szybko ustąpi.

– Życzę ci powodzenia, Von, chociaż się o tym nie dowiem, bo już mnie tu nie będzie: od śmierci dzieli mnie tylko dwoje. Luka się przybliża.

Od tej chwili von Horst skoncentrował wszystkie siły i możliwości na przezwyciężeniu paraliżu. Czuł, jak jego kończyny stopniowo wracają do życia; chociaż nadal mógł poruszyć tylko palcami, a i to odrobinę.

Wyklął się kolejny Trodon i pomiędzy Dangarem a śmiercią zostało tylko jedno stworzenie; a po Dangarze przyjdzie kolej na niego. Kiedy paskuda zbudziła się ze snu w słonecznej plamie i wyleciała przez otwór krateru, von Horstowi udało się poruszyć dłońmi i nadgarstkami; stopy też były wolne od paraliżu – ale jak powoli, jak okropnie powoli odzyskiwał władzę nad ciałem. Czy Los okaże się tak okrutny, że najpierw da mu nadzieję, a potem ją odbierze niemal w chwili spełnienia? Oblał się zimnym potem, ważąc swoje szanse – były takie nikłe.

Gdybyż tylko mógł odmierzyć przerwy pomiędzy pękaniem jaj i w ten sposób w przybliżeniu ustalić, ile mu jeszcze zostało czasu. Był prawie pewien, że jaja muszą pękać w dość regularnych odstępach, chociaż nie mógł tego ustalić. Miał zegarek, który już dawno stanął; i tak nie mógł unieść ramienia, żeby na niego spojrzeć.

Paraliż powoli ustępował, uwalniając łokcie i kolana. Mógł nimi poruszać, a poniżej nich ręce i nogi były w normie. Wiedział, że po upływie odpowiedniego czasu znowu odzyskałby całkowitą władzę nad mięśniami.

Kiedy tak wytrzymał siły, żeby zerwać krępujące go niewidzialne więzy, pękło kolejne jajo. I wkrótce po prawej Dangara nie było już nikogo – będzie następny.

– Po tobie, Dangarze, przyjdzie moja kolej. Sądzę, że wcześniej paraliż ustąpi, ale chciałbym cię ocalić.

– Dziękuję, przyjacielu – odparł Pellucidarczyk – ale jestem gotowy umrzeć. Wolę to niż żyć tak jak teraz: jako głowa przyczepiona do martwego ciała.

– Jestem pewien, że nie musiałbyś długo tak trwać – powiedział von Horst. – Z tego, co czuję, wynika, że trucizna w końcu przestaje działać. Zwykle jest jej tyle, że unieruchamia ofiarę, przeznaczoną na żer dla pisklaków na o wiele dłużej niż naprawdę trzeba.

– Rozmawiajmy o innych sprawach – powiedział Dangar. – Nie będę żywym umarlakiem, a żywienie innych nadziei jedynie zwodzi i czyni bardziej gorzkim nieuchronny koniec.

– Jak sobie życzysz – odparł von Horst, wzruszając ramionami – ale nie zabronisz mi myśleć i próbować.

Rozmawiali więc o Sari i o krainie Amoz, z której przybyła Dian Piękna, a także o Krainie Straszliwego Cienia i Nieprzyjaznych Wyspach na Sojar Az; bo von Horst zrozumiał, że Dangar z przyjemnością wspomina te miłe dla niego miejsca. Chociaż kiedy Sarianin opisywał grasujące tam bestie i dzikich ludzi, to porucznik myślał sobie, że jako miejsce zamieszkania pozostawiają wiele do życzenia.

Kiedy tak rozmawiali, von Horst stwierdził, że może poruszyć barkami i biodrami. Odzyskał władzę nad wszystkimi mięśniami. Już miał powiedzieć o tym Dangarowi, gdy obaj usłyszeli trzask pękającej skorupki.

– Żegnaj, przyjacielu – powiedział Dangar. – My, Pellucidarczycy, nawiązujemy nieliczne przyjaźnie z osobami spoza naszych własnych plemion. Wszyscy inni to wrogowie, których należy zabić albo samemu zginać. Rad jestem, że mogę cię nazywać przyjacielem. Widzisz, oto nadchodzi kres.

Ostatnio wykluty Trodon już pochłonął skorupkę jaja i łypał na Dangara. Jeszcze chwila i rzuci się na niego. Von Horst wyęczał siły, żeby

wstać, ale jeszcze coś mu na to nie pozwalało. Gad rozdziawił paszczę i ruszył ku swojej ofierze.

JEDYNA NADZIEJA

Von Horst znowu usiłował wstać; i tym razem mu się nie udało. Oblał się zimnym potem. Miał ochotę kląć i krzyczeć, ale milczał. Dangar też milczał. Nie krzyczał, jak inne ofiary, kiedy zbliżała się ku nim śmierć. Teraz podkradała się ku niemu – coraz to bliżej. Von Horst uniósł się na lewym łokciu; opadł na ziemię, ale spróbował dosięgnąć pistoletu – przedtem mu się to nie udało. Tym razem się powiodło. Zacisnął palce na rękojeści. Wyciągnął broń z kabury. I znowu z wysiłkiem podparł się na łokciu. Kiedy strzelił, Trodon niemal doczłapał do Dangara. Paskuda wydała przenikliwy wrzask i skoczyła wysoko w górę; przez chwilę daremnie machała skrzydłami, a potem ciężko runęła na dno studni, martwa.

Dangar popatrzył na von Horsta z zadziwieniem i wdzięcznością.

– Uczyniłeś to i dziękuję ci, ale co to da? Jak zdołamy uciec z tej studni? Nawet gdyby istniał jakiś sposób, to nie mógłbym z niego skorzystać, skoro nie potrafię nawet ruszyć palcem.

– To się okaże – odparł von Horst. – Kiedy paraliż ustąpi, znajdziemy na to sposób, jak ja teraz znalazłem. Jaką przed chwilą miałeś szansę uciec Trodonowi? Żadną: a przecież żyjesz, a gad jest martwy. Kimże jesteś, by twierdzić, że nie można dokonać niemożliwego?

– Masz rację – przyznał Dangar. – Już nigdy w ciebie nie zwątpię.

– Teraz trzeba zyskać na czasie! – wykrzyknął von Horst.

Podniósł Dangara, przeniósł i położył obok ostatniej ofiary, przyniesionej przez dorosłego Trodona. Położył się obok niego i stwierdził:

– Kolejny pisklak nie zajmie się żadnym z nas, bo pójdzie ku tamtej krawędzi luki.

– Co będzie, kiedy dorosły przyniesie następny łup? – zapytał Dangar. – Nie zauważysz, że leżymy gdzie indziej? Jest też martwe młode; jak wedle ciebie na to zareaguje?

– Uważam, że Trodon nas w ogóle nie zauważy – odrzekł von Horst. – A jeśli nawet, to jestem na to przygotowany. Wciąż mam pistolet i mnóstwo amunicji. Co do martwego pisklaka, to natychmiast się go pozbędę. Możemy go wykorzystać.

Wstał i przeciągnął martwe młode na skraj studni, ukrywając je za kilkoma jajami. Dokładnie je obejrzał, dotykając skóry. Najwyraźniej zadowolony, wyciągnął nóż myśliwski i zaczął ściągać skórę z pisklaka.

Pracował szybko, ale dokładnie; całą uwagę poświęcał swojemu zadaniu, toteż trochę się zdziwił, kiedy coś na chwilę przesłoniło wpadający do krateru słoneczny blask. Podniósł wzrok i zobaczył Trodona wracającego z kolejną ofiarą. Natychmiast przylgnął do ściany studni, za kilkoma jajami, które w tym celu odpowiednio ułożył; jednocześnie wyciągnął pistolet.

Ponad jedno z jaj wystawał tylko czubek głowy porucznika i zimna, czarna lufa jego broni; obserwował, jak niczego niepodejrzewający gad

kładzie nową ofiarę przy Dangarze. Tak jak przypuszczał, stwór nie zwrócił uwagi na Pellucidarczyka. Chwilę potem wyleciał przez otwór na poszukiwanie nowej ofiary.

Von Horst dokończył skórowanie pisklaka. Potem przeciągnął go tam, gdzie przedtem leżał Dangar.

Sarianin się roześmiał.

– Sprytny sposób pozbycia się padliny, o ile zadziała.

– Uważam, że się uda – powiedział von Horst. – Te bezmózgie małe paskudztwa na początku kierują się instynktem. Zawsze idą w to samo miejsce na pierwszy posiłek i założę się, że zjedzą wszystko, co tam znajdą.

– A co zrobisz ze skórą?

– Poczekaj, a zobaczysz. To najważniejsza część mojego planu ucieczki. Przyznaję, że dość zwariowanego planu; ale tylko to udało mi się wymyślić, no i ma szansę się powieść. Teraz muszę wracać do roboty.

Von Horst, zaczynając od zewnętrznego brzegu, ukształtował ze skóry pas. Zabrało mu to sporo czasu; a kiedy skończył robotę, trzeba było przyciąć nierówne zewnętrzne brzegi cięcia i zdrapać wewnętrzną powierzchnię długiego, płaskiego pasa. Kiedy porucznik przybliżoną metodą mierzył długość pasa, wyklął się kolejny Trodon.

– Sześćdziesiąt sześć, sześćdziesiąt siedem, sześćdziesiąt osiem – liczył von Horst, obserwując, jak pisklak pożera skorupkę swojego jaja. – To ponad dwieście stóp. Powinno wystarczyć z zapasem.

Trodon pochłonął skorupkę i podszedł do oskórowanego truchła swojego brata. Von Horst i Dangar patrzyli z zainteresowaniem, jak – bez chwili wahania – gad rzucił się na truchło i pożarł je.

Kiedy odleciał, von Horst podszedł i położył się obok Dangara.

– Miałeś rację – powiedział ten ostatni. – W ogóle się nie zorientował.

– Myślę, że są tak mało inteligentne, że kieruje nimi głównie instynkt; nawet dorosłymi. To dlatego stary nie zauważył, że mnie nie ma, a ty leżysz w innym miejscu. Jeśli mam rację, to mój plan będzie miał większe szanse. Czujesz się choć trochę inaczej, Dangarze? Czujesz, że twoje kończyny wracają do życia?

Sarianin potrząsnął głową.

– Nie – odparł ponuro. – Obawiam się, że to się nigdy nie stanie i nie rozumiem, jak ty ozdrowiałeś. To wciąż daje mi nadzieję. Potrafisz to wyjaśnić?

– Nie wiem. Mam teorię. Zauważyłeś, że wszystkie ofiary Trodona to zwierzęta o cienkiej skórze. To mogłoby oznaczać, że ostry czubek języka, którym wstrzykuje truciznę, może przebić tylko cienką skórę lub wkłuć się płytko. Kiedy skórowałem pisklaka, zdjąłem skórzaną kurtkę i obejrzałem ją – stwierdziłem, że język Trodona, zanim wkłuł się w moje ciało, przebił dwie warstwy skóry i tkaniny w tyle kołnierza. Popatrz, to okrągły zielony znak, otaczający nakłucie. Może część trucizny się starła, a może żądło nie wkłuło się dość głęboko. Tak czy owak jestem pewien, że bez względu na to, ile trucizny dostanie ofiara (pomijając oczywiście śmiertelną dawkę), to i tak paraliż się cofnie. Z pewnością dostałeś większą dawkę ode mnie, ale byłeś tu dłużej niż ja, toteż już niedługo powinieneś poczuć oznaki powrotu do zdrowia.

– Wraca mi nadzieja – powiedział Dangar.

– Wkrótce trzeba będzie coś zrobić – stwierdził porucznik. – Paraliż ustąpił i moje ciało działa normalnie, zaczynam czuć głód i pragnienie. Muszę wypróbować mój plan zanim zrobię się na to za słaby.

– Tak – powiedział Dangar. – Wydostań się, jeśli możesz. Mną się nie przejmuj.

– Zabiorę cię ze sobą.

– Ale to będzie niemożliwe, nawet jeśli sam się wydostaniesz przez ten otwór; w co wątpię.

– Tak czy inaczej cię zabiorę. Sam nie pójdę.

– Nie – sprzeciwił się Dangar. – To byłoby szaleństwo. Nie pozwolę na to.

– Jak zamierzasz temu zapobiec? – zaśmiał się von Horst. – Zdam się na mnie. Plan i tak może się nie powieść. Ale zamierzam od razu wprowadzić go w czyn.

Przeszedł na drugą stronę studni i wyjął skórzany pas zza jaj, za którymi go schował. Na jednym końcu zrobił pętlę. Ułożył ją na spągu, w pobliżu miejsca gdzie dorosły Trodon położy kolejną ofiarę. Starannie przeciągnął pas do kryjówki za jajami, zostawił tam zwój, a resztę zaniósł pod wylot krateru, ale obok słonecznej plamy. Starannie zwinął tutaj resztę pasa, żeby się nie zaplątała. Potem usiadł wygodnie i czekał.

Ma się rozumieć nie wiedział, jak długo czekał, ale wydawało mu się, że całą wieczność. Nękały go głód i pragnienie oraz zwątpienie i lęk, czy plan się powiedzie. Starał się nie zasnąć, bo teraz mogłoby się to tragicznie skończyć; ale z pewnością musiał drzemać.

Obudził się gwałtownie i zobaczył wielkiego Trodona, kucającego w jaskrawym snopie słonecznych promieni, wstrzykującego paraliżującą truciznę w kark kolejnej ofiary. Von Horst nagle poczuł się bardzo słaby. Niewiele brakowało. Jeszcze chwila i byłoby za późno na przetestowanie planu. Wątpił, czy dotrwałby do następnego powrotu gada. Wszystko zależało od udanej pierwszej próby – jego życie i Dangara. Pospiesznie się wziął się w garść. Znowu był chłodny, opanowany. Poluzował pistolet w kaburze i mocno chwycił pas.

Trodon przeszedł przez studnię, niosąc sparaliżowaną ofiarę na jej miejsce w śmiertelnym kręgu. Postawił wielką tylną łapę w luźnej pętli.

Von Horst potrząsnął leżącą liną, podciągając pętlę ponad kostkę stwora, potem energicznie szarpnął. Pętla trochę się ściągnęła. Wystarczy? Wytrzyma? Tak jak się spodziewał, stwór nie zwrócił uwagi na linę. Zdawało się, że w ogóle jej nie czuje i von Horst był przekonany, że naprawdę tak jest. Układ nerwowy gada działał tak beznadziejnie, że dopiero mocny cios w nogę posłałby sygnał do mózgu.

Gad położył najnowszą ofiarę i odwrócił się ku środkowi studni; skoczył w górę i pofrunął. Von Horst wstrzymał oddech. Czy pętla się poluzuje? Nie daj Boże, ale wytrzymała. Porucznik się poderwał, pobiegł na środek studni, trzymając pistolet w gotowości. Kiedy Trodon wyleciał z krateru i znalazł się poza szczytem wzgórza, von Horst strzelił trzy razy.

Nie potrzebował okropnych wrzasków stwora, żeby wiedzieć, że trafił – bo zobaczył, jak wielki gad się przechyla i znika z pola widzenia za obrębem krateru. Von Horst skoczył ku końcowi liny, złapał go, zebrał się w sobie i czekał.

Istniało niebezpieczeństwo, że truchło stwora, staczając się po stromym zboczu stożkowego wzgórza, zatrzyma się dopiero wtedy, kiedy mu wyrwie linę z rąk, toteż pospiesznie się nią owinął i zamocował ją. Mógłby zginać, ale nie puści liny, nie zaprzepaści ostatniej szansy ucieczki z tej studni. Przez chwilę zwój liny szybko się rozwijał, potem przestał. Albo cielsko Trodona znieruchomiało, albo pętla zsunęła mu się z łapy. Jedno czy drugie?

Von Horst lękliwie pociągnął za linę. Wkrótce się naprężyła – wiedział, że wciąż jest przywiązana do gada. Zaniepokoił się nieco, czy Trodon został zabity czy nie. Wiedział, jak żywotne potrafią być takie stwory. Załóżmy, że żyje? Mogłoby to mieć fatalne skutki.

Porucznik szarpnął liną. Nie puściła. Uwiesił się na niej całym ciężarem. Nie drgnęła. Wczepiony w jej luźny koniec podszedł do Dangara,

przypatrującego mu się wielkimi ze zdziwienia oczami.

– Powinieneś być Sarianinem – powiedział z podziwem Dangar.

Von Horst się uśmiechnął.

– Chodź. Teraz ty.

Pochylił się i podniósł Pellucidarczyka z ziemi; zaniósł go na środek studni, pod wlot krateru, a potem opasał go pod ramionami wolnym końcem liny.

– Co chcesz zrobić? – zapytał Dangar.

– Teraz mam zamiar uczynić wewnętrzny świat trochę bezpieczniejszym dla istot o cienkiej skórze – odparł von Horst.

Poszedł na obrzeże studni i kolbą pistoletu zaczął rozbijać jaja. W dwóch, najbliższych końca inkubacji, znalazł młode. Zniszczył je. Potem wrócił do Dangara.

– Niechętnie zostawiam te stworzenia – rzekł, wskazując nieszczęsne ofiary – ale nie ma innego wyjścia. Nie mogę ich wszystkich stąd wydostać.

– Będziesz mieć szczęście, jeśli sam się wydostaniesz – stwierdził Dangar.

Von Horst się uśmiechnął.

– My będziemy mieli szczęście – odparł – ale to nasz szczęśliwy dzień – w języku wewnętrznego świata, gdzie nie ma dni ani nocy, brak słowa „dzień”, więc von Horst zastąpił je słowem z jednego z języków zewnętrznego świata. – Cierpliwości, a wkrótce będziesz na zewnątrz.

Chwycił linę i zaczął się po niej wspinać, ręka za ręką. Dangar leżał na plecach, przyglądając mu się z podziwem. To była długa, niebezpieczna wspinaczka, ale na koniec von Horst dotarł do wylotu krateru. Wydostał się i spojrzał w dół – cielsko Trodona leżało niedaleko, na niewielkiej półce. Gad bez wątpienia był martwy. Tylko o tym chciał się przekonać, toteż od

razu się zabrał do kolejnej roboty – do podciągania Dangara do wylotu krateru.

Von Horst był silnym mężczyzną, ale już mocno nadwyrężył siły, bez wątpienia podkopane długim paralizem. Trudno też było utrzymać równowagę na stromym obrzeżu wylotu krateru; jednak ani na chwilę nie zwątpił w powodzenie swojej akcji. Praca postępowała powoli, ale na koniec nieruchome ciało Pellucidarczyka znalazło się na szczycie obok porucznika.

Chętnie by teraz odpoczął, ale krótki pobyt na Pellucidarze nauczył go, że na takim odsłoniętym szczycie wzgórza nie było bezpiecznie. Musiał zejść na dół, gdzie widział parę drzew i strumień, zabrać ze sobą Dangara i poszukać kryjówki. Stok był bardzo stromy, ale na szczęście przecinały go wąskie półki, na których przynajmniej można było postawić stopę. Tak czy inaczej, nie było innej możliwości zejścia. Von Horst podniósł Dangara, przerzucił go sobie przez muskularne ramię i zaczął niebezpieczne zejście. Ślizgając się i potykając szedł powoli w dół stromego wzgórza; nieustannie wypatrywał niebezpieczeństwa. Czasami się przewracał, ale zawsze udawało mu się nie spaść.

Kiedy się wreszcie znalazł w cieniu kępy drzew, rosnących obok strumyka, które widział ze szczytu wzgórza, był wykończony. Ułożył Dangara na trawie i nasycił pragnienie czystą wodą strumyka. Pił drugi raz od opuszczenia obozu, gdzie zakotwiczone wielki sterowiec O-220. Nie miał pojęcia, ile mogło upłynąć czasu – z pewnością wiele dni, może tygodni a nawet miesięcy. Lecz przez większość tego czasu specyficzna trucizna Trodona nie tylko go paraliżowała, ale i utrzymywała nawodnienie jego organizmu – żeby był świeżym pożywieniem dla niewyklutych jeszcze pisklaków, mających go pożreć.

Orzeźwiony i silniejszy, wstał i rozejrzał się. Musi znaleźć miejsce na w miarę stałe obozowisko, bo przecież nie da rady stale nosić Dangara. Czuł się bezradny, samotny w tym nieznanym świecie. W którą stronę miałby pójść, gdyby mógł to zrobić? Jak może liczyć na to, że odnajdzie O-220 i towarzyszy w krainie, gdzie nie było stron świata? A nawet gdyby były, to słabo się orientował w jaką stronę się przedtem kierował, a już w ogóle nie miał pojęcia, jaką drogą niósł go Trodon?

Jak tylko minie działanie trucizny i paraliż Dangara ustąpi, to zyska nie tylko zdrowego przyjaciela i towarzysza, ale i kogoś, kto go zaprowadzi do krainy, gdzie z pewnością czeka go przyjazne powitanie, gdzie będzie mógł znaleźć sobie miejsce w tym prymitywnym świecie, w którym – jak zaczynał wierzyć – przyjdzie mu spędzić resztę życia. Lecz nie tylko ta myśl kazała mu zostać przy Sarianinie, a raczej lojalność i przyjaźń.

Uważnie przepatrzył zagajnik i jego sąsiedztwo i uznał, że to równie dobre miejsce na obóz jak każde inne. Była tu świeża woda i przekonał się, że w okolicy jest sporo zwierzyny. Na niektórych drzewach rosły owoce i orzechy, a Dangar zapewnił go, że można je jeść.

– Zamierzasz tu zostać? – zapytał Sarianin.

– Tak, póki nie ustąpią u ciebie skutki trucizny.

– Mogę nigdy nie wyzdrowieć. I co wtedy?

Von Horst wzruszył ramionami.

– No to wtedy sobie tu posiedzę – zaśmiał się.

– Nie oczekiwałbym tego nawet od brata – sprzeciwił się Dangar. – Musisz wyruszyć na poszukiwanie swoich.

– Mógłbym ich nie znaleźć. A gdybym mógł, to nie zostawiłbym cię tu samego i bezbronnego.

– Nie musiałbyś mnie zostawiać bezbronnego.

– Nie rozumiem.

– Zabiłbyś mnie, ma się rozumieć. To byłby akt miłosierdzia.

– Wybij to sobie z głowy – warknął von Horst; sama myśl o tym budziła w nim odrazę.

– Żaden z nas nie może sobie tego wybić z głowy – upierał się Dangar.

– Musisz mnie zabić, jeśli nie wyzdrowieję po rozsądnej liczbie spań.

Użył jedynej znanej mu miary czasu – spania. Nie miał jak określić, ile czasu upływało pomiędzy spaniami i jak długo za każdym razem spał.

– To sprawa przyszłości – stwierdził krótko von Horst. – Teraz obchodzi mnie tylko przygotowanie obozowiska. Masz jakieś wskazówki?

– Najbezpieczniej jest w jaskiniach na stokach klifów – odparł Dangar.

– Za nimi idą dziury w ziemi, a potem podest lub schronienie zbudowane w gałęziach drzewa.

– Nie ma tu klifów – powiedział von Horst. – Nie widzę też żadnych dziur w ziemi, ale są drzewa.

– To lepiej zabieraj się za budowanie – poradził Dangar – bo na Pellucidarze jest wiele mięsożerców i zawsze są głodni.

Pod kierunkiem Sarianina von Horst zbudował platformę w gałęziach jednego z większych drzew, wykorzystując rosnące tu i tam nad strumykiem trzciny, podobne do bambusów. Ściął je swoim myśliwskim nożem i splótł długą, wytrzymałą trawą, której kępy Dangar widział u stóp wzgórza.

Potem dodał jeszcze ściany i dach, jako dodatkową ochronę przed mniejszymi nadrzewnymi mięsożercami, ptakami drapieżnymi i latającymi mięsożernymi gadami.

Nie miał pojęcia, ile mu zabrało zbudowanie schronienia, bo robota była absorbująca, a czas upływał prędko. Co jakiś czas jadł owoce i orzechy, kilka razy pił. Ale póki prawie nie ukończył schronienia, nie chciało mu się spać.

Z trudem, bojąc się, że spadnie, wniósł Dangara po prowizorycznej drabinie, którą zbudował, żeby mieć dostęp do prymitywnego domostwa. Lecz na koniec bezpiecznie go ułożył na podłodze malutkiego szałas. Potem wyciągnął się obok niego i niemal natychmiast zasnął.

SKRUF Z BASTI

Kiedy von Horst się obudził, był przeraźliwie głodny. Uniósł się na łokciu, a Dangar spojrzał na niego i uśmiechnął się.

– Długo spałeś, ale potrzebowałeś tego – powiedział.

– Bardzo długo? – zapytał von Horst.

– Ty spałeś raz, a ja dwa razy – odparł Dangar. – A teraz znowu jestem śpiący.

– A ja jestem głodny – rzekł von Horst. – Przeraźliwie głodny. Ale mam dość owoców i orzechów. Chcę mięsa, potrzebuję go.

– Myślę, że w dole strumienia znajdziesz mnóstwo zwierzyny – powiedział Dangar. – Kiedy mnie znosiłeś ze wzgórza, dostrzegłem tam, całkiem blisko, małą dolinę. Było tam wiele zwierząt.

Von Horst wstał.

– Pójdę i jakieś upoluję.

– Uważaj – ostrzegł go Pellucidarczyk. – Jesteś obcy w tym świecie. Nie wiesz, które zwierzęta są groźne. Niektóre wyglądają na nieszkodliwe,

ale wcale takie nie są. Jelenie i thagi często atakują i mogłyby cię wziąć na rogi albo stratować na śmierć, chociaż nie jadają mięsa. Uważaj na samce wszystkich gatunków i samice z młodymi. Zawsze uważaj na ptaki i latające gady. Dobrze iść wśród drzew, bo cię przed nimi osłonią, no i będziesz miał się na co wspierać, żeby uciec przed innymi.

– Przynajmniej jedno mi nie zagraża – stwierdził von Horst.

– Co? – zapytał Dangar.

– Na Pellucidarze nigdy nie umrę z nudów.

– Nie rozumiem. Nie wiem co to *nuda*.

– Żaden Pellucidarczyk nigdy jej nie pozna – zaśmiał się von Horst i zszedł na ziemię.

Zgodnie ze wskazówkami Dangara poszedł w dół strumienia, ku dolince, którą zauważył Sarianin; starał się trzymać tak blisko drzew, jak to było możliwe i uważał na drapieżne zwierzęta, ptaki i gady, zawsze polujące na mniejsze stworzenia.

Nie uszedł daleko, kiedy dotarł do górnego krańca doliny i zobaczył wspaniałego kozła antylopy: stał sam, jakby trzymał straż. Był doskonałym celem dla fuzji, ale odległość była za duża, żeby ryzykować strzał z pistoletu. Von Horst podkrał się bliżej, kryjąc się w kępach wysokich traw, podobnych do bambusów trzcin i wśród drzew. Ostrożnie zbliżał się do zwierzęcia, chcąc mieć pewność, że położy je pierwszym strzałem. Wciąż miał pełen pas naboju, ale wiedział, że nigdy już nie uzupełni; toteż każdy nabój musiał zrobić swoje.

Całą uwagę skupił na kozle i na chwilę odpuścił sobie wypatrywanie zagrożenia. Podkrał się powoli, aż znalazł się tuż za wysokimi trawami, rosnącymi parę kroków od wciąż nic niepokojącego zwierzęcia. Uniósł pistolet, żeby dokładnie wycelować i wtedy przesunął się po nim cień. Ulotny cień, ale w jaskrawym słońcu Pellucidaru zdawał się mieć

swoją wagę. Jakby ciężka dłoń dotknęła ramienia porucznika. Spojrzał w górę i zobaczył ohydny stwora, spadającego niczym kula wprost na niego – potężnego gada, w którym podświadomie rozpoznał pteranodona z kredy. Stwór – wydając gromki syk, niczym lokomotywa buchająca parą – pikował ze zdumiewającą szybkością. Von Horst odruchowo uniósł pistolet, chociaż wiedział, że tylko cud mógłby powstrzymać lub zawrócić tę straszliwą niszczącą maszynę, zanim trafi w cel. A potem się zorientował, że to nie on był tym celem, a kozioł. Antylopa stała przez chwilę jak sparaliżowana strachem, potem uskoczyła – ale za późno. Pteranodon spadł na nią, chwycił w potężne szpony i znowu wzbił się w powietrze.

Von Horst odetchnął z ulgą i otarł pot z czoła.

– Co za świat! – mruknął, zastanawiając się, jak człowiek przetrwał w takim bezlitosnym środowisku.

Głębiej w dolince dostrzegł wiele pasących się zwierząt. Były tam jelenie i antylopy i wielki kudłaty jak, od dawna wymarły w zewnętrznym świecie. Wśród nich były też małe, podobne do koni stworzenia, nie większe od foksterierów, przypominające Hyracotherium z eocenu, wczesnych przodków koni; kolejny element zadziwiającej mieszaniny ptaków, ssaków i gadów z rozmaitych er ewolucji życia w zewnętrznym świecie.

Nagły atak pteranodona na jedno z nich wystraszył zwierzęta najbliżej antylopy; uciekały pędem z dolinki, prychając, kwicząc i wierzgając. Von Horst patrzył, jak umyka wiele pysznych obiadów. Jeśli chciał mięsa, to nie miał wyboru – musiał za nimi pójść. No i ruszył za nimi, trzymając się drzew nad strumykiem, wijącym się jedną stroną dolinki. Na dodatek zwierzęta, które zapoczątkowały ucieczkę, wpadły na stada pasące się poniżej nich i zaraziły je swoim lękiem – a one się do nich przyłączyły. I wkrótce wszystkie zniknęły z oczu.

Większość z nich pobiegła w głąb doliny i zniknęły von Horstowi z oczu tam, gdzie dolina zakręcała za wzgórze. Lecz zobaczył, że parę dużych owiec wbiega w kanion pomiędzy dwoma pobliskimi stożkami i postanowił je ścigać. Kiedy wszedł do kanionu, stwierdził, że zżęza się on gwałtownie – najwyraźniej wymyła go woda, odsłaniając spękaną lawę z wcześniejszej erupcji. Wąski szlak biegł pomiędzy niektórymi blokami, bezładnie rozrzuconych całymi setkami.

Owce biegły bardzo szybko i ponieważ znacznie go wyprzedziły, to wiedział, że muszą już być poza zasięgiem słuchu; toteż nie zachowywał ostrożności i prędko szedł szlakiem wijącym się pomiędzy skałami. Na koniec znalazł się w miejscu, gdzie szlak docierał do szerszego fragmentu kanionu i już miał tam wejść, kiedy usłyszał tupot bosych stóp, biegnących ku niemu z niewidocznej, górnej części kanionu. Potem – z tego samego kierunku – usłyszał niepokojące warczenie i prychnięcie. Na tyle już poznał Pellucidar i jego krwiożerczą faunę, że był pewien, iż praktycznie wszystko co żyje należy uważać za potencjalne zagrożenie. Toteż pospiesznie uskoczył za wielki kawał lawy i czekał.

Ledwo się zdążył schować, kiedy z góry wąwozu nadbiegł mężczyzna. Von Horst miał wrażenie, że przybysz jest szybki niczym jeleń. I całe szczęście, bo za nim pojawił się autor dzikich warknięć i prychnięć, które porucznik słyszał – wielka, podobna do psa bestia, o rozmiarach lamparta, i równie dzika. Chociaż mężczyzna był szybki, to zwierzę go doganiało. Von Horst nie wątpił, że bestia dopadnie i powali ofiarę, zanim ta przetnie otwarty teren.

Chłopak był uzbrojony tylko w kamienny nóż, który trzymał w dłoni, jakby postanowił walczyć o życie, kiedy już nie będzie mógł uciekać. Lecz musiał sobie zdawać sprawę (podobnie jak von Horst) jak marną obroną przed ścigającym go zwierzem będzie ten kamienny nóż.

Porucznik nie miał wątpliwości, co powinien zrobić. Nie będzie stać beczynnienie i patrzeć, jak kły Hyaenodona rozdzierają na strzępy człowieka. Wyszedł zza skały, skrywającej go tak przed człowiekiem jak i zwierzęciem. Pospiesznie skoczył tam, gdzie mógł mieć czysty strzał, uniósł pistolet, wycelował i strzelił. To nie był strzał na chybił trafił, to był strzał idealny. Trafił bestię w lewą część piersi i dotarł do serca. Drapieżnik ryknął z bólu i wściekłości i skoczył na von Horsta; potem padł martwy u jego stóp.

Chłopak, którego zwierz ścigał, zatrzymał się; był zasapany, niemal bez sił. Stał drżący i przerażony, wpatrując się w von Horsta z podziwem i zdumieniem. A kiedy ten obrócił się ku niemu, mocniej uchwycił nóż.

– Odejdź! – warknął. – Ja zabić!

Mówił tym samym językiem, którego von Horst nauczył się od Dangara (jak wyjaśnił porucznikowi, był to język wszystkich Pellucidarczyków; w co człowiek z zewnętrznego świata nie bardzo wierzył).

– Co ty zabić? – zapytał von Horst.

– Ty.

– Czemu chcesz mnie zabić?

– Żebyś ty mnie nie zabić.

– Czemuż miałbym cię zabić? – spytał von Horst. – Właśnie ocaliłem ci życie. Gdybym chciał, żebyś umarł, to bym cię zostawił tej bestii.

Tamten podrapał się w głowę.

– Faktycznie – przyznał po krótkim namyśle. – Ale i tak tego nie rozumiem. Nie jestem z twojego plemienia, dlatego nie ma powodu, żebyś nie chciał mnie zabić. Nigdy przedtem nie widziałem takiego człowieka jak ty. Wszyscy obcy, jakich spotkałem, próbowali mnie zabić. No i okrywasz ciało dziwacznymi skórami. Musisz pochodzić z dalekiej krainy.

– Na pewno – zapewnił go von Horst. – Ale teraz rzecz w tym, czy będziemy przyjaciółmi czy wrogami.

Tamten znowu się podrapał z namysłem pod szopą czarnych włosów.

– To bardzo dziwne – oznajmił. – Nigdy przedtem o czymś takim nie słyszałem. Czemu mielibyśmy być przyjaciółmi?

– A czemu mielibyśmy być wrogami? – odparował von Horst. – Żaden z nas nigdy nie skrzywdził drugiego. Ja jestem z bardzo dalekiej krainy, obcy w twoim świecie. Gdybyś się zjawił w moim kraju, byłbyś dobrze traktowany. Nikt by nie chciał cię zabić. Ofiarowano by ci schronienie i nakarmiono cię. Ludzie byliby dla ciebie uprzejmi, bo tacy już są, a nie dlatego, że mógłbyś się im na coś przydać. O wiele lepiej, żebyśmy byli przyjaciółmi, bo otaczają nas niebezpieczne bestie, a dwaj ludzie lepiej się obronią niż jeden człowiek. Jeśli jednak chcesz być moim wrogiem, to twój wybór. Pójdę w swoją stronę, a ty w swoją. Do ciebie należy decyzja, czy chcesz mnie zabić. Ale nie zapominaj, jak łatwo zabiłem to zwierzę. Równie łatwo mógłbym zabić ciebie.

– Prawdę powiadasz – rzekł tamten. – Będziemy przyjaciółmi. Jestem Skruf. A ty?

Z rozmów z Dangarem von Horst się zorientował, że każdy Pellucidarczyk, o których tamten wspominał, miał tylko jedno imię, do którego czasem dodawano przydomek: Kudłacz, Przebiegły, Zabójca czy inny. Ponieważ Sarianin zwykle nazywał go VON, uznał, że będzie to jego imię w wewnętrznym świecie; dlatego podał je Skrufowi.

– Co tutaj robisz? – zapytał Skruf. – To niedobra kraina przez Trodony.

– Przekonałem się o tym – odparł von Horst. – Przyniósł mnie tutaj jeden z nich.

Tamten popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Gdyby Trodon cię pochwycił, byłbyś martwy.

– Jeden mnie złapał i zaniósł do gniazda, na pokarm dla młodych. Ja i drugi mężczyzna uciekliśmy.

– Gdzie on jest?

– Przy rzece, w naszym obozie. Polowałem, kiedy cię spotkałem. Szedłem za owcami w górę tego kanionu. Co tu robiłeś?

– Uciekałem Ludziom Mamutom – odparł Skruf. – Paru z nich mnie pojmało. Prowadzili mnie do swojej krainy, żeby zrobić ze mnie niewolnika, ale im uciekłem. Ścigali mnie, ale kiedy dotarłem do tego kanionu, byłem bezpieczny. Miejscami jest za wąski dla mamuta.

– A co teraz zamierzasz?

– Zaczekać aż zrezygnują z pościgu i wrócić do mojej krainy.

Von Horst zaproponował, żeby Skruf poszedł do jego obozu i tam poczekał; potem wszyscy trzej mogliby iść razem, póki droga byłaby wspólna. Ale najpierw chciał upolować jakieś zwierzę. Skruf zaofiarował pomoc i dzięki jego znajomości zwierzyny wkrótce znaleźli owce i von Horst ustrzelił młodego tryka. Skruf był pod wrażeniem i dość wystraszony hukiem pistoletu i cudownym rezultatem, jaki von Horst dzięki temu uzyskał.

Oskórowali tryka, podzielili między siebie tuszę i ruszyli ku obozowi, do którego bez większych przeszkód dotarli. Raz zaatakował ich samiec thaga, ale wdrapali się na drzewo i zczekali, aż sobie poszedł. Innym razem przeciął im drogę szablatozębny, ale był najedzony i nie naprzykrzał się im. I tak przez niebezpieczną dziczą Pellucidaru dotarli do obozu.

Dangar był zachwycony, że von Horst bezpiecznie wrócił, bo wiedział, ile niebezpieczeństw czyha na myśliwego w tym bezlitosnym świecie. Bardzo się zdziwił, kiedy zobaczył Skrufa, ale kiedy poznał okoliczności, zgodził się uznać go za przyjaciela – chociaż było to sprzeczne z jego obyczajami (podobnie jak z obyczajami tamtego).

Struf pochodził z krainy zwanej Basti, leżącej mniej więcej w tej samej stronie co Sari, chociaż wiele bliżej. Postanowili więc, że wspólnie pójda do krainy Skrufa, jak tylko Dangar wyzdrowieje.

Von Horst nie mógł zrozumieć, skąd oni wiedzą, gdzie leżą ich krainy, skoro nie można było wyznaczyć stron świata; a oni nie potrafili mu tego wytłumaczyć. Po prostu wskazali ku swoim krainom; i wskazali mniej więcej w tym samym kierunku. Nie wiedzieli, jak daleko są od domu; ale porównując dane potrafili określić, że Sari leży dużo dalej niż Basti. Von Horst jeszcze nie odkrył, że obaj – podobnie jak wszyscy mieszkańcy Pellucidaru – mają dobrze rozwinięty instynkt orientacji (podobnie jak większość ptaków; a zwłaszcza gołębie pocztowe).

Nadchodziły i mijały pory snu, polowali, żeby uzupełnić zapasy; Skruf coraz bardziej się niecierpliwił. Chciał wrócić do swojej krainy, ale zdawał sobie sprawę, że razem będą bezpieczniejsi; i że dodatkową ochronę zapewni cudowna broń von Horsta, z taką łatwością zabijająca na sporą odległość. Często wypytywał Dangara, chcąc się przekonać, czy są jakieś zmiany w jego stanie zdrowia i nigdy nie próbował ukryć rozczarowania, kiedy Sarianin przyznawał, że dalej nic nie czuje poniżej szyi.

Pewnego razu, kiedy dalej niż zwykle poszli z von Horstem na łowy, Skruf powiedział, że chce już wracać do swojej krainy; i człowiek z zewnętrznego świata po raz pierwszy się dowiedział, co go tam tak ciągnie.

– Wybrałem partnerkę – wyjaśnił Skruf. – Ale zażądała łba taraga na dowód, że jestem odważnym mężczyzną i świetnym łowcą. Ludzie-mamuty pojмали mnie, kiedy polowałem na taraga. Dziewczyna wiele razy spała od kiedy odszedłem. Jeśli szybko nie wrócę, to jakiś inny wojownik może przynieść łeb taraga i położyć go przed wejściem do jej jaskini. A wtedy będę sobie musiał znaleźć nową pannę, która mnie zechce.

– Nie ma przeszkód, żebyś wrócił do swojej krainy kiedy tylko zechcesz – zapewnił go von Horst.

– Mógłbyś zabić taraga tym małym czymś, co robi taki hałas? – dopytywał się Skruf.

– Mógłbym.

Lecz von Horst nie był tego całkiem pewien; a przynajmniej nie miał pewności, że mógłby zabić któregoś z potężnych tygrysów na tyle szybko, żeby uniknąć śmierci w straszliwych kłach i pazurach zanim zwierzę padnie.

– Nasz dzisiejszy szlak prowadzi do mojej krainy – powiedział niepewnie Skruf. – Idźmy nim dalej.

– I zostawmy Dangara? – zapytał von Horst.

Skruf wzruszył ramionami.

– Nigdy nie wyzdrowieje. Nie możemy na stałe z nim zostać. Jeśli pójdiesz ze mną, to łatwo będziesz mógł zabić taraga tym czymś, co nazywasz pistoletem. Wtedy położę go przed wejściem do jaskini dziewczyny, a ona pomyśli, że to ja go zabiłem. W zamian się postaram, żeby plemię cię przyjęło. Nie zabiją cię. Będziesz mógł żyć wśród nas, zostaniesz Bastianinem. No i będziesz mógł sobie wziąć kobietę; w Basti jest wiele ślicznych dziewczyn.

– Dzięki – odparł von Horst – ale zostanę z Dangarem. Już niedługo wyzdrowieje. Jestem pewien, że skutki trucizny znikną tak jak u mnie. Utrzymuj się o tyle dłużej dlatego, że musiał dostać o wiele większą dawkę.

– A pójdiesz ze mną, jeśli umrze? – zapytał Skruf.

Von Horstowi nie podobało się spojrzenie, z jakim Bastianin o to zapytał. Nigdy nie wydawał mu się tak przyjacielski i życzliwy jak Dangar. Nie był tak szczery i otwarty. Teraz porucznik miał niejakie wątpliwości co

do jego zamiarów i uczciwości, chociaż nie było na to konkretnych dowodów i może krzywdził tamtego swoimi podejrzeniami. Mimo wszystko odpowiedział na pytanie tak, żeby nie ryzykować i nie przeceniać życia Dangara.

– Jeżeli wyżyje, to obaj z tobą pójdziemy jak wróci do sił.

I zawrócił ku obozowi.

Czas mijał. Von Horst nie miał pojęcia, ile go upłynęło. Kiedyś próbował go mierzyć, dbając żeby zegarek chodził i oznaczając dni karbami wyciętymi na patyku – ale kiedy zawsze jest południe, to trudno bez przerwy pamiętać, żeby zegarek nakręcać i sprawdzać, która godzina. Często się okazywało, że przestawał chodzić i porucznik nie miał pojęcia, jak długo stał zanim on to zauważył; nigdy też nie wiedział, jak długo spał. Więc sobie odpuścił. No bo co za różnica, ile czasu minęło? Czyż mieszkańcy Pellucidaru nie żyli sobie szczęśliwie bez miary czasu? Bez wątpienia byli bardziej zadowoleni. Kiedy sobie przypomniał swój zewnętrzny świat, dotarło do niego, że czas był bezwzględny panem, pędzącym go przez życie jak niewolnika zegarów, zegarków, hejnałów i syren.

Skruf często mówił, że chętnie by już poszedł, a Dangar namawiał ich, żeby się nim nie przejmowali i zostawili go tutaj, skoro nie chcą go zabić. I tak dwaj mężczyźni spali, jedli i polowali pod stojącym w zenicie słońcem wiecznego dnia Pellucidaru; a von Horst nie wiedział, czy trwało to godziny czy całe lata.

Starał się przywyknąć do tego wszystkiego i do nieruchomego słońca, wiszącego dokładnie pośrodku pustej kuli, której wewnętrzna powierzchnia była Pellucidarem a zewnętrzna światem, który znamy i który on od zawsze znał; lecz był zbyt nowy w tym środowisku, żeby je zaakceptować tak jak Skruf i Dangar, którzy nie znali żadnego innego.

Aż wreszcie wyrwały go ze snu okrzyki podekscytowanego Dangara.

– Mogę się poruszyć! – pokrzykiwał Sarianin. – Patrz! Mogę poruszać palcami!

Paraliż szybko ustępował i kiedy Dangar wreszcie stanął chwiejnie na nogach, trzech mężczyzn ogarnęła taka euforia, jakby byli właśnie ułaskawionymi skazańcami. Dla von Horsta był to świt nowego dnia – lecz Dangar i Skruf nie znali żadnych świtów. Ale byli równie szczęśliwi jak on.

– A teraz ruszamy do Basti! – wołał Skruf. – Chodźcie ze mną, potraktują was jak moich braci. Powitają was i na zawsze zostanieie w Basti.

W NIEWOLĘ

Szlak, którym Skruf wyruszył do Basti z krainy czarnych kraterów, był zdumiewająco okrężny, bo wiódł wzdłuż rzek, nad którymi rosły drzewa i zarośla, dające schronienie w tym pełnym zagrożeń świecie; albo prowadził przez mroczne lasy czy też wąskie skaliste wąwozy. Od czasu do czasu trzeba było się znacznie oddalić od właściwego szlaku, żeby znaleźć kryjówki, w których wszyscy trzej mogliby być w miarę bezpieczni podczas snu. W początkach długiej podróży von Horstowi tak się wszystko poplątało, że nawet nie miał pojęcia w jakim właściwie kierunku zmierzają i często powątpiewał, że Skruf potrafi znaleźć drogę do swojej krainy; ale ani Sarianin ani Bastianin nie mieli żadnych wątpliwości.

Zwierzyny było mnóstwo – zwykle aż za dużo i zbyt groźnej – i von Horst bez trudu zapewniał pożywienie. Lecz stałe czerpanie z zapasów amunicji budziło w nim obawy co do przyszłości i postanowił znaleźć jakiś sposób oszczędzania cennych naboju, żeby móc z nich skorzystać w razie prawdziwej potrzeby, kiedy pistolet mógłby decydować o życiu lub śmierci.

Jego towarzysze nadal tkwili w epoce kamienia i nie znali bardziej wymyślnej broni niż maczugi, kamienne noże i dzidy o kamiennych grotach. Toteż kiedy zobaczyli, z jaką zadziwiającą łatwością i nie narażając się przy tym von Horst powala swoją dziwaczną bronią nawet wielkie bestie, zostawili mu polowanie.

Von Horst miał własne powody – swoje zrobiły też wątpliwości co do lojalności Skrufa – żeby ukrywać przed towarzyszami, że jego broń będzie zupełnie nieszkodliwa, kiedy skończy się amunicja; tamci sami na to nie wpadli, bo nie mieli pojęcia o broni palnej. Musiał więc znaleźć jakąś przekonującą wymówkę, żeby nalegać, by polowali używając innej broni.

Kiedy wyruszyli w drogę, Skruf był uzbrojony w nóż i dzidę z kamiennym ostrzem; Dangar, jak tylko znalazł odpowiednie materiały, zrobił sobie podobną broń. Von Horst z jego pomocą wykonał dzidę i wkrótce potem zaczął robić łuk i strzały. Ale jeszcze zanim były gotowe upierał się, że powinni zabijać zwierzynę prymitywną bronią, bo huk pistoletu z pewnością przyciągnie uwagę wrogów. Ponieważ szli przez krainę, gdzie zdaniem Skrufa mogli napotkać polujące grupki ludzi z wrogich plemion, to obaj z Dangarem docenili rozsądek von Horsta i wszyscy trzej zasadzali się na zwierzynę z dzidami o kamiennych grotach.

Von Horsta dziwiła łatwość, z jaką przystosował się do życia swoich kompanów jaskiniowców. Nie wiedział, ile czasu upłynęło od kiedy opuścił zewnętrzny świat; lecz był przekonany, że nie więcej niż kilka miesięcy – i w tym czasie pozbył się całej, narastającej przez pokolenia, warstewki cywilizacji i cofnął się o jakieś sto tysięcy lat, do poziomu ludzi z epoki kamienia łupanego. Polował tak jak oni, jadł tak jak oni i często łapał się na tym, że podobnie myśli.

Stopniowo i jego strój cywilizowanego człowieka z zewnętrznego świata zmienił się w odzienie z tej dawno minionej epoki. Najpierw

zniknęły buty. Zastąpiły je sandały z mamuciej skóry. Stopniowo rozpadało się podarte i sparciałe ubranie, aż wreszcie nie okrywało jego nagości. Musiał je wyrzucić i nosił teraz skórzaną przepaskę biodrową, jak jego towarzysze. I teraz – z wyjątkiem pistoletu, pasa z nabojami i noża myśliwskiego – stał się prawdziwym człowiekiem z plejstocenu.

Kiedy już miał łuk i mnóstwo strzał, poczuł, że zrobił ostatni krok. Rozbawiła go ta myśl. Teraz pewnie był jakieś dziesięć, dwadzieścia tysięcy lat bardziej cywilizowany niż jego przyjaciele. Ale długo to nie potrwa. Jak tylko nabrał wprawy w posługiwaniu się nową bronią, to Dangar i Skruf chcieli mieć taką samą. Cieszyli się nią jak dzieci nowymi zabawkami i raz dwa nauczyli się nią posługiwać; zwłaszcza Dangar miał do tego talent. Jednak pistolet wciąż ich ciekawił. Skruf stale męczył von Horsta, żeby pozwolił mu strzelić, ale porucznik nie pozwalał mu go nawet dotknąć.

– Tylko ja potrafię bezpiecznie z niego korzystać – wyjaśnił. – Łatwo mógłbyś się zabić, gdybyś spróbował.

– Nie boję się go – odparł Skruf. – Przyglądałem się, jak się z nim obchodzisz. Mógłbym zrobić tak samo. Pozwól mi.

Ale von Horst był zdecydowany utrzymać przewagę, jaką dawała mu umiejętność posługiwania się pistoletem – i później się okazało, że była to mądra decyzja. Ale najlepszy dowód na to, że broń byłaby zagrożeniem dla każdego innego niż von Horst, dostarczył sam Skruf.

Podczas podróży Bastianin bez przerwy mówił o tym, że chciałby przynieść do swojej krainy łeb taraga i zdobyć dzięki temu swoją ukochaną. Wciąż nalegał, żeby von Horst zastrzelił dla niego jedno z wielkich zwierząt – aż wreszcie do porucznika i Dangara dotarło, że Skruf panicznie się bał, że sam będzie musiał je zabić. Von Horst nie miał zamiaru kusić losu szukając spotkania z dzikim monstrum, stworzeniem o olbrzymich

rozmiarach, ogromnej sile i straszliwie okrutnym, które potrafiło w pojedynkę zabić samca mastodonta.

Udało się im uniknąć spotkania z tym potworem i von Horst liczył, że dalej tak będzie. Lecz los był mu przeciwny. Nikt nie może mieć mu za złe, że zbrojny jedynie w taką mizerną broń nie miał ochoty stawać do walki z tą bestią z dawno minionej ery. Nawet jego pistolet tylko by rozdrażnił zwierza. Gdyby zdołał jakąś bronią trafić w serce, to stwór w końcu by padł, ale z pewnością nie na tyle prędko, żeby von Horst uniknął straszliwych ran i niemal pewnej śmierci. Zawsze istniała jednak szansa, że pokonałby wielką bestię.

Potem się stało – i to tak nagle i nieoczekiwanie, że nie było czasu na przygotowanie się do walki. Trzej mężczyźni szli gęsiego leśnym szlakiem. Von Horst prowadził, za nim był Skruf. Nagle, bez ostrzeżenia, na dróżkę wyskoczył z podszycia tarag, mniej niż trzy kroki przed porucznikiem. Europejczykowi wydał się wielki niczym bizon; i może i taki był. Z pewnością była to monstrualna istota z rozdziawioną paszczą i pałającymi ślepiami.

Ledwo wpadł na ścieżkę przed nimi, rzucił się na von Horsta. Skruf zawrócił i uciekł, przewracając przy tym Dangara. Porucznik nawet nie miał czasu dobyć pistoletu, tak prędko stwór go dopadł. Przypadkiem niósł w prawej ręce dzidę, kamiennym grotem ku przodowi. Nie miał pojęcia, czy zadziałał świadomie, czy instynktownie. Opadł na kolano, oparł koniec dzidy o ziemię i skierował grot w gardziel bestii. W tej samej chwili tarag nadział się na broń. Von Horst wytrzymał, dzida się nie złamała; a bestia, mimo swojej siły i rozmiarów, nie dała rady dosięgnąć go pazurami.

Wrzeszczała i ryczała, miotała się i szarpała dzidę, oszalała z bólu i wściekłości. Von Horst bez przerwy się spodziewał, że drzewce pęknie i bestia go dopadnie. Potem podbiegł Dangar i nie zważając na szarpiące

powietrze pazury wbił swoją dzidę w bok taraga – nie raz, a dwa, trzy razy ostry kamienny grot docierał do serca i płuc olbrzymiego tygrysa, aż ten – z ostatnim śmiertelnym wrzaskiem – padł martwy na ziemię. A kiedy już było po wszystkim, Skruf zlazł z drzewa, na którym się schronił i rzucił się z nożem na truchło. Nie zwracając uwagi ani na von Horsta, ani na Dangara, ciął póki nie oddzielił łba. Potem uplótł kosz z długich traw i zamocował trofeum na plecach. Zrobił to wszystko nie pytając o pozwolenie, nawet nie dziękując tym, którzy dostarczyli mu trofeum, dzięki któremu zamierzał zdobyć wybranekę.

Von Horst i Dangar byli oburzeni; z tym, że może Europejczyk był bardziej rozbawiony niż zły. Reszta drogi upływała w milczeniu; żaden ani słowem nie napomykał o tym wydarzeniu, chociaż odór gnijącego łba stawał się coraz dokuczliwszy w miarę jak szli do krainy Bastian.

Wkrótce po spotkaniu z taragiem (które się wydarzyło zaraz potem jak Skruf domagał się okazji pokazania, co potrafi zrobić z pistoletem) trzech mężczyźni schronili się w opuszczonej jaskini wysoko na klifie, żeby się przespać. Von Horsta i Dangara zbudził wystrzał. Skoczyli na równe nogi i zobaczyli Skrufa, padającego na ziemię i odrzucającego pistolet. Porucznik podbiegł do leżącego, który się wił i jęczał, ale raz dwa się przekonał, że był on bardziej przerażony niż poszkodowany. Twarz miał ubrudzoną prochem; na policzku kula zostawiła czerwoną pręgę. Ucierpiały tylko nerwy – z tego szoku się szybko nie otrząśnie. Porucznik odwrócił się i podniósł swój pistolet. Wsunął go do kabury i znowu ułożył się do snu.

– Następnym razem to cię zabije, Skrufie – ostrzegł.

Nic więcej nie dodał. Był pewien, że tamten dostał nauczkę. Przez jakiś czas po tym incydencie Skruf był małomówny i opryskliwy; von Horst parę razy zauważył, jak łypie na niego z paskudną miną. Lecz w końcu albo mu

ten nastrój minął, albo go ukrył, bo kiedy się zbliżali do Basti zrobił się niemal wesoły.

– Niedługo tam będziemy – oznajmił po długim śnie. – Zobaczycie plemię miłych ludzi i zdziwicie się, jak was przyjmą. Basti to wspaniała kraina. Nigdy jej nie opuścicie..

Na tym etapie podróży zostawili za sobą nizinę i rzekę, wzdłuż której szli i weszli pomiędzy niskie wzgórza, za którymi wznosiły się wysokie góry. Na koniec Skruf wprowadził ich w wąski wąwóz pomiędzy kredowymi klifami. To był kręty wąwóz, tak, że widzieli tylko krótki odcinek drogi za sobą i przed sobą. Strumyczek z przejrzystą wodą lśnił w słońcu, płynąc ku jakiemuś tajemniczemu, odległemu morzu. Na cienkiej warstewce gleby na szczytach klifów rosły kołyszące się trawy; na brzegach strumyka, gdzie osiadła zmyta z góry ziemia, rosło trochę kwitnących krzaków i nieliczne skarłowaciałe drzewa.

Skruf szedł przodem. Był podekscytowany i w kółko powtarzał, że już prawie są w wiosce Bastianów.

– Za następnym zakrętem zobaczy nas czujka i podniesie alarm – powiedział.

I rzeczywiście tak się stało – kiedy minęli ostry załom klifu po swojej lewej z góry zagrział głos i odbił się echem w wąwozie.

– Ktoś się zbliża! – zawołał, a potem krzyknął do nich: – Stać! Bo zabiję! Kim jesteście, wy, którzy wchodzicie do krainy Bastianów?

Von Horst podniósł wzrok i zobaczył mężczyznę, stojącego na półce wyciętej w ścianie wapiennego klifu. Miał obok siebie sporo dużych głazów, które w razie potrzeby mógł z łatwością zrzucić na tych w dole.

Skruf spojrział na tamtego i odparł:

– Jesteśmy przyjaciółmi. Nazywam się Skruf.

– Znam cię – brzmiała odpowiedź. – Ale nie znam pozostałych. Kim są?

– Prowadzę ich do Fruga, wodza – wyjaśnił Skruf. – Jeden to Dangar z krainy, którą nazywa Sari. Ten drugi pochodzi z innej, bardzo dalekiej krainy.

– Jest was więcej niż trzech? – dopytywał się strażnik.

– Nie – odparł Skruf. – Jest nas tylko trzech.

– Zabierz ich do Fruga, wodza – nakazał czujka.

Poszli dalej wąwozem i wreszcie dotarli do sporej, okrągłej niecki; w otaczających ją zboczach von Horst zobaczył wiele jaskiń. Przed każdą była półka; drabiny łączyły kolejne poziomy. Przed każdym wejściem do jaskini tkwiły grupki kobiet i dzieci, przyglądające się im badawczo; najwyraźniej zaalarmował je krzyk czujki. Pomiedzy przybyszami a klifami, w których były jaskinie, stał szereg wojowników. Oni też najwyraźniej oczekiwali przybyszy i byli gotowi zareagować zależnie od tego czy okażą się przyjaciółmi, czy wrogami.

– Jestem Skruf! – zawołał waźniak. – Chcę się widzieć z Frugiem. Wszyscy znacie Skrufa.

– Skruf odszedł wiele snów temu – odrzekł jeden z wojowników. – Myśleliśmy, że nie żyje i nigdy nie wróci.

– Ależ jestem Skrufem – upierał się przybysz.

– No to podejdźcie, ale najpierw odłóżcie broń.

Zrobili, jak kazano, ale idący przodem Skruf nie zauważył, że von Horst zatrzymał pistolet. Podeszli i otoczyli ich wojownicy Basti.

– Tak, to Skruf – przyznało paru z nich, kiedy znaleźli się bliżej.

Lecz w głosach nie było serdeczności; nie były też za grosz przyjazne. Zatrzymali się przed potężnym, owłosionym mężczyzną. Nosił naszyjnik z pazurów niedźwiedzi i tygrysów. Był to Frug.

– Jesteś Skruf – stwierdził. – Poznaję, że jesteście Skruf, ale kim są oni?

– To więźniowie – odparł Skruf – których sprowadziłem, żeby byli niewolnikami Basti. Przyniosłem też łeb taraga, którego zabiłem. Położę go przed jaskinią kobiety, którą wybrałem. Jestem teraz wielkim wojownikiem.

Von Horst i Dangar spojrzeli na Skrufa ze zdumieniem.

– Okłamałeś nas, Skrufie – powiedział Sarianin. – Ufaliśmy ci. Powiedziałaś, że twoi ludzie staną się naszymi przyjaciółmi.

– Nie jesteśmy przyjaciółmi naszych wrogów – burknął Frug. – A wszyscy, co nie są Bastianami, to nasi wrogowie.

– Nie jesteśmy wrogami – odezwał się von Horst. – Polowaliśmy i spaliśmy ze Skrufem przez wiele snów jak przyjaciele. Czy wszyscy Bastianie są kłamcami i oszustami?

– Skruf jest kłamcą i oszustem – rzekł Frug. – A ja nie obiecywałem, że będę waszym przyjacielem, a jestem wodzem. Skruf nie przemawia w imieniu Fruga.

– Pozwólcie nam odejść do mojej krainy – powiedział Dangar. – Nie wadzicie się ani ze mną, ani z moim ludem.

Frug się zaśmiał.

– Nie wadzę się z niewolnikami. Jak nie pracują, to ich zabijam. Zabierzcie ich i przydzielcie im robotę – rozkazał otaczającym ich wojownikom.

Kilku Bastian natychmiast ich pochwyciło. Von Horst zrozumiał, że opór byłby daremny. Mógłby iluś tam zabić, zanim opróżniłby pistolet; ale na koniec i tak by go obezwładnili, albo – co bardziej prawdopodobne – przebili kilkoma dzidami. A nawet gdyby tego nie zrobili i udało mu się uciec, to czatownik w wąwozie by go uśmiercił, staczając parę głazów.

– Chyba mamy problem – powiedział do Dangara.

– Tak – odparł Sarianin. – Rozumiem teraz, co Skruf miał na myśli, mówiąc, że będziemy zaskoczeni tym, jak nas przyjmą i że nigdy nie opuścimy Basti.

Strażnicy popędzili ich do stóp klifu i poprowadzili drabinami na najwyższy poziom. Tyrało tam sporo mężczyzn i kobiet, prymitywnymi kamiennymi narzędziami dziobiąc i skrobiąc ścianę klifu, wykuwając nową półkę i kolejne jaskinie. Byli to niewolnicy. Pracą kierował bastiański wojownik, kucający w cieniu wejścia do drążonej nowej jaskini. Strażnicy przekazali mu von Horsta i Dangara.

– Czy to Skruf ich pojmał? – zapytał nadzorca. – Nie widziałem go stąd wyraźnie, ale wydawało się niemożliwe, żeby takiemu tchórzowi się to udało.

– Oszukał ich – wyjaśniono mu. – Powiedział im, że przyjmie ich jak przyjaciół i będziemy dobrze traktować. Przyniósł też łeb taraga i zamierza go położyć przed wejściem do jaskini, w której śpi niewolnica La-Ja. Prosił o nią Fruga i wódz powiedział, że ją dostanie, jeśli przyniesie łeb taraga. Frug uznał, że to dobry żart; zupełnie jakby odrzekł „nie”.

– Bastiańscy mężczyźni nie łączą się w pary z niewolnicami – rzekł nadzorca.

– Ależ kojarzą – wypomnieli mu. – A Frug dał słowo i dotrzyma go. Tyle, że chciałbym widzieć, jak Skruf zabija taraga, zanim w to uwierzę.

– Nie zabił go – oznajmił Dangar.

Tamci dwaj spojrzeli na niego, zaskoczeni.

– Skąd wiesz? – zapytał nadzorca.

– Byłem tam, kiedy ten człowiek zabił taraga – wyjaśnił Dangar. – Zabił go dzidą, kiedy Skruf uciekł na drzewo. Zszedł, jak zwierz już nie żył i odciął mu łeb.

– To pasuje do Skrufa – orzekł wojownik, który towarzyszył im na półkę; potem obaj zajęli się von Horstem.

– Czyli zabiłeś taraga dzidą? – zapytał z niejakim respektem jeden z nich.

Von Horst potrząsnął głową.

– Zabiliśmy go obaj z Dangarem – wyjaśnił. – Tak naprawdę to on go zabił.

Wtedy Dangar im opowiedział, jak von Horst w pojedynkę stawił czoło bestii i nadział ją na dzidę. W trakcie tej opowieści wyraźnie było widać, jak rósł ich szacunek dla porucznika.

– Mam nadzieję, że mi się poszczęści i dostanę twoje serce – stwierdził nadzorca.

Potem dał im narzędzia i kazał pracować z resztą niewolników.

– Co miał na myśli, mówiąc, że ma nadzieję, że mu się poszczęści i dostanie moje serce? – zapytał von Horst, kiedy Bastianin ich zostawił.

– Są ludzie, którzy jedzą ludzi – odparł Dangar. – Słyszałem o nich.

LA-JA

Cienisty chłód jaskini, w której kazano pracować von Horstowi i Dangarowi był prawdziwą ulgą po skwarze i jaskrawym blasku otwartej przestrzeni. Początkowo ledwo zauważali innych robotników; lecz kiedy oczy im przywykły do półmroku, zobaczyli wielu niewolników, kujących ściany. Niektórzy stali na drabinach, powoli powiększając wysokość jaskini. Większość niewolników stanowili mężczyźni, ale było wśród nich parę kobiet; jedna z nich pracowała obok von Horsta. Bastiański wojownik, nadzorujący pracę w jaskini, przyglądał się przez chwilę porucznikowi, a potem kazał mu przestać.

– Nie masz o niczym pojęcia? – zapytał. – Wszystko robisz źle. Pokaż mi, jak ma pracować – polecił kobiecie pracującej obok Europejczyka – i pilnuj, żeby robił jak trzeba.

Von Horst spojrział na kobietę; oczy już mu przywykły do półmroku jaskini. Przestała pracować i patrzyła na niego. Zauważył, że jest młoda i

bardzo ładna. W przeciwieństwie do Bastianek, które widział, była blondynką.

– Obserwuj mnie – poleciła. – Rób tak samo, jak ja. Nie będą cię źle traktować, jeśli będziesz powolny, ale dostaniesz za swoje, jeżeli będziesz pracować źle.

Von Horst przez chwilę się jej przyglądał. Dostrzegł regularne rysy, długie rzęsy ocieniające duże mądre oczy, urocze policzki, szyję i małe jędrne piersi. Uznał, że jest o wiele ładniejsza i ponętniejsza, niż mu się na pierwszy rzut oka wydawała.

Znienacka odwróciła się ku niemu.

– Szybciej się nauczysz, jak będziesz się wpatrywał w moje dłonie i narzędzia – powiedziała.

Von Horst się roześmiał.

– Ale nie byłoby to takie przyjemne.

– Jeśli chcesz źle pracować i dostać baty, to twoja sprawa.

– Przyjrzyj się – zachęcił ją. – Sprawdź, czy już mi lepiej idzie po samym wpatrywaniu się w twój profil.

Zaczął kamiennym dłutem i młotkiem odłupywać miękką wapień, a po chwili znowu na nią spojrzął.

– No i jak? – zapytał.

– No cóż, lepiej – przyznała niechętnie. – Ale powinno być *o wiele* lepiej. Kiedy będziesz tu tak długo jak ja, zrozumiesz, że najlepiej jest dobrze pracować.

– Długo tu jesteś?

– Tak wiele snów, że straciłam rachubę. A ty?

– Dopiero co przyszedłem.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Przyszedłeś! To znaczy, że dopiero cię przyprowadzono.

Von Horst potrząsnął głową.

– Przyszedłem jak ten głupek. Skruf powiedział nam, że nas dobrze przyjmą, że jego ludzie potraktują nas jak przyjaciół. Okłamał nas.

– Skruf! – dziewczyna się wzdrygnęła. – To tchórz i kłamca; ale dla mnie to dobrze, że jest tchórzem. Inaczej mógłby przynieść łeb taraga i położyć go przed wejściem do jaskini, w której śpię.

Von Horst szeroko otworzył oczy, zdumiony.

– Jesteś La-Ja?

– Jestem La-Ja, ale skąd to wiesz?

Uroczo, melodyjnie wymówiła swoje imię – przeciągłe „a”, miękkie „j” i akcent na ostatniej sylabie.

– Strażnik mówił, że Frug obiecał Skrufowi, że cię dostanie, jeśli przyniesie łeb taraga. Przypomniałem sobie imię; pewnie dlatego, że jest takie urocze.

Zignorowała komplement.

– No to dalej nic mi nie grozi, bo ten okropny tchórz uciekłby przed taragiem.

– I uciekł, ale przyniósł do Basti jego łeb.

Dziewczyna najpierw się przeraziła, potem spojrzała z niedowierzaniem.

– Chcesz powiedzieć, że Skruf zabił taraga?

– Nic podobnego. To Dangar i ja go zabiliśmy. Ale Skruf odciął mu łeb i przyniósł tutaj, przypisując sobie zasługę.

– Nigdy mnie nie dostanie! – zawołała zdenerwowana La-Ja. – Prędkiej się zabiję.

– Nie masz innego wyjścia? Nie możesz go odrzucić?

– Mogłabym, gdybym nie była niewolnicą. Ale Frug mu mnie obiecał i jako niewolnica nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia.

Von Horst nagle poczuł się osobiście zainteresowany – trudno by mu było wyjaśnić, dlaczego. Może to była naturalna reakcja mężczyzny na ciężki los bezbronnej dziewczyny; może miała z tym coś wspólnego jej wielka uroda. Ale chciał jej pomóc, bez względu na pobudki.

– Można stąd uciec? – zapytał. – Nie moglibyśmy stąd zniknąć po zmroku? Pomoglibyśmy ci z Dangarem i uciekli z tobą.

– Po zmroku? Co to zmrok?

Von Horst smutno się uśmiechnął.

– Wciąż zapominam.

– O czym zapominasz?

– Że tu nigdy nie jest ciemno.

– W jaskiniach jest ciemno.

– W moim kraju jest ciemno przez połowę czasu. Kiedy jest ciemno, śpimy. Pomiędzy snami jest jasno.

– Jak dziwnie! – wykrzyknęła. – Gdzie jest twój kraj i w ogóle jak może być ciemno? Słońce zawsze świeci. Nikt nigdy nie słyszał, żeby przestawało świecić.

– Mój kraj jest bardzo daleko, w innym świecie. Nie mamy tego samego słońca, co wy. Kiedyś spróbuję ci to wytłumaczyć.

– Nigdy przedtem nie spotkałam kogoś takiego jak ty. Jak się nazywasz?

– Von.

– Von... tak, i to imię jest dziwne.

– Dziwniejsze niż Skruf czy Frug? – uśmiechnął się.

– Tak. W tamtych nie ma nic osobliwego.

- Dopiero byś się zdziwiła, gdybyś usłyszała całe moje imię.
- Jest dłuższe niż Von?
- O wiele dłuższe.
- No to wymów je.
- Nazywam się Frederich Wilhelm Eric von Mendeldorf und von Horst.
- O, nigdy bym całego nie wymówiła. Wolę Von.

Zastanawiał się, czemu jej powiedział, że się nazywa Frederich Wilhelm Eric von Mendeldorf und von Horst. Rzecz jasna korzystał z tego nazwiska tak długo, że wydawało mu się zwyczajne. Ale skoro już nie był w Niemczech, to pewnie już nie miało to sensu. No i jakie to miało znaczenie w wewnętrznym świecie? Von było łatwe do wymówienia, łatwe do zapamiętania – czyli teraz będzie Von.

Dziewczyna ziewnęła.

– Chce mi się spać. Pójdę do mojej jaskini i się prześpię. Może i ty byś spał w tym samym czasie; wtedy byśmy się jednocześnie obudzili i mogłabym cię uczyć tej roboty.

– Dobry pomysł! – wykrzyknął. – Ale pozwolą mi teraz spać? Dopiero zacząłem pracować.

– Pozwalają nam spać, kiedy mamy na to ochotę, ale jak się budzimy, to musimy wracać do roboty. Kobiety mają swoją jaskinię do spania; pilnuje ich tam Bastianka i dba, żeby wracały do roboty jak tylko się obudzą. To okropna starucha.

– A gdzie ja będę spać?

– Chodź, pokażę ci. To jaskinia w pobliżu tej dla kobiet.

Wyprowadziła go na skalną półkę i po niej do wejścia do innej jaskini.

– Tutaj śpią mężczyźni. Ja śpię w następnej.

– Co tu robicie? – zapytał strażnik.

– Idziemy spać – odparła La-Ja.

Tamten skinął głową. Dziewczyna poszła do swojej jaskini, a von Horst wszedł do tej, w której spali niewolnicy mężczyźni. Zobaczył ich całkiem sporo, śpiących na twardej podłodze i wkrótce wyciągnął się obok Dangara, który im towarzyszył.

Porucznik nie wiedział, jak długo spał. Obudziły go głośne krzyki, najwyraźniej dobiegające sprzed wejścia do jaskini. Początkowo nie zrozumiał słów, które słyszał; ale po parokrotnej powtórcie na dobre się obudził i wtedy dotarło do niego, co słyszy i rozpoznał głos.

To Skruf wykrzykiwał te słowa wciąż na nowo.

– Wyjdź, La-Ja! Skruf przyniósł ci łeb taraga! Teraz należysz do Skrufa!

Von Horst skoczył na równe nogi i wyszedł na skalną półkę. Przed wejściem do sąsiedniej jaskini leżał gnijący łeb taraga, ale Skrufa nigdzie nie było widać.

Początkowo von Horst myślał, że tamten wszedł do środka, szukając La-Ja; ale uświadomił sobie, że głos dobiega z dołu. Wyjrzał za skraj półki i zobaczył Skrufa, stojącego na drabinie parę stóp niżej. Potem ujrzał wybiegającą z jaskini La-Ja, przerażoną i zrozpaczoną.

Podszedł do szczytu drabiny, przy której leżał łeb taraga, bezpośrednio przed wejściem do jaskini, z której wybiegła La-Ja. Coś w jej zachowaniu go przerażyło. W ogóle go nie zauważyła, biegnąc ku krawędzi klifu. Instynktownie zrozumiał, co chciała zrobić i kiedy go mijała chwycił ją i przyciągnął do siebie.

– Tylko nie to, La-Ja – powiedział cicho.

Wzdrygnęła się i oprzytomniała. Potem przytuliła się do niego i zaczęła szlochać.

– Nie może mnie dostać.

– I nie dostanie – rzekł porucznik; potem popatrzył na Skrufa. – Wynoś się i zabierz ten gnijący łeb.

Zepchnął stopą z półki gnijący łeb, który zleciał na Skrufa. Przez chwilę się wydawało, że strącił go z drabiny, ale Bastianin z małą zręcznością utrzymał się na niej.

– Złaź na dół – rozkazał von Horst, – i już nigdy tu nie wracaj. Dziewczyna nie jest dla ciebie.

– Należy do mnie. Frug obiecał, że ją dostanę. Zabiję cię za to – był taki wściekły, że aż toczył pianę.

– Złaź, albo ja zejdem i cię zrzucę – zagroził von Horst.

Ktoś położył mu dłoń na ramieniu. Odwrócił się gwałtownie. To był Dangar, stojący obok niego.

– Strażnik nadchodzi – powiedział. – Teraz masz kłopoty. Jestem po twojej stronie. Co robimy?

Półką zbliżał się strażnik, ten sam wielki facet, który ich tu przyjął. W drażonych jaskiniach byli też inni strażnicy, ale jak dotąd sprzeczka przyciągnęła uwagę tylko tego jednego.

– Co robisz, niewolniku?! – ryknął. – Wracaj do roboty! Trzeba ci trochę tego!

Machnął pałką, trzymaną w owłosionej pięści.

– Nie uderzysz mnie tym – zapowiedział von Horst. – Zabiję cię, jeśli podejdziesz jeszcze bliżej.

– Twój pistolet, Von – szepnął Dangar.

– Nie mogę marnować amunicji – odparł porucznik.

Strażnik się zatrzymał. Wyraźnie próbował pojąć, jak ten niewolnik zamierza go zabić i czym. Wszystko wskazywało na to, że nie jest

uzbrojony; i choć był wysoki, to nie dorównywał strażnikowi krzepą. Wreszcie uznał, że von Horst blefował i znowu ruszył ku niemu.

– I co, zabijesz mnie?! – ryknął i pobiegł ku porucznikowi, zamierzając się pałką.

Nie był zbyt szybki, a umysł miał jeszcze powolniejszy – jego reakcje były żałośnie opóźnione. Kiedy von Horst skoczył ku niemu, nie zdążył dostosować metody ataku do okoliczności. Porucznik szybko odsunął się na bok, kiedy tamten go mijał i wymierzył mu potężny cios w brodę; cios, który pozbawił Bastianina równowagi na samej krawędzi półki. Kiedy się tam chwiał, von Horst znowu go uderzył i tym razem strażnik spadł – wrzeszcząc z przerażenia poleciał ku podstawie klifu, odległej o sto stóp.

Dangar i dziewczyna przypatrywali się temu z osłupieniem.

– Coś ty zrobił, Von! – zawołała. – Teraz cię zabiją, a wszystko przeze mnie.

Zanim skończyła, z dalszej jaskini wyskoczył kolejny strażnik, a potem dołączyli do niego dwaj pozostali, nadzorujący w innych jaskiniach pracę niewolników. Przyciągnął ich uwagę wrzask ziomka, którego von Horst zrzucił z półki.

– Schowajcie się za mnie – polecił porucznik Dangarowi i La-Ja. – I idźcie na najdalszy skraj półki. Nie złapią nas, jeśli nie zajdą od tyłu.

– No to nas zablokują i już będzie po nas – sprzeciwiła się dziewczyna. – Jeśli wejdziemy do jednej z jaskiń, gdzie jest ciemno i leżą odłamki skały, którymi będziemy mogli w nich rzucać, to może się nam uda ich odpędzić. Ale co to da? Co byśmy nie zrobili i tak nas w końcu dopadną.

– Rób co mówię – warknął porucznik. – I to szybko.

– Kim jesteś, żeby mi rozkazywać? – oburzyła się La-Ja. – Jestem córką wodza.

Von Horst odwrócił się i pchnął ją w ramiona Dangara.

– Zabierz ją na drugi koniec półki – nakazał.

Cofał się wraz z nimi, a Sarianin włókł półką wściekłą La-Ja. Szli ku nim strażnicy. Nie wiedzieli, co się stało, ale nie mieli wątpliwości, że coś jest nie tak.

– Gdzie Julp? – zapytał jeden z nich.

– Tam gdzie i wy będziecie, jeśli nie zrobicie tego, co każę – odparł von Horst.

– Co masz na myśli, niewolniku? Gdzie Julp?

– Strąciłem go z półki. Spójrzcie w dół.

Trzej Bastianie zatrzymali się i wyjrżeli za półkę. Zobaczyli na dole ciało Julpa; dotarły na górę gniewne głosy tych, co się koło ciała zebrali. Był tam Skruf. On jeden mógł się domyślić, co spotkało Julpa i teraz głośno o tym opowiadał pozostałym; do grupy dołączył Frug.

– Sprowadźcie do mnie tego niewolnika! – zawołał Frug do strażników na skalnej półce.

Ruszyli, chcąc złapać von Horsta. Porucznik wyszarpnął z kabury pistolet.

– Stać! – rozkazał. – Posłuchajcie mnie, jeśli chcecie żyć. Oto drabina. Zejdźcie.

Wszyscy trzej łypali na pistolet, ale nie wiedzieli, co to jest. Dla nich wyglądał jak kawałek czarnego kamienia. Może pomyśleli, że von Horst zamierza nim w nich rzucić, albo posłużyć się nim jak pałką. Rozbawiło ich to, więc nonszalancko ruszyli na niego.

Z jaskini wyszła pilnująca niewolnic kobieta, zwabiona hałasem i przyłączyła się do strażników. Była nieatrakcyjnym kocmołuchem w nieokreślonym wieku, z wredną gębą. Von Horst się domyślił, że może być o wiele niebezpieczniejsza od mężczyzn, lecz wzdragał się przed zastrzeleniem kobiety. Właściwie to nie chciał zastrzelić nikogo z nich –

biednych nieświadomych niczego jaskiniowców z epoki kamienia – lecz albo oni ocalały życie, albo on, Dangar i La-Ja.

– Cofnijcie się! – zawołał. – Zejdźcie po drabinie! Nie chcę was zabić.

Strażnicy skwitowali to śmiechem i ruszyli. Wtedy von Horst strzelił. Jeden z nich był tuż za przywódcą i po strzale obaj upadli, wrzeszcząc i stoczyli się ze skalnej półki. Trzeci i kobieta się zatrzymali. Sam huk pistoletu by wystarczył, żeby ich powstrzymać, taki wydał im się straszliwy; lecz widok spadających z półki towarzyszy zupełnie ich poraził.

– Zejdźcie – rozkazał von Horst – zanim i was zabiję. Nie dam wam drugiej szansy.

Kobieta warczała i wahała się, ale mężczyzna nie czekał. Dostyc zobaczył. Skoczył ku drabinie i pospiesznie zszedł; chwilę potem kobieta się poddała i poszła za nim. Von Horst ich obserwował. Kiedy dotarli na niższą półkę, przywołał gestem Dangara.

– Pomóż mi z tą drabiną – powiedział i wciągnęli ją na półkę, na której stali. – To ich na chwilę powstrzyma – stwierdził.

– Póki nie przyniosą drugiej drabiny – zauważył Dangar.

– To zajmie trochę czasu – odparł von Horst. – Duuużo czasu, jeżeli do nich strzełę, jak będą to robić.

– Co teraz zrobimy? – dopytywał się Dangar.

La-Ja patrzyła na von Horsta spod ściągniętych brwi; w jej oczach płonął gniew – ale się nie odezwała. Popatrzył na nią i był zadowolony, że zmilczała. Ta piękna, gniewna twarz – piękna nawet w gniewie – zwiastowała kłopoty.

Z jaskiń wychodzili lękliwie pozostali niewolnicy. Rozejrzeli się za strażnikami, ale żadnego nie zobaczyli. Potem zauważyli, że wciągnięto drabinę.

– Co się stało? – zapytał któryś z nich.

– Ten głupiec zabił trzech strażników i przepędził pozostałych – prychnęła La-Ja. – Teraz albo musimy tu zostać i paść z głodu, albo pozwolić im wrócić i nas zabić.

Von Horst nie zwracał na nich uwagi. Patrzył w górę, przyglądając się ścianie klifu, lekko wgiętej ku szczytowi, jakieś trzydzieści stóp ponad nim.

– Zabił trzech strażników i przepędził resztę z półki? – zapytał z niedowierzaniem jeden z niewolników.

– Tak, w pojedynkę to zrobił – potwierdził Dangar.

– Jest wielkim wojownikiem – rzekł z podziwem niewolnik.

– Masz rację, Thorek – przyznał drugi. – Ale La-Ja też ma rację. Czeka nas śmierć bez względu na to, co się dalej stanie.

– Śmierć tylko przyjdzie trochę wcześniej – stwierdził Thorek. – I warto umrzeć, wiedząc, że zabito trzech z tych zjadaczy ludzi. Żałuję, że nie ja to zrobiłem.

– Chcecie czekać, aż pomrzecie z głodu lub oni tu wejdą i was zabiją? – zapytał von Horst.

– A cóż innego możemy zrobić? – spytał niewolnik z Amdaru.

– Jest nas blisko pięćdziesięciu – powiedział von Horst. – Lepiej byłoby zejść na dół i walczyć o życie, niż czekać na śmierć z pragnienia lub zostać zabitym jak szczury. Jeśli nie ma innego wyjścia; ale ja uważam, że jest.

– Twoje słowa są słowami mężczyzny! – wykrzyknął Thorek. – Zejdę z tobą i będę walczył.

– A jakie jest to inne wyjście? – zapytał człowiek z Amdaru.

– Mamy tę drabinę – wyjaśnił von Horst – a w jaskiniach są kolejne. Jeśli zwiążemy je razem, osiągniemy szczytu klifu. Przeszlibyśmy kawał drogi, zanim Bastianie by nas dogonili, bo musieliby wejść daleko w głąb wąwozu, żeby dotrzeć do miejsca, gdzie mogliby się wdrapać na górę.

– Ma rację – powiedział kolejny niewolnik.

– Ale mogliby nas wyprzedzić – zmartwił się inny, lękliwy.

– A niech wyprzedzą! – wykrzyknął Thorek. – Jestem człowiekiem-mamutem. Miałbym się bać walki z wrogami?! Nigdy. Całe życie z nimi walczyłem. Po to matka mnie urodziła, a ojciec szkolił.

– Za dużo gadamy – stwierdził von Horst. – Gadanie nas nie uratuje. Niech ci, którzy zechcą, pójdą ze mną; reszta niech zostanie tutaj. Przynieście pozostałe drabiny. Poszukajcie czegoś, czym można by je powiązać.

– Nadchodzi Frug! – zawołał jeden z niewolników. – Wspina się z wieloma wojownikami!

Von Horst spojrzał w dół i zobaczył owłosionego wodza, wdrapującego się ku skalnej półce; za nim wspinało się wielu wojowników. Człowiek z zewnętrznego świata się uśmiechnął, bo wiedział, że jego pozycja jest nie do zdobycia.

– Thoreku – polecił – weź mężczyzn do jaskiń i zbierzcie kawałki skały, ale nie rzucajcie nimi w Bastian póki nie każę.

– Jestem człowiekiem-mamutem – odparł wyniośle Thorek. – Tylko mój wódz może mi rozkazywać.

– Teraz ja jestem twoim wodzem – warknął porucznik. – Rób, co mówię. Jeśli każdy z nas zechce być szefem, jeśli nikt nie posłucha moich poleceń, to zostaniemy tu aż zgnijemy.

– Nie przyjmuję rozkazów od nikogo, kto nie jest lepszy ode mnie – upierał się Thorek.

– O co mu chodzi, Dangarze? – zapytał von Horst.

– Że powinienes z nim walczyć i zwyciężyć, zanim cię posłucha – wyjaśnił Dangar.

– Reszta z was jest równie głupia? – spytał porucznik. – Mam walczyć z każdym po kolei, zanim pomożecie mi pomóc wam uciec?

– Będę ci posłuszny, jeśli pokonasz Thoreka – powiedział Amdarczyk.

– No dobrze – zgodził się von Horst. – Dangarze, jeśli któryś z tych idiotów raczy ci pomóc, zbierz kamienie, żeby powstrzymać Fruga, póki walka się nie rozstrzygnie. Po prostu nie pozwól im ustawić drabiny do tej półki. Thoreku, wejdziemy do jednej z jaskiń i przekonamy się, kto dowodzi. Jeśli spróbowalibyśmy rozstrzygnąć to tutaj, to pewnie obaj byśmy wylądowali u stóp klifu.

– Dobrze – zgodził się człowiek-mamut. – Podobają mi się twoje słowa. Byłbyś wspaniałym wodzem, gdybyś wygrał; ale tak się nie stanie. Jestem Thorek i jestem człowiekiem-mamutem.

Von Horst był dość rozbawiony oznakami wyniosłej dumy tych prymitywnych ludzi. Przesadnie okazywała to La-Ja, a teraz Thorek. Może i trochę ich za to podziwiał – nie miał cierpliwości dla mięczaków – ale uważał, że mogliby do tego dodać trochę rozsądku. Zdawał sobie jednak sprawę, że to przejaw wybujałego ego, jakim musiała się odznaczać ludzka rasa w najwcześniejszych fazach rozwoju, żeby móc się przeciwstawić siłom nieustannie grożącym jej wyginięciem.

– Chodź – powiedział do Thoreka. – Załatwmy to, żeby móc się zająć czymś ważnym.

Z tymi słowy wszedł do jednej z jaskiń, a Thorek za nim.

– Gołymi rękami? – zapytał von Horst.

– Gołymi rękami – zgodził się człowiek-mamut.

– No to zaczynamy.

Porucznik od dziecka był zapalonym miłośnikiem wszelkich sposobów obrony i ataku, tak z najrozmaitszą bronią jak i bez niej. Był znakomitym bokserem i zapaśnikiem. Do tej pory dawało mu to wyłącznie satysfakcję z

własnej sprawności – lecz teraz miało się ogromnie przydać. Miało mu zapewnić pozycję w epoce kamienia, wśród twardych ludzi, nieuznających innej przewagi niż fizyczna.

Po tej zachęcie Thorek ruszył na niego jak szarżujący byk. Byli niemal równego wzrostu, lecz Thorek był mocniejszej budowy i cięższy o jakieś dziesięć, piętnaście funtów. Siłą pewnie sobie dorównywali, chociaż Pellucidarczyk wydawał się silniejszy, bo miał wydatniejsze mięśnie. Będą się liczyć umiejętności, a Thorek nie miał żadnych. Jego strategia polegała na zdobyciu przewagi impetem i ciężarem, na powaleniu przeciwnika na ziemię i pobiciu do nieprzytomności. Gdyby go przy tym zabił – cóż, tamten po prostu miałby pecha.

Lecz kiedy rzucił się na von Horsta, to porucznika tam nie było. Zanurkował pod młócającymi ramionami i zszedł z drogi masywnemu ciału; potem wymierzył potężny cios w szczękę Thoreka, którym go oszołomił. Ale człowiek-mamut dalej trzymał się na nogach – zawrócił i znowu chwiejnie zaatakował; i ponownie oberwał. Tym razem upadł. Spróbował się podnieść i kolejny cios go powalił. Nie miał żadnej szansy. Ile razy niemal udało mu się wstać, znowu padał po kolejnym ciosie. Wreszcie się poddał i leżał tam, gdzie padł.

– Kto jest wodzem? – zapytał von Horst.

– Ty – odparł Thorek.

UCIECZKA NIEWOLNIKÓW

Kiedy von Horst wybiegł z jaskini, Thorek podniósł się chwiejnie i poszedł za nim. Część niewolników stała przy Draganie; byli gotowi rzucać kamieniami we wspinających się Bastian, którzy – jak się przekonał porucznik – byli już tylko o dwa poziomy niżej. Rozejrzał się i zobaczył wychodzącego z jaskini Thoreka.

– Weź paru ludzi i przynieście drabiny – polecił swojemu niedawnemu oponentowi.

Niewolnicy natychmiast spojrzeli na człowieka-mamuta, sprawdzając, czy przyjmie to polecenie. Zdziwiło ich to, co zobaczyli. Twarz Thoreka była porządnie spuchnięta; nad jednym okiem miał ranę i krwawił z nosa. Całą twarz i większość ciała miał okrwawione, przez co obrażenia wydawały się o wiele poważniejsze niż naprawdę były.

Thorek popatrzył na niewolników.

– Niech kilku z was wejdzie do każdej z jaskiń i zabierze drabiny – polecił. – Potem niech kobiety znajdą rzemienie i powiążą je.

– Kto jest szefem? – zapytał jeden z niewolników, do których to powiedział.

– On jest szefem – odparł Thorek, wskazując von Horsta.

– Ani on nie jest moim wodzem, ani ty – odciął się wojowniczo tamten.

Von Horst poczuł się nagle bezradny. Jak zdoła gdziekolwiek pójść, czegokolwiek dokonać, mając do czynienia z takimi głupimi egoistami? Jednak Thorek nie stracił ducha. Znienacka skoczył na aroganta i – zanim tamten zdołał zebrać powolne myśli – uniósł go ponad głowę i cisnął z klifu. Potem spojrzął na pozostałych i polecił:

– Idźcie po drabiny.

Jak jeden mąż spełnili jego rozkaz.

Teraz von Horst znowu zajął się Frugiem i jego wojownikami. Stanowili idealny cel i z łatwością mógłby ich przepędzić, gdyby chciał – lecz miał inny plan. Cicho poinstruował swoich towarzyszy i kiedy Bastianie znaleźli się bezpośrednio pod nimi, ustawili się rzędkiem na brzegu półki. W tym czasie przyniesiono drabiny i kobiety wiązały po kilka, szykując dwie długie.

La-Ja stała z boku, obrażona i popatrywała gniewnie na von Horsta; nawet nie udawała, że pomaga kobietom w pracy. Lecz porucznik nie zwracał na nią uwagi, co pewnie ją jeszcze bardziej rozeźliło. Frug ryczał z niższej półki groźby i rozkazy; zaś kobiety i dzieci, zgromadzone u stóp klifu, głośno dodawały odwagi swoim.

– Przyprawdźcie mi człowieka zwanego Von! – wrzasnął Frug. – A wtedy nikogo z was nie ukażę!

– Wejdz tu i weź go sobie sam – zachęcił go Thorek.

– Gdyby mężczyźni Basti nie byli jak stare baby, to coś by zrobili, zamiast stać tam w dole i pokrzykiwać – zadrwił von Horst; rzucił niewielkim kamieniem, trafiając Fruga w ramię. – Widzisz, jak łatwo moglibyśmy przepędzić stare baby, niemające dość siły, żeby dorzucić tu dzidami!

Tego już było dla Bastian za wiele. Natychmiast zaczęły latać dzidy. Lecz niewolnicy byli na to przygotowani i jak tylko wzniosły się na ich poziom, pochwycili wiele z nich. Reszta spadła do Bastian – ponownie nimi rzucili i niewolnicy wkrótce byli dobrze uzbrojeni, na co liczył von Horst.

– Teraz kamienie – polecił i niewolnicy póty rzucali nimi w przeciwników, póki ci się nie pochowali w jaskiniach na tamtym poziomie. – Nie pozwólcie im wyjść – nakazał porucznik. – Dangarze, weź pięciu ludzi i niech każdy Bastianin, który wystawi głowę, dostanie w nią kamieniem. Reszta niech się zajmie drabinami.

Kiedy chwiejne drabiny oparto o ścianę klifu, sięgnęły akurat do szczytu. Von Horst odetchnął z ulgą, bo jego plan miał teraz większe szanse powodzenia.

– Weź trzech mężczyzn i wejdźcie na szczyt klifu – polecił Thorekowi. – Powiesz mi, czy droga jest wolna. Jeśli tak, to poślę na górę kobiety i resztę mężczyzn.

Kiedy Thorek z towarzyszami się wspinali, drabiny trzeszczały i wyginały się; ale wytrzymały i człowiek-mamut zawołał, że wszystko w porządku.

– Teraz kobiety – powiedział von Horst.

I wszystkie poza jedną zaczęły się wspinać. Tą jedną była La-Ja. Zignorowała drabiny tak jak von Horsta, a on znowu nie zwrócił na nią uwagi. Wkrótce wszyscy – poza Dangarem i jego pięcioma ludźmi, porucznikiem i La-Ją – wspięli się bezpiecznie na szczyt klifu. Von Horst

odesłał kolejno pięciu towarzyszy Dangara, a sam z Sarianinem trzymał Bastian w jaskiniach, skąd nie mogli zobaczyć, co się dzieje na górze. Wiedział, że mogliby wziąć drabiny z jaskiń, w których się kryli, wdrapać się na półkę, której z Dangarem bronili i łatwo ich pokonać.

Teraz jego największym problemem była La-Ja. Gdyby była mężczyzną, to by ją zostawił; i rozsądek mu mówił, że powinien ją tak czy inaczej zostawić, ale nie mógł. Może i była upartym głuptaskiem, ale nie miał pojęcia, jakie osobliwe standardy dumy, obyczaje, środowisko i tradycja ją ukształtowały. Jakże mógł ją osądzać? Choćby jej zachowanie wydawało mu się niezrozumiałe i niewybaczalne, to ona uważała, że postępuje jak trzeba.

– Chcę, żebyś poszła na górę za innymi, La-Ja – powiedział. – Złapią naszą trójkę, jeśli tego nie zrobisz.

– Sam sobie idź, jak chcesz – odburknęła. – La-Ja tu zostanie.

– Pamiętaj o Skrufie – napomniął ją.

– Skruf nigdy mnie nie dostanie. Zawsze mogę umrzeć – odparła.

– Czyli nie pójdziesz? – zapytał.

– Wolalabym zostać ze Skrufem, niż iść z tobą.

Von Horst wzruszył ramionami i odwrócił się. Dziewczyna uważnie go obserwowała, żeby zobaczyć, jak zareaguje na tę obelgę i zarumieniła się z gniewu, kiedy nie okazał urazy.

– Rzuć im jeszcze parę kamieni, Dangarze – polecił – a potem, najszybciej jak zdołasz, idź na szczyt klifu.

– A ty?

– Pójdę za tobą.

– I zostawisz dziewczynę?

– Nie chce iść.

Dangar wzruszył ramionami.

– Zasługuje na lanie – stwierdził.

– Zabiję każdego mężczyznę, który podniesie na mnie rękę – oznajmiła wojowniczo La-Ja.

– I tak należą ci się baty – upierał się Dangar. – Potem miałabyś więcej rozsądku.

Podniósł parę kamieni i cisnął nimi w głowę, która wychyliła się z jednej z jaskiń poniżej; potem zaczął się szybko wspinać po drabinie.

Von Horst poszedł do drugiej drabiny. Znalazł się blisko La-Ja. Chwycił ją znienacka.

– Zabieram cię ze sobą – oznajmił.

– O nie! – zawołała i zaczęła go bić i kopać.

Bez większego trudu zaniósł ją ku drabinie, ale kiedy spróbował się wspinać, dziewczyna się jej chwyciła. Udało mu się wdrapać na parę szczebli, lecz La-Ja tak rozpaczliwie się szarpała i tak mocno chwyciła się drabiny, że raz dwa się zorientował, że ich złapią, jeśli Bastianie się dostaną na tę półkę.

Ich głosy już brzmiały głośniejszy, co świadczyło, że wyszli z jaskiń. Usłyszał, jak Frug nakazuje ustawienie drabiny. Jeszcze chwila i będą tutaj. Popatrzył na piękną buzię rozgniewanej dziewczyny. Mógłby ją puścić i zostawić na łaskę Bastian. Sam wciąż mógł dotrzeć na szczyt klifu. Lecz był sposób, przed którym się wzdragał – ale nie było innego wyjścia, jeżeli ma uratować ich obydwój. Walnął ją pięścią w głowę i natychmiast zwiotczała mu w ramionach. Potem najszybciej jak zdołał wdrapał się na górę, spowalniany ciężarem nieprzytomnej dziewczyny. Już był niemal na szczycie, kiedy usłyszał z dołu triumfalny wrzask. Spojrzał w dół – Bastianin właśnie wlaził na półkę, na której stała drabina. Jeżeli jej dopadnie, to ich zrzuci – na śmierć albo w niewolę. Von Horst przesunął

dziewczynę tak, że zawisła na jego lewym ramieniu. Uwolnił tym lewą dłoń i chwycił się drabiny; prawą ręką wyjął pistolet. Musiał się skrócić, żeby móc wziąć Bastanina na cel i musiał to zrobić w ułamku sekundy. Bo jeżeli jeden się dostanie na półkę, to za nim będzie następny – a jeden strzał obu nie zatrzyma.

Strzelił, kiedy Bastianin już miał zejść z drabiny na półkę. Tamten spadł. Z dołu dały się słyszeć wrzaski i przekleństwa. I chociaż von Horst nie widział, co się stało, to miał pewność, że spadające ciało strąciło innych z drabiny. Znowu ruszył pospiesznie w górę i po chwili Dangar i Thorek wciągnęli go wraz z dziewczyną na szczyt klifu.

– Szczęście ci dopisuje – powiedział Thorek. – Spójrz, są tuż za tobą.

Porucznik spojrzał w dół. Bastianie ustawili więcej drabin i szybko się wspinali na półkę. Niektórzy już leżeli po drabinach, sięgających szczytu klifu. Niewolnicy stali przy von Horście i patrzyli na Bastian.

– Lepiej uciekajmy – powiedział jeden z nich. – Wkrótce tu będą.

– Czemu mamy uciekać? – zapytał Thorek. – Czyż nie jesteśmy lepiej od nich uzbrojeni? Mamy większość ich dzid.

– Mam lepszy plan – stwierdził von Horst. – Poczekajmy, aż drabiny będą pełne.

Przywołał do siebie resztę niewolników i czekali. Po paru sekundach obie drabiny były oblepione wspinającymi się Bastianami. Wtedy porucznik dał znak i chętne ręce odepchnęły drabiny od ściany klifu. Kiedy drabiny odpadły od ściany, Bastianie wrzasnęli z przerażenia i runęli w dół – upadli u stóp swoich kobiet i dzieci.

– Teraz stąd znikajmy – zakomenderował von Horst.

Popatrzył na dziewczynę, nadal leżącą na trawie, gdzie ją położył – i nagle dotarło do niego, że może nie żyje, że ją tym ciosem zabił. Ukląkł

przy niej i przyłożył ucho do jej serca. Biło – i to mocno. Westchnął z ulgą i znowu umieścił ją na ramieniu.

– Gdzie teraz? – zapytał zbiegłych niewolników.

– Najpierw wydostańmy się z krainy Bastian – doradził Thorek. – Potem zdecydujemy.

Droga poprowadziła przez wzgórza i górskie wąwozy i na koniec dotarli do pięknej doliny, pełnej zwierząt – ale chociaż często spotykali groźne bestie, to ich nie atakowały.

– Jest nas za dużo – wyjaśnił Dangar, kiedy von Horst o tym wspomniał. – Czasami trafia się zwierz, co zaatakuje całe plemię, ale zwykle się nas boją, kiedy jest nas dużo.

Zanim dotarli do doliny, La-Ja odzyskała przytomność.

– Gdzie jestem? – zapytała. – Co się stało?

Von Horst zdjął ją z ramienia i podtrzymał, póki się sama nie mogła utrzymać na nogach.

– Wyniosłem cię z Basti – wyjaśnił. – Teraz jesteście wolni.

Popatrzyła na niego, marszcząc brwi, jakby się starała coś sobie przypomnieć.

– Wyniosłeś mnie! Powiedziałam, że z tobą nie pójdę. Jak to zrobiłeś?

– Ja... Uśpiłem cię – wydukał; czuł się upokorzony, że ją uderzył.

– A, pamiętam. Uderzyłeś mnie.

– Musiałem. Bardzo mi przykro, ale nie było innego sposobu. Nie mogłem cię zostawić wśród tych bydlaków.

– Ale mnie uderzyłeś.

– Tak, uderzyłem cię.

– Czemu chciałeś mnie zabrać? Czemu cię obchodziło, czy zostanę tam dla Skrufa czy nie?

– No... bo ja... jak mógłbym cię tam zostawić?

– Jeśli sobie wyobrażasz, że teraz będę twoja, to się mylisz – oznajmiła zdecydowanie.

Von Horst zaniemówił. Młoda dama wyciągała kłopotliwe wnioski. Z pewnością była szczerą. Może to była charakterystyczna cecha epoki kamienia.

– Nie – odparł. – Po tym, co mi powiedziałaś i co zrobiłaś nie mam powodu sądzić, że chciałabyś być moją towarzyszką, lub że chciałbym, żebyś nią była.

– I dobrze – parsknęła. – Nie byłabym. Już bym wolała Skrufa.

– Dzięki – rzekł von Horst. – Teraz się nawzajem rozumiemy.

– I teraz możesz się zająć swoimi sprawami i zostawić mnie w spokoju – dodała La-Ja.

– Z pewnością; póki będziesz mnie słuchać.

– Nikogo nie słucham.

– Mnie będziesz – rzekł twardo – albo znowu walnę cię w głowę.

Te słowa zdumiały go bardziej niż dziewczynę. Jak mógł coś takiego powiedzieć kobiecie? Czyżby się zmieniał w prymitywną istotę? Czyżby naprawdę się stawał człowiekiem z epoki kamienia? Zostawiła go i dołączyła do kobiet. Nuciła dziwną melodyjkę; pewnie taką nuciły gwiazdom kobiety z zewnętrznej skorupy, kiedy świat był młody.

Kiedy dotarli do doliny, paru mężczyzn ubiło zwierzynę i wszyscy się na jedli. Potem urządzili naradę i omówili plany na przyszłość.

Każdy chciał wracać do swojej krainy – i choć liczebność zapewniała bezpieczeństwo, to każdy by się naraził, wchodząc do krainy drugiego. Byli i tacy, jak Dangar, którzy mogli obiecać przyjazne powitanie tym, co by im towarzyszyli do ich krainy – lecz tylko nieliczni by się ośmielili ryzykować. Tak von Horst jak i Dangar pamiętali obietnicę Skrufa i to, jak ich okłamał.

Dla von Horsta był to dziwny świat; lecz uświadomił sobie, że jest on od pięćdziesięciu tysięcy do pół miliona lat młodszy od świata, który znał; że ma własną, odmienną filozofię i etykę. Mimo to ci ludzie byli bardzo podobni do tych z zewnętrznego świata. Byli bardziej naiwni, może mniej pretensjonalni i z pewnością mieli mniej zahamowań; lecz przejawiali – może odrobinę przesadnie – wszystkie cechy mężczyzn i kobiet z o wiele starszej ludzkości.

Pomyślał o La-Ja. Wyobraził ją sobie ubraną zgodnie z najnowszą modą i dotarło do niego, że nie rzucałyby się w oczy – wyjąwszy jej wielką urodę – w żadnej europejskiej stolicy. Nikt by nie pomyślał, widząc ją, że zjawiała się z plejstocenu. Nie miał jednak pewności, co by sobie pomyślał ten, kto by ją rozzłościł.

Na naradzie postanowiono, że każdy wróci do swojej krainy. Kilku było z Amdaru i mieli pójść razem. Inni pochodzili z Go-halu. Thorek był z Jaru, krainy ludzi-mamutów; La-Ja z Loharu; Dangar z Sari. Ci troje pójdą jakiś czas z von Horstem, bo ich trasa wiodła mniej więcej w tę samą stronę.

Po naradzie znaleźli miejsce do spania, w jaskiniach klifu. Kiedy się obudzili, każdy ruszył w kierunku swojej krainy, mając za przewodnika jedynie instynkt. Krainy większości z nich nie leżały zbyt daleko. Najdalsza była Sari. Jak się domyślał von Horst, mogło ich od niej dzielić i pół tego prymitywnego świata – ale cóż znaczyła odległość, skoro nie było czasu, pozwalającego określić, ile trwała podróż?

Nie było pożegnań. Grupa lub pojedyncza osoba znikają z życia tych, z którymi przetrwały długą niewolę, z którymi wywalczyły sobie wolność. Nie było żalu z powodu rozstania – jedynie świadomość, że kiedy się znowu spotkają, to będą śmiertelnymi wrogami, pragnącymi się nawzajem pozabijać. Dotyczyło to większości z nich, ale nie wszystkich. Von Horsta i

Dangara łączyła prawdziwa przyjaźń; a ich obu z Thorekiem coś bardzo przypominającego przyjaźń. Któż mógł wiedzieć, jak było z La-Ja? Trzymała się na dystans. Może dlatego, że była córką wodza; może dlatego, że była bardzo piękną młodą kobietą, której dumę zraniono lub której doradzała to kobieca intuicja; lub dlatego, że z natury była powściągliwa. I bez względu na powód zatrzymywała to dla siebie.

Kilka snów po rozdzieleniu się grupy niewolników Thorek oznajmił, że teraz ich drogi się rozdzielają.

– Chciałbym, żebyś poszedł ze mną do Ja-ru – powiedział von Horstowi. – Powinieneś być człowiekiem-mamutem; wszyscy jesteśmy wielkimi wojownikami. Jeśli się kiedyś znowu spotkamy, to oby jako przyjaciele.

– Też bym tego chciał – odparł von Horst. – Oby to dotyczyło nas wszystkich.

Spojrzał na Dangara i La-Ja.

– Sarianin może się zaprzyjaźnić z każdym dzielnym wojownikiem – oznajmił Dangar. – Zawsze będę twoim przyjacielem.

– A ja będę przyjaciółką Thoreka i Dangara – powiedziała dziewczyna.

– A Vona? – zapytał Sarianin.

– Jego nie – brzmiała odpowiedź.

Von Horst wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Ale ja zawsze będę twoim przyjacielem, La-Ja – powiedział.

– Nie życzę sobie tego. Czyżbym wyraźnie tego nie powiedziała?

– Obawiam się, że nic na to nie poradzisz.

– To się okaże – powiedziała zagadkowo.

I tak Thorek ich opuścił, a oni poszli swoją drogą. Dla von Horsta była to beznadziejna, bezcelowa podróż. W głębi duszy nie wierzył, że tak

Dangar jak La-Ja mają jakieś pojęcie, gdzie idą. Sam nie miał instynktu odnajdowania miejsca, więc nie mógł uwierzyć, że mieli go ta kobieta i mężczyzna.

Kiedy natrafili na wysokie góry, obeszl je. Szli z biegiem tajemniczych rzek aż znaleźli bród i wtedy przechodzili na drugi brzeg, zagrożeni atakiem dziwnych gadów, od dawna wymarłych w zewnętrznym świecie. Brody były dość fatalne, ale nigdy się nie ośmielili przepłynąć rzeki. Nigdy nie wiedzieli, co leży przed nimi, bo ta kraina była równie obca dla obojga Pellucidarczyków jak dla von Horsta.

Przez niskie wzgórza dotarli do wąskiej doliny; po jej drugiej stronie rósł gęsty las, jakiego von Horst nigdy nie widział we własnym świecie. Nawet z tej odległości wydawał się ponury i złowrogi. Kiedy mijali dolinę, porucznik się ucieszył, że ich droga nie prowadziła przez las; wiedział, jak przytłaczający może się stać nieustanny półmrok gęstego lasu.

La-Ja się zatrzymała.

– Któreś do twojej krainy, Dangarze? – zapytała.

Wskazał w głąb doliny.

– Tamtędy, póki nie dotrzemy do końca tych wysokich wzgórz. Potem skręć w prawo.

– To nie moja trasa – powiedziała dziewczyna. – Lo-har leży tam – i wskazała las. – Muszę cię teraz opuścić i pójść do mojej krainy.

– Ten las mi się nie podoba – stwierdził Dangar. – Możesz nie wyjść stamtąd żywa. Chodź do Sari z Vonem i ze mną. Będzie ci tam dobrze.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Jestem córką wodza. Muszę wrócić do Lo-har i urodzić synów, bo mój ojciec nie ma żadnego i po jego śmierci mój lud nie miałby dobrego wodza.

– Ale nie możesz iść sama – oznajmił von Horst. – Nigdy byś nie uszła z życiem. Naraziłabyś się na śmierć i nigdy byś nie miała synów.

– Muszę iść – upierała się. – Bo niby po co jestem córką wodza?

– Nie boisz się? – zapytał von Horst.

– Jestem córką wodza – odparła, dumnie unosząc głowę (lecz von Horstowi się zdawało, że drżała jej broda; ale może był to tylko cień).

– Żegnaj, Dangarze – powiedziała i ruszyła ku lasowi.

Nie pożegnała się z von Horstem, nawet na niego nie spojrzała.

Człowiek z górnego świata patrzył na smukłą postać idącej w stronę lasu dziewczyny. Po raz tysięczny dostrzegł sposób trzymania blond głowy, niemal królewską postawę, lekki i pełen gracji koci chód. Nie wiedział, co nim kierowało, nie umiał nazwać tego przymusu. Zmuszało go do działania coś wykraczającego poza rozsądek, coś upajającego jak olśnienie. Nie chciał tego analizować – chciał być temu posłuszny.

– Bywaj, Dangarze – powiedział.

– Bywaj?! – wykrzyknął Sarianin. – Gdzie idziesz?

– Idę z La-Ja do Lo-har – odrzekł von Horst.

LAS ŚMIERCI

Słyszając to Dangar spojrział na von Horsta ze zdumieniem.

– Czemu? – zapytał.

Von Horst potrząsnął głową.

– Nie wiem. Mam jeden doskonały powód: nie zniósłbym, że dziewczyna sama idzie przez tę dziką krainę, w ten złowrogo wyglądający las. Lecz wiem, że kieruje mną coś jeszcze, o wiele głębszego, coś tak niewytłumaczalnego i niepowstrzymanego jak instynkt.

– Pójdę z tobą – zaproponował Dangar.

Von Horst potrząsnął głową.

– Nie. Idź do Sari. Jeżeli przeżyję, to przyjdę tam.

– Nigdy nie odnajdziesz Sari.

– Znajdę, z twoją pomocą.

– Jak pomogę, skoro mnie z tobą nie będzie?

– Wytyczysz szlak. Oznacź drzewa. Kładź na ziemi kamienie, o tak, pokazując w którą stronę idziesz – ułożył parę kamieni, formując strzałkę

wskazującą gdzie idą. – Idziesz przede wszystkim szlakami zwierzyny, więc będziesz musiał tylko zaznaczać miejsca, w których zbaczasz z głównej ścieżki. Jeśli to zrobisz, będę mógł pójść za tobą. Oznaczę trasę stąd do nieznanego celu, więc znajdę drogę powrotną.

– Nie mam ochoty cię zostawiać – rzekł Dangar.

– Tak będzie najlepiej – odparł von Horst. – W Sari czeka na ciebie dziewczyna. Na mnie nikt nigdzie nie czeka. Nie wiemy, jak daleko jest do krainy La-Ja. Może nigdy tam nie dojdziemy; albo nigdy stamtąd nie wrócimy. Najlepiej, żebyś poszedł do Sari.

– No dobrze – ustąpił Dangar. – Będę tam na ciebie czekać. Do widzenia.

Odwrócił się i poszedł w głąb dolinki.

Von Horst patrzył za nim przez chwilę, myśląc o dziwnym splocie okoliczności, dzięki któremu się spotkali mimo dzielących ich pięciuset tysiącach lat i o jeszcze dziwniejszym fakcie – że tyle ich łączyło, że mogli się trwale zaprzyjaźnić. Westchnął i spojrzął za La-Ja.

Dziewczyna była w połowie drogi do lasu. Szła swobodnie, dumnie unosząc brodę i nie patrząc za siebie. Na tle potężnego lasu wydawała się taka mała; i taka odważna. Wzrok porucznika na moment zamgliło coś jakby łzy, a potem ruszył za nią.

Nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, co robi. Wiedział, że idzie za dziewczyną na bezdroża, z których żadne z nich może się nie wydostać i że się rozstał (bez wątpienia na zawsze) z jedynym przyjacielem w tym prymitywnym świecie, że zrezygnował z pójścia do krainy, gdzie mógłby w miarę bezpiecznie żyć i zyskać nowych przyjaciół – i to wszystko dla dziewczyny, która go unikała i ignorowała. Nie miał jednak pojęcia, że kiedy reszta ekspedycji odleci w stronę otworu w północnym biegunie i potem do zewnętrznego świata, to Jason Gridley postanowi zostać w

wewnętrznym świecie, udać się do Sari i zorganizować wyprawę, żeby go szukać. Nie wiedział, że przypuszczalnie rezygnuje z jedynej możliwości ratunku – ale gdyby to wiedział, to najprawdopodobniej i tak by nie zmienił decyzji.

Dogonił La-Ja na skraju lasu. Usłyszała jego kroki i odwróciła się, żeby się przekonać, kto za nią idzie. Niezbyt się zdziwiła. Von Horst w ogóle miał wrażenie, że nic by jej nie zdziwiło.

– Czego chcesz? – zapytała.

– Idę z tobą do Lo-har – powiedział.

– Wojownicy Lo-har pewnie cię zabiją, kiedy się tam zjawisz – oznajmiła radośnie.

– I tak z tobą pójdę – nie ustępował von Horst.

– Nie prosiłam, żebyś szedł. Lepiej zawróć i idź z Dangarem do Sari.

– Wysłuchaj mnie, La-Ja – prosił. – Nie mogę puścić cię samej, wiedząc, że mogą ci zagrozić dzikie bestie i równie dzicy ludzie. Muszę iść z tobą, póki nie będzie mnie miał kto zastąpić. Czemu nie moglibyśmy być dla siebie mili? Czemu mnie tak nie lubisz? Co takiego zrobiłem?

– Jeśli ze mną pójdziesz, to będzie musiało być tak jak byśmy byli przyjaciółmi, tylko przyjaciółmi, obojętnie czy nimi jesteśmy czy nie – odparła, ignorując dwa ostatnie pytania. – Rozumiesz, tylko przyjaciółmi?

– Rozumiem. Czy kiedykolwiek prosiłem o więcej?

– Nie – burknęła.

– I nie poproszę. Zależy mi tylko na twoim bezpieczeństwie. Odejdę, kiedy już będziesz wśród swoich.

– O ile cię nie zabiją, zanim zdążysz uciec – przypomniała mu.

– Czemu mieliby mnie zabić? – zapytał.

– Jesteś obcy, a my zawsze zabijamy obcych, żeby oni nie zabili nas; albo prawie zawsze. Czasami, jeśli mamy powody bardzo ich lubić, to pozwalamy im żyć. Ale Gaz cię nie polubi. Zabije cię, jeśli inni tego nie zrobią.

– Kto to jest Gaz? I czemu miałyby chcieć mnie zabić?

– Gaz jest wielkim wojownikiem, świetnym łowcą. Sam jeden zabił rytha.

– Nie jestem rythem i dlatego dalej nie rozumiem, czemu miałyby chcieć mnie zabić – upierał się von Horst.

– Nie spodoba mu się, kiedy się dowie, że byliśmy razem przez tyle snów. Jest bardzo zazdrosny.

– Kim jest dla ciebie? – zainteresował się von Horst.

– Zanim Bastianie mnie porwali, miał nadzieję, że zostaniemy parą. I dalej będzie tego chciał, jeśli sobie nie wzięł innej kobiety. Gaz jest bardzo porywczy i bardzo niedobry. Zabił wielu ludzi. Często najpierw ich zabija, a potem się o nich rozpytuje. Przez to zabił wielu, których by nie zabił, gdyby wpierw się dowiedział, że nic złego mu nie zrobili.

– Chcesz zostać jego towarzyszką? – zapytał von Horst.

Wzruszyła kształnymi ramionami.

– Muszę kogoś wybrać, aby urodzić synów, żeby Lo-har miał wodza, kiedy mój ojciec umrze. A La-Ja złączy się jedynie z mocarnym mężczyzną. Gaz jest mocarnym mężczyzną.

– Pytałem, czy chcesz z nim być. Kochasz go, La-Ja?

– Nikogo nie kocham. A poza tym to nie twoja sprawa. Zawsze się wtrącasz i dopytujesz o to, co cię nie dotyczy. Jak chcesz, to chodź ze mną. Nie dojdziemy do Lo-har stojąc i gadając o głupotach.

– Będziesz musiała prowadzić. Nie wiem, gdzie jest Lo-har.

Ruszyli.

– Gdzie jest twoja kraina? – zapytała. – Może leży w tej samej stronie co Lo-har tylko dalej. To by było dla ciebie korzystne, o ile, ma się rozumieć, uszedłbyś z życiem z Lo-har.

– Nie wiem, gdzie jest mój kraj – przyznał.

Zmarszczyła brwi i spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Chcesz powiedzieć, że nie znalazłbyś drogi do domu? – zapytała.

– Właśnie. Nawet bym nie miał pojęcia, w którą stronę ruszyć.

– Jakie to dziwne – stwierdziła. – Nigdy nie słyszałam o czymś tak głupim, z wyjątkiem biedaków, co mają chorą głowę. O niczym nie mają pojęcia. Widziałam paru takich. Stali się tacy po ciosach w głowę. Kiedyś znajomy chłopiec zleciał z drzewa i upadł na głowę. Już nigdy nie był normalny. Myślał, że jest taragiem i latał na czworakach warcząc i rycząc. Któregoś dnia jego ojciec miał dość słuchania tego i go zabił.

– Uważasz, że jestem jak ten chłopiec?

– Nigdy nie widziałam, żebyś się zachowywał jak tarag – przyznała. – Ale jesteś bardzo dziwny i pod wieloma względami okropnie głupi.

Von Horst nie mógł powstrzymać uśmiechu i dziewczyna to zobaczyła. Dotknęło ją to do żywego.

– Uważasz, że jest się z czego śmiać? – zapytała. – I co ty właściwie robisz? Czemu dziabiesz nożem tyle drzew? Już samo to wystarczy, żeby ktoś pomyślał, że masz coś z głową.

– Znaczą szlak, którym idziemy – wyjaśnił, – żebyśmy mógł odnaleźć drogę powrotną jak cię zostawię.

Bardzo ją to zaintrygowało.

– Może jednak nie jesteś aż tak chory na głowę. Nawet mój ojciec nigdy o czymś takim nie pomyślał.

– Nie musiał, skoro jak wszyscy Pellucidarczycy potrafi łątwo odnaleźć drogę – przypomniał jej von Horst.

– O, nie zawsze łątwo jest znaleźć drogę, o ile nie chodzi o naszą własną krainę – wyjaśniła. – Zabierz nas gdzie chcesz w Pellucidarze i zawsze znajdziemy drogę do domu, ale moglibyśmy nie trafić do miejsca, w które nas zabrałeś. Dzięki twojemu sposobowi moglibyśmy je odnaleźć. Muszę o tym powiedzieć ojcu.

Weszli głębiej w las i von Horst był pod wrażeniem panującego tu złowieszczonego półmroku. Gęste listowie wierzchołków drzew tworzyło zwarty dach, nieprzepuszczający słonecznych promieni. W rezultacie stale panował tu półmrok i było znacznie chłodniej niż na otwartej przestrzeni – spowalniało to rozrost podszycia i ziemię pomiędzy pniami drzew pokrywały głównie suche liście. Nieliczne rośliny, które jakoś wytrzymały w tych trudnych warunkach, były niemal bezbarwne – chorobliwe, groteskowe formy, jeszcze bardziej nasilające smutek tego odpychającego świata.

Od kiedy weszli do lasu grunt szybko się wznosił i wreszcie wspinali się na całkiem stromą pochyłość. Potem znienacka znaleźli się na grani i zeszli w jar; ale gęsty las rósł jak daleko sięgali wzrokiem.

La-Ja przecięła jar i zaczęła się wspinać na przeciwległy stok i von Horst zapytał, dlaczego nie próbuje znaleźć łątwiejszej drogi, idąc jarem aż do końca wzgórz.

– Idę prostą drogą do Lo-har – odparła dziewczyna.

– A jeśli natrafisz na morze?

– Okrążę je, ma się rozumieć, ale idę po prostej wszędzie tam, gdzie mogę iść.

– Mam nadzieję, że nie przetną nam drogi Alpy – powiedział półgłosem.

– Nie wiem, co to Alpy, ale będzie mnóstwo innych zwierząt.

– Jeśli chcemy jeść, to powinno być więcej zwierząt, niż zobaczyliśmy od wejścia do lasu – stwierdził von Horst. – Nie widziałem nawet ptaka.

– Zwróciłam na to uwagę – rzekła La-Ja. – I na to, że nie ma tu ani owoców, ani orzechów, ani w ogóle nic jadalnego. Nie podoba mi się ten las. Pewnie jest to Las Śmierci.

– Co to takiego, ten Las Śmierci?

– Słyszałam o nim. Mój lud o nim mówi. Leży w pewnej odległości od Lo-har. Żyje tam rasa odrażających ludzi, zupełnie odmiennych od innych. Może to ten las.

– Jak dotąd nie widzieliśmy niczego, co by nam mogło zagrozić – pocieszył ją porucznik.

Wyszli z jaru i znaleźli się na bardziej płaskim terenie. Las wydawał się jeszcze bardziej gęsty niż przedtem. Ciemność rozjaśniało jedynie mgliste, rozproszone światło.

Nagle La-Ja się zatrzymała.

– Co to takiego? – zapytała. – Widziałeś to?

– Widziałem, że coś się poruszyło, ale nie zauważyłem, co to było. Zniknęło w tych drzewach przed nami, po prawej. Właśnie to widziałaś?

– Tak. Było dokładnie tam – wskazała. – Nie podoba mi się ten las. Nie wiem, czemu, ale mam uczucie, że jest zły, nieczysty.

Von Horst skinął głową.

– Jest niesamowity. Ucieszę się, kiedy stąd wyjdziemy.

– Tam! – wykrzyknęła La-Ja. – Znowu jest. Całe białe. Co to może być?

– Nie wiem. Tylko mi mignęło. Ale pomyślałem... pomyślałem, że to coś jakby człowiek. Tak tu ciemno, że trudno coś wyraźnie zobaczyć, chyba, że jest się bardzo blisko.

Szli w milczeniu, bacznie się rozglądając na wszystkie strony. Von Horst zauważył, że dziewczyna trzymała się bardzo blisko niego. Często dotykała ramieniem jego piersi, jakby ten kontakt dodawał jej pewności siebie. Jeszcze bardziej się cieszył, że uparł się iść z nią. Wiedział, że za nic by się nie przyznała, że się boi. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu – niezrozumiałego dla niego – cieszył się, że się bała. Pewnie zaspokajało to jego instynkt opiekuńczy. Może czyniło ją bardziej kobietą – a von Horst lubił kobiece dziewczyny.

Przeszli niewielki odcinek od miejsca, w którym widzieli poruszającą się wśród drzew tajemniczą istotę, nie dostrzegając w lesie żadnej innej oznaki życia. Nagle wystraszyły ich wrzaski, którym towarzyszyły ryki i dziwne syczenie. Zatrzymali się i La-Ja przywarła do von Horsta. Poczuł, że lekko drży i objął ją ramieniem, dodając otuchy. Dźwięki prędko się zbliżały. Wrzaski – dziwnie przypominające ludzki głos – były pełne przerażenia i rozpacz; stawały się coraz przenikliwsze. Potem nagle zobaczyli tego, kto je wydawał – nagiego człowieka z twarzą wykrzywioną przerażeniem. I to jakiego człowieka! Jego skóra była trupio blada, bez życia i urody; włosy miał białe. Dwa duże psie kły zakrzywiały się ku brodzie. Różowe tęczęwki okalały krwistoczerwone źrenice – przez co (i tak już odrażający) wyglądał jeszcze ohydniej.

Za nim, sycząc i porykując, galopował mały dinozaur. Nie był dużo większy od szetlandzkiego kuca, lecz mógł wystraszyć nawet najdzielniejszych mężczyzn, tak przypominał potężnego Tyranozaura rexa, króla panujących w kredzie gadów.

Dinozaur, zobaczywszy von Horsta i La-Ję, skręcił zniemacka w ich stronę i pognał ku nim sycząc i rycząc niczym rozszalały parowóz. Był tak blisko, że nawet nie mogli szukać schronienia wśród drzew i von Horst zareagował instynktownie, jak zrobiłby to każdy z jego wyszkoleniem.

Wyszarpnął pistolet z kabury i strzelił; potem prędko uskoczył z drogi szarżującej bestii, ciągnąc za sobą La-Ja.

Dinozaur, paskudnie ranny, ryknął z wściekłości, niemal się przewracając. Von Horst strzelił drugi raz, kiedy zwierz go mijał, potykając się i wpakował kulę .45 tuż za lewym barkiem. Tym razem bestia upadła – lecz porucznik, wiedząc jak żywotne są gady, nie dowierzał, że niebezpieczeństwo minęło. Chwycił La-Ja za rękę i prędko podbiegł do najbliższego drzewa; ukryli się za pniem. Nad nimi, poza ich zasięgiem, rosły najniższe gałęzie – idealna kryjówka, do której się nie mogli dostać. Jeśli obie kule nie powstrzymały na dobre dinozaura, to mogli liczyć jedynie na to, że kiedy się podniesie i od razu ich nie zobaczy, to polezie w złą stronę.

Von Horst obserwował zza drzewa, jak zwierz szarpie łapami gęstą roślinność, jakby się próbował podnieść. Widział, że chociaż jest poważnie ranny, to daleko mu do śmierci. La-Ja tuliła się do niego. Czuł, jak bije jej serce. Dinozaur wreszcie chwiejnie się podniósł; zrobiło się nerwowo. Przez chwilę się chwia, jakby znowu miał upaść; potem powoli obrócił się wokół osi. Uniósł pysk, węszył. Ruszył w ich stronę – powoli i ostrożnie. Porucznik uznał, że wygląda teraz o wiele groźniej, niż podczas tamtego szaleńczego ataku. Sprawiał wrażenie zimnej, wyrachowanej, skutecznej niszczycielskiej maszyny; żywego narzędzia zemsty, które zażąda oka za oko i nie spocznie, póki się skutecznie nie zemści. Szedł wprost ku drzewu, za którym się schowali. Porucznik nie wiedział, czy dinozaur nie dostrzegł jego głowy, nieco wystającej zza pnia. Lecz z całą pewnością szedł prosto na nich – kierując się wzrokiem lub węchem.

Dla von Horsta była to chwila pełna napięcia. Przez moment nie bardzo wiedział, co powinien zrobić. Potem się zdecydował. Pochylił się ku La-Ja i szepnął:

– Bestia nadciąga. Pobiegnij ku temu drzewu za nami i schowaj się za jego pniem, żeby zwierz cię nie zobaczył. Potem idź od drzewa do drzewa, póki nie będziesz bezpieczna. Zawołam cię, kiedy padnie.

– A co ty zrobisz? Pójdiesz ze mną?

– Zaczekam tutaj, żeby się upewnić, że nie żyje. W razie potrzeby poślę mu jeszcze parę kulek.

Potrząsnęła głową.

– Nie.

– Pospiesz się! – przynaglił. – Jest już blisko. Wypatruje nas.

– Zostanę z tobą – oznajmiła twardo La-Ja.

Ton jej głosu wskazywał, że żadne argumenty nie pomogą. Na tyle poznał już swoją La-Ja. Wzruszył ramionami i ustąpił, potem znowu wyjrzał zza pnia – dinozaur był już o parę kroków od drzewa.

Porucznik nagle wyskoczył zza drzewa i biegiem przeciął drogę dinozaurowi. Zrobił to tak szybko, że zaskoczona La-Ja nie zareagowała. Lecz dinozaur tak. Zrobił dokładnie to, na co liczył von Horst. Zaryczał wściekle i ruszył za porucznikiem, który tym sposobem odciągnął go od dziewczyny. Potem się odwrócił i stawił czoło bestii. Wystrzelił z pistoletu, pakując kule w szeroką pierś zwierza. A ten dalej atakował.

Von Horst opróżnił magazynek – dinozaur był tuż tuż. Ujrzał, jak La-Ja pędzi ku niemu, jakby chciała odeprzeć dzidą (w tym przypadku kruchą i małą) atak rozszalałego gada. Próbował uskoczyć z drogi szarżującej bestii, ale była zbyt blisko. Stała na tylnych łapach i pazurzastą przednią łapą uderzyła von Horsta w głowę – padł nieprzytomny na ziemię.

KOSTNICE

Von Horst odczuwał spokój i dobrostan. Docierało do niego, że się budzi z długiego i krzepiącego snu. Nie otworzył oczu. Było mu tak przyjemnie, że nie miał na to ochoty; wolał przedłużyć tę beztroską radość. Lecz to upojenie brutalnie przerwała narastająca świadomość, że boli go głowa. Dotarło do niego, że wcale nie jest mu przyjemnie. Poczucie spokoju i dobrostanu rozwiało się jak sen, którym było. Otworzył oczy i spojrzał w twarz La-Ja, schyloną nisko nad jego własną twarzą. Głowę miał na kolanach dziewczyny. Miękka dłoń gładziła mu czoło.

– Nic ci nie jest, Von? – wyszeptała La-Ja. – Nie umrzesz?

Uśmiechnął się do niej cierpko.

– O Śmierci! Gdzież jest ościń twój? – zacytował.

– Nie ukłułam cię – zapewniła La-Ja. – Dinozaur uderzył cię łapą.

Von Horst się uśmiechnął.

– Głowa tak mnie łupie, jakby mnie walnął dwuręcznym młotem. Gdzie jest? Co się z nim stało?

Z trudem odwrócił głowę w bok i zobaczył dinozaura, leżącego nieruchomo blisko nich.

– Umarł zaraz po tym, jak cię uderzył – wyjaśniła dziewczyna. – Jesteś bardzo odważnym mężczyzną, Von.

– A ty bardzo odważną dziewczyną – odparł. – Widziałem, jak biegłaś mi na pomoc. Nie powinnaś była tego robić.

– Miałam stać i patrzeć, jak giniesz, kiedy rozmyślnie ściągnęłaś na siebie atak zaritha, żeby mnie ocalić?

– A więc to jest zarith?

– Tak, małe zaritha – wyjaśniła dziewczyna. – Na nasze szczęście nie był to jeden z dorosłych; ale ma się rozumieć nikt nigdy nie zobaczyłby w lesie w pełni wyrosniętego zaritha.

– Nie? A czemu?

– Po pierwsze są za wielkie, a tak w ogóle to nie znalazłyby tu nic do jedzenia. Dorosły zarith jest osiem razy tak wysoki jak człowiek. Nie mógłby się swobodnie poruszać wśród tych drzew, a kiedy by stawał na tylnych łapach, to by uderzał łbem w konary. Zabijają thagi i tandory i inne duże zwierzęta, rzadko wchodzące do lasu, a przynajmniej do takiego lasu jak ten.

Von Horst zagwizdał cicho, próbując sobie wyobrazić gada, długiego niemal na pięćdziesiąt stóp, pożywiającego się wielkimi turami, przodkami współczesnego bydła i olbrzymimi mamutami.

– Taaak – przyznał. – Z pewnością dobrze, że wpadliśmy na juniora, a nie na tatę. Ale ale, La-Ja, co się stało z tym „człowiekiem”, którego ścigał zarith?

– Wcale się nie zatrzymał. Widziałam, jak się obejrzał, kiedy narobiłeś hałasu tym czymś co nazywasz pistoletem; ale się nie zatrzymał. Uważam, że powinien zawrócić i pomóc ci. Pewnie pomyślał, że jesteś chory na

głowę, skoro nie uciekasz. Tylko bardzo odważny mężczyzna nie ucieka przed zarithem.

– Nie było gdzie uciec. Gdyby było, to nadal bym uciekał.

– Nie wierzę w to – stwierdziła La-Ja. – Gaz by uciekł, ale nie ty.

– Trochę bardziej mnie lubisz, La-Ja?

Tak bardzo tęsknił za przyjaźnią – nawet przyjaźnią tej barbarzyńskiej dziewczyny z epoki kamienia.

– Nie – odparła stanowczo. – Ani trochę cię nie lubię, ale rozpoznam odważnego mężczyznę na pierwszy rzut oka.

– Czemu mnie nie lubisz, La-Ja? – zapytał trochę smutno. – Bo ja cię lubię. Lubię cię... bardzo.

Zawahał się. Jak bardzo ją lubił?

– Po pierwsze, nie lubię cię dlatego, że jesteś chory na głowę; a po drugie, bo nie jesteś z mojego plemienia. Poza tym wciąż mną dyrygujesz, jakbym była twoja.

– Teraz z pewnością jestem chory na głowę – przyznał. – Ale to nie wpływa na mój dobry charakter i inne znakomite zalety; no i nic na to nie poradzę, że nie należę do twojego plemienia. Nie możesz mi mieć tego za złe. Po prostu moi rodzice popełnili błąd, nie rodząc się w Pellucidarze i naprawdę nie możesz ich za to winić, zwłaszcza jak weźmiesz pod uwagę, że nigdy o takim miejscu nie słyszeli. A co do dyrygowania tobą, La-Ja, to robiłem to wyłącznie dla twojego dobra.

– I jeszcze nie znoszę tego, jak czasem mówisz, śmiejąc się w duchu. Wiem, że się śmiejesz ze mnie, że sobie ze mnie kpisz, bo uważasz, że świat, z którego pochodzisz jest o wiele lepszy od Pellucidaru, że tamtejsi ludzie są mądrzejsi.

– Myślisz, że mnie kiedyś polubisz? – zapytał, już na poważnie.

– Nie. Umrzesz, zanim zdążę cię polubić.

– Pewnie Gaz się o to postara?

– Gaz albo ktoś inny z mojego plemienia. Dałbyś już radę wstać?

– Bardzo mi tu wygodnie. Jeszcze nigdy nie miałem tak uroczej poduszki.

Ujęła jego głowę, dość delikatnie i położyła na ziemi; potem wstała.

– Zawsze się ze mnie naśmiewasz słowami.

Porucznik też wstał.

– Śmieję się z *tobą*, La-Ja, nigdy z *ciebie*.

Popatrzyła na niego bacznie, jakby się zastanawiała nad jego słowami. Był pewien, że próbowała z nich wyczytać jakiś niemiły podtekst – ale ich nie skomentowała. Zapytała tylko:

– Dasz radę iść?

– Tak się czuję jakbym tańczył sarabandę, ale chyba mogę iść. Prowadź do Lo-har i pochopnego Gaza.

Poszli w głąb ciemnego lasu, niewiele rozmawiając podczas stromych podejść, które wciąż przegradzały im drogę. Na koniec jedno z urwisk zablokowało im bezpośredni szlak. La-Ja skręciła w lewo i poszła podnóżem klifu. Nie wahała się ani przez chwilę, nie miała najmniejszych wątpliwości – więc von Horst zapytał, czemu skręciła w lewo, a nie w prawo.

– Znasz najkrótszą drogę, kiedy nie możesz iść po prostej?

– Nie – przyznała. – Ale kiedy się jej nie zna i nie można słuchać głowy, to zawsze należy skręcać w lewo i słuchać serca.

Skinął ze zrozumieniem głową.

– Całkiem rozsądna myśl – stwierdził. – Przynajmniej oszczędza bezużytecznego dzielenia włosa na czworo.

Przyjrzał się ścianie klifu, od niechcienia mierząc wzrokiem jej wysokość. Zobaczył te same wielkie drzewa, rosnące blisko krawędzi, co świadczyło, że las ciągnął się i dalej. Zobaczył jeszcze coś – coś mu przelotnie mignęło, ale był pewien, że to rozpoznał.

– Ktoś nas obserwuje – powiedział.

La-Ja spojrzała w górę.

– Widziałeś coś?

Potaknął.

– Wyglądało jak nasz białowłosy przyjaciel, albo ktoś do niego podobny.

– Nie jest naszym przyjacielem – zaprotestowała, nie rozumiejąc ironii.

– Śmiałem się słowami, jak to nazywasz – wyjaśnił.

– Szkoda, że cię nie lubię – powiedziała La-Ja.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Chciałbym, żebyś mnie lubiła; ale czemu ty tego chcesz?

– Chciałabym lubić mężczyznę, który się potrafi śmiać w twarz niebezpieczeństwu.

– No to spróbuj, proszę. Naprawdę uważasz, że ten ktoś jest niebezpieczny? Nie wyglądał zbyt groźnie, kiedy go widzieliśmy, jak demonstrował zarithowi swobodę lasu.

Dziewczyna zmarszczyła brwi i przyjrzała mu się, zdumiona.

– Czasem wydajesz się taki, jak inni; a potem coś powiesz i dociera do mnie, że jesteś bardzo chory na głowę.

Von Horst głośno się roześmiał.

– Widzę, że dwudziestowieczny humor nie ma wzięcia w plejstocenie.

– I znowu to robisz! – prychnęła. – Nawet mój ojciec, który jest bardzo mądry, nie wiedziałby, o czym przez większość czasu mówisz.

Szli podnóżem klifu, nieustannie wypatrując oznak, że ktoś ich obserwuje lub za nimi idzie.

– Czemu uważasz, że ten białowłosy facet jest niebezpieczny?

– W pojedynkę mógłby nam nie zagrażać. Lecz gdzie jest jeden, musi być plemię; a każde obce plemię byłoby dla nas groźne. Jesteśmy w ich krainie. Znają miejsca, gdzie mogliby najłatwiej nas napaść i zabić. My nie wiemy, co jest poza zasięgiem naszego wzroku. Jeżeli to jest Las Śmierci, to mieszkający tu ludzie są niebezpieczni, bo nie są tacy, jak inni. Słyszałam, jak o tym mówiono. Nikt z żyjących teraz ludzi z mojego plemienia nigdy tu nie był, ale opowieści, przekazywane z ojca na syna mówią o dziwnych sprawach, jakie się wydarzyły w Lesie Śmierci. Moi współplemieńcy to mężni ludzie, ale żaden z nich nie poszedłby do tego lasu. W Pellucidarze są rzeczy, których wojownicy nie mogą pokonać bronią. I wiadomo, że takie rzeczy są w Lesie Śmierci. Jeżeli naprawdę w nim jesteśmy, to możemy nigdy nie dotrzeć do Lo-har.

– Biedny Gaz! – wykrzyknął von Horst.

– O co ci chodzi?

– Bardzo mu współczuję, bo nie zazna przyjemności zabicia mnie czy wzięcia cię na żonę.

Spojrzała na niego ze wstrętem i dalej szła w milczeniu. Obydwoje byli przekonani, że ktoś za nimi idzie – ale żaden dźwięk nie zakłócił głuchoj ciszy lasu, nie dostrzegli też niczego, co by potwierdziło ich podejrzenia. W końcu uznali, że to coś, co zobaczyli na szczycie klifu, poszło sobie i nie będzie się im naprzykrzać.

Dotarli do wlotu jaskini w klifie, a ponieważ obydwójce od jakiegoś czasu nie spali, von Horst zaproponował, żeby do niej weszli i odpoczęli. Głowa wciąż go bolała i chciało mu się spać. Wejście do jaskini było małe i porucznik musiał się dostać do środka na czworakach, żeby sprawdzić

wnętrze. Wsunął przed siebie dzidę i dźgał nią, badając, czy w mroku nie kryje się jakieś zwierzę i przy okazji sprawdzając, czy jaskinia jest wystarczająco duża, żeby ich pomieścić.

Wszystko było jak trzeba, więc wszedł do środka, a po chwili dołączyła do niego La-Ja. Przekonali się, że jaskinia zagłębia się nieco w klif, ale chodziło im tylko o miejsce do spania, więc ułożyli się przy wejściu. Von Horst leżał głową w stronę wejścia, z dzidą pod ręką, żeby dźgnąć każdego intruza, który by go zbudził. La-Ja ułożyła się parę stóp od niego, bardziej w głębi jaskini. Do środka wpadał łagodny ciąg świeżego powietrza, rozpraszając woń wilgoci i stęchlizny, której porucznik już się spodziewał w jaskiniach. Wkrótce zasnęli.

Kiedy von Horst się obudził, głowa go już nie bolała i czuł się o wiele lepiej. Przekręcił się na plecy, przeciągnął i ziewnął.

– Nie śpisz? – zapytał La-Ja.

– Nie. Wypocząłeś?

– O tak. Właśnie się obudziłem. Głodna?

– Tak i pić też mi się chce.

– No to ruszajmy. Wydaje się, że musimy wyjść z tego lasu zanim znajdziemy coś do jedzenia.

– Dobrze, ale czemu na zewnątrz jest tak ciemno?

Von Horst ukląkł i popatrzył ku wejściu. Nic nie zobaczył. Nawet mroku lasu. Pomyślał, że może się odwrócił podczas snu i teraz patrzy w złą stronę – ale bez względu na to, w którą stronę się obrócił, zawsze napotykał nieprzeniknioną czerń. Popęzł przed siebie, macając rękami. Tam, gdzie powinno było być wejście, wyczuł wypukłą powierzchnię dużego głazu. Przesunął palcami po obrzeżu – znalazł grudki ziemi.

– Zablokowano wejście, La-Ja – poinformował ją.

– Ale co mogło to zrobić i nie obudzić nas?

– Nie wiem – przyznał, – ale wejście do jaskini w jakiś sposób zatkało głazem i ziemią. Powietrze już tu nie dociera, jak wtedy kiedy weszliśmy.

Spróbował wypchnąć głaz, ale nie mógł go poruszyć. Potem zaczął zdrapywać ziemię – ale w miejsce tego, co zdrapał, od razu sypało się jeszcze więcej. La-Ja podeszła do niego i wspólnymi siłami starali się odepchnąć głaz – bez skutku.

– Zamknięto nas jak szczury w pułapce – rzekł zniesmaczony von Horst.

– Bez dopływu świeżego powietrza udusimy się, o ile nie zdołamy się jakoś wydostać.

– Musi być jeszcze jeden wlot – orzekł porucznik.

– Czemu tak myślisz? – spytała dziewczyna.

– Zapomniałaś, że kiedy tu weszliśmy, do środka wpadał prąd powietrza?

– A tak, racja.

– Skoro powietrze wpadało tym wlotem, to musiało się wydostawać innym otworem. Jeśli go znajdziemy, to może i nam się uda wydostać.

– Sądzisz, że to białowłosego mężczyzna i jego współplemieńcy zablokowali wyjście?

– Tak mi się zdaje – odparł von Horst. – To musieli zrobić jacyś ludzie. Żadne zwierzę nie zrobiłoby tego tak cicho, żeby nas nie obudzić. No i z tego samego powodu nie wchodzi w grę trzęsienie ziemi.

– Ciekawa jestem, czemu to zrobili.

– Pewnie to łatwy i bezpieczny sposób zabicia obcych, którzy weszli do ich krainy – podsunął porucznik.

– Po prostu zostawić nas, żebyśmy umarli z głodu, albo się udusili – powiedziała ze wstrętem dziewczyna. – Tylko tchórze tak robią.

– Założę się, że Gaz by nigdy czegoś takiego nie zrobił – stwierdził von Horst.

– Gaz? Gołymi rękami zabił wielu mężczyzn. Czasami przegryza im dużą żyłę w szyi i wykrwawiają się na śmierć. A raz odpychał głowę jednego do tyłu póki mu nie złamał karku.

– Jaki uroczy towarzysz zabaw!

– Gaz nigdy się nie bawi. Uwielbia zabijać: to jego rozrywka.

– Cóż, jeśli mam go poznać, to muszę się stąd wydostać. Wejźmy w głąb jaskini i przekonajmy się, czy znajdziemy drugie wyjście. Trzymaj się tuż za mną.

Von Horst powoli wstał, oceniając wysokość jaskini i stwierdził, że mogą się wyprostować. Potem ostrożnie ruszył w głąb, jedną ręką dotykając ściany. Szedł bardzo powoli, przy każdym kroku badając stopą podłoże, zanim ją postawił. Nie uszli daleko, kiedy wyczuł stopą coś, co wziął za gałązki i liście. Pochylił się i dotknął ich. Były to suche gałęzie, których wciąż jeszcze się trzymały zeschnięte liście i gęste długie trawy. Dno jaskini było w tym miejscu grubo nimi zasłane.

– To musiało być miejsce snu jakiegoś zwierzęcia, albo i ludzi – powiedział. – Szkoda, że nie mam światła; nie lubię tak leżeć na oślep w ciemności.

– Mam swoje krzemienie – oznajmiła La-Ja. – Gdybyśmy mieli jakąś podpałkę, to mogłabym zapalić pęk tych traw.

– Przygotuję jakoś – zaproponował von Horst.

Pochylił się i oczyścił kawałek dna jaskini, odsłaniając gołą ziemię; potem zebrał trochę suchych liści i rozkruszył je w dłoniach – mieli na gołej ziemi odrobinę podpałki.

– Teraz spróbuj – powiedział, nakierowując dłoń dziewczyny na podpałkę.

La-Ja uklękła obok niego i uderzała krzemieniem o krzemień, w jedno miejsce, póki nie zaczęło się jarzyć. Wtedy się nachyliła i lekko dmuchnęła. Buchnął płomień. Von Horst już miał przygotowany pęk traw i chwilę później trzymał w ręce płonąca pochodnię.

Rozejrzeli się wokół w jej blasku. Byli w dużej komorze, utworzonej przez rozszerzenie jaskini. Dno było zasłane gałązkami i trawami, wśród których było sporo ogryzionych kości. Von Horst nie wiedział, czy było to legowisko zwierząt czy ludzi; lecz wyściółka przemawiała za tymi ostatnimi. Ale nie było żadnych fragmentów odzienia, żadnej połamanej lub porzuconej broni czy narzędzia, żadnych skorup. Jeśli mieszkali tu ludzie, to musieli być na bardzo niskim poziomie rozwoju.

Zanim pochodnia się wypaliła, nazbierali traw i zrobili sporo nowych łuczyw, zapewniając sobie światło na dość długą drogę przez dużą komorę, przechodzącą w wąski, kręty korytarz, zagłębiający się w skarpe. Doszli nim do jeszcze większej komory. I ona była zamieszkała, ale pozostałości były dość makabryczne. Dno tej komory było usiane ludzkimi kośćmi i czaszkami. Powietrze podziemnej kostnicy przesycił odór gnijącego ciała.

– Chodźmy stąd – powiedział von Horst.

– Obok tego otworu, którym weszliśmy, są jeszcze trzy – stwierdziła La-Ja. – Który powinniśmy wybrać?

Porucznik potrząsnął głową.

– Może będziemy musieli wszystkie wypróbować. Zaczniemy od tego najdalej po naszej prawej. Równie dobry wybór jak każdy inny.

Kiedy tam podeszli, niemal się zadławili bijącym stamtąd smrodem, ale von Horst był zdecydowany sprawdzić każdą możliwą drogę ucieczki i wszedł do mniejszej komory. To, co zobaczył, wbiło go w ziemię. Pod przeciwległą ścianą komory leżała sterta kilkunastu ludzkich ciał. Jedno

spojrzenie wystarczyło, żeby się przekonał, że z tej komory nie ma innego wyjścia, więc pośpiesznie się wycofał.

Jeden z dwóch pozostałych otworów był osmolony dymem, a tuż przed nim leżał popiół i zwęglone kawałki drewna z wielu ognisk. To nasunęło porucznikowi pewien pomysł. Podeszedł do drugiego otworu i przysunął do niego pochodnię, ale dym równo się wznosił. Potem podeszedł do tego, przed którym palono ogniska – i teraz dym pochodni wciągało w otwór.

– Ten musi prowadzić do drugiego wyjścia – orzekł von Horst. – Służył jako komin, kiedy gotowali swoje jadło. Miłe istoty zamieszkują te jaskinie. To już wolę Gaza. Spróbujemy tędy, La-Ja.

Wąski tunel wznosił się stromo. Był czarny od sadzy, a prąd powietrza cuchnął odorem z leżących poniżej komór grozy.

– Nie może być daleko od szczytu – powiedział von Horst. – Klif nie wyglądał na więcej niż pięćdziesiąt stóp wysokości, a od wejścia do pierwszej jaskini cały czas stopniowo szliśmy pod górę.

– Przed nami robi się jasno – odezwała się dziewczyna.

– Tak! Tam jest wyjście! – wykrzyknął von Horst.

Dziesięć stóp od powierzchni minęli wejścia do dwóch korytarzy czy komór; po jednym w każdej ścianie szybu, którym szli, ale tak im zależało na jak najszybszym wydostaniu się z tego smrodu, że ledwo je zauważyli. Nie zauważyli też postaci, czających się w mroku tuż za wejściami.

La-Ja była zaraz za von Horstem. To ona pierwsza dostrzegła niebezpieczeństwo – ale za późno. Zobaczyła ręce wysuwające się z otworu, który właśnie mijał porucznik, chwytające go i wciągające do środka. Krzyknęła ostrzegawczo i w tej samej chwili złapano ją i wciągnięto w otwór po przeciwległej stronie.

GORBUSI

Von Horst szarpał się i wyrywał, starając się uwolnić. Wołał do La-Ja, żeby biegła do wyjścia, które widzieli przed sobą, żeby uciekła. Nie wiedział, że ją też złapano. Miał wrażenie, że mnóstwo dłoni wczepia się w jego ręce i chociaż był silny, to ani nie mógł uciec, ani uwolnić ręki na czas wystarczający, żeby dobyć pistoletu. Zaraz jak go pochwycono, wyrwano mu dzidę. W stromo opadającym korytarzu, którym go wleczono, było bardzo ciemno, toteż nie widział, czy porwali go ludzie, czy zwierzęta. Lecz choć nie mówili, był pewien, że to ludzie. Korytarz nagle skręcił i znaleźli się w oświetlonej komorze – rozległym podziemnym pomieszczeniu, oświetlonym wieloma pochodniami. I tutaj von Horst zobaczył, w czyje ręce wpadł. Te istoty były tej samej rasy, co uciekający przed zarithem mężczyzna. Byli to głównie mężczyźni, ale zobaczył wśród nich nieliczne kobiety i kilkanaścioro dzieci. Wszyscy mieli białą skórę, białe włosy oraz różowe i czerwone oczy albinosów, co samo w sobie nie

jest odrażające. To zwierzęce, okrutne twarze tych istot sprawiały, że wydawały się tak potworne.

Większość zgromadzonych – musiało tu być kilkaset stworów – siedziała, kuciała lub leżała w pobliżu ściany prawie kolistego pomieszczenia, zostawiając pośrodku dużą, otwartą przestrzeń. Tam zawleczono von Horsta i rzucono na ziemię; nogi związane mu w kostkach, ręce za plecami.

Kiedy tak leżał na boku, przypatrując się temu odpychającemu zgromadzeniu, podupadł nagle na duchu. W wylocie korytarza naprzeciwko tego, którym jego tu przywleczono, zobaczył jak wciągają La-Ja. Rzucono ją obok niego, tak samo związaną. Leżeli twarzą w twarz. Von Horst próbował się uśmiechnąć, ale słabo mu to wyszło. To, co już zobaczył i czego się domyślił o zwyczajach tych ludzi, nie dawało ani odrobiny nadziei, że uda się im uniknąć losu, jaki spotkał tych, których szczątki widzieli w dwóch komorach jaskini.

– Ciężka ta zima – odezwał się.

– Zima? Co to jest zima?

– To pora roku... och, ale ty przecież nie wiesz, co to rok. Co to da? Pogadajmy o czymś innym.

– Czemu musimy rozmawiać?

– Nie wiem, dlaczego muszę, ale rozmawiam. Zwykle nie jestem bardzo rozmowny, ale akurat teraz muszę gadać, bo inaczej zwariuję.

– No to uważaj, co mówisz – szepnęła – jeśli chcesz mówić o ucieczce.

– Myślisz, że te stwory mogłyby nas zrozumieć?

– Tak, możemy was zrozumieć – odezwał się głuchym, grobowym głosem jeden ze stojących w pobliżu nich stworów.

– To powiedz, czemu nas pojмалиście. Co chcecie z nami zrobić?

Obcy wyszczerzył żółte zęby w bezgłośnym śmiechu.

– Pyta, co z nimi zrobimy – powiedział głośno, ale tym samym głuchym, grobowym głosem.

Zebrani zatrzęśli się od bezgłośnego śmiechu.

– Co z nimi zrobimy? – powtórzyło kilku, a potem zanieśli się obrzydliwym, bezradosnym śmiechem, równie cichym jak grób.

– Skoro chcą wiedzieć, to im od razu pokażmy – zaproponował ktoś.

– Dobrze, Torpie – odezwał się kolejny. – Teraz, teraz.

– Nie – odrzekł ten, którego nazwano Torpem (to on się pierwszy odezwał do von Horsta). – Już mamy ich pod dostatkiem, a wielu za długo się starzało – podszedł do więźniów, pochylił się i dźgnął ich brudnym paluchem w żebra. – Trzeba ich podtuczyć – oznajmił. – Mnóstwo orzechów i trochę owoców doda im tłuszczu na żebrach – zatarł dłonie i oblizał obwisłe wargi. – Zabierzcie ich do tamtego pomieszczenia, nazbierajcie dla nich orzechów i owoców i karmcie, póki nie nabiorą masy.

Kiedy skończył mówić, kolejny stwór wszedł do jaskini z jednego z górnych korytarzy. Bardzo podekscytowany, wbiegł na środek.

– Co z tobą, Durg? – zapytał Torp.

– Gonił mnie zarith – wyjaśnił Drug – ale to nie wszystko. Dziwny gilak z kobietą narobił dużo hałasu małym czarnym patykiem i zarith upadł i zdechł. Dziwny gilak ocalił Durgowi życie; ale nie wiem czemu.

Mężczyźni, którzy otoczyli von Horsta i La-Ja, żeby ich zabrać do komory, gdzie miano ich tuczyć, rozwiązali im kostki i postawili na nogi akurat wtedy, kiedy Durg skończył swoją opowieść – i dopiero teraz ich zobaczył.

– To oni! – wykrzyknął, podekscytowany. – To ten sam gilak, co ocalił Durgowi życie. Co chcecie z nimi zrobić, Torpie?

– Mają być utuczeni – odparł Torp. – Są za chudzi.

– Powinieneś ich wypuścić, bo uratowali mi życie – namawiał go Durg.

– Powinienem ich puścić, bo mężczyzna jest głupcem? – zapytał Torp. – Gdyby miał trochę rozumu, to by cię zabił i zjadł. Zabrać ich.

– Ocalił Gorbusa! – zawołał Durg do zgromadzonego plemienia. – Mamy pozwolić, żeby go za to zabito?! Mówię, żeby ich puścić.

– Puścić ich! – krzyknęło paru, ale liczniejsi wołali: – Tuczyć ich! Tuczyć!

Kiedy popychano ich ku wejściu do komory, gdzie mieli zostać zamknięci, von Horst zobaczył, jak Durg gniewnie przeciwstawia się Torpowi.

– Któregoś dnia cię zabiję! – zagroził. – Potrzebny nam mądry wódz. Ty nie jesteś mądry.

– Jestem wodzem! – wrzasnął Torp. – I to ja ciebie zabiję!

– TY? – zapytał z niesmakiem Durg. – Jesteś tylko zabójcą kobiet. Zamordowałaś siedem. Nigdy nie zabiłaś mężczyzny. Ja zabiłem czterech.

– Otrułaś ich – prychnął szyderczo Torp.

– Wcale nie! – kwiknął Durg. – Trzech zabiłem tasakiem, a czwartego dźgnąłem sztyletem.

– W plecy? – spytał Torp.

– Nie, nie w plecy, ty morderco kobiet.

Kiedy von Horsta wepchnięto z dużej jaskini w mrok przyległej małej komory, dwaj Gorbusi dalej się kłócili. A kiedy Europejczyk rozmyślał o tym, co usłyszał, to zaskoczyła go nie tyle potworność ich słów, co fakt, że Durg użył dwóch angielskich wyrazów – tasak i sztylet.

Samo w sobie było to godne uwagi, zwłaszcza, że padły z ust członka plemienia na tak niskim poziomie rozwoju, że nie miało żadnego mającego nazwę oręża. Skąd Durg mógł wiedzieć, czym jest sztylet? Jakim cudem w ogóle usłyszał o tasaku? I gdzie się nauczył ich angielskich nazw? Von Horst nie potrafił rozwikłać tej tajemnicy.

Gorbusi zostawili ich w mniejszej pieczarze; nie związali im ponownie kostek, chociaż ręce zostawili związane za plecami. Na podłodze leżała trawa i liście i więźniowie umościli się tak wygodnie jak tylko im się udało. Blask pochodni z większej jaskini rozpraszał mrok ich celi, toteż widzieli się nawzajem, siedząc na zatechłej wyściółce.

– Co teraz zrobimy? – zapytała La-Ja.

– Nie mam pojęcia, co możemy teraz zrobić – odparł porucznik. – Ale wygląda na to, że potem nas zjedzą; kiedy już się utuczemy. Jeśli będą nas dobrze karmić, to powinniśmy zrobić co w naszej mocy, żeby utyć. Kiedy odejdziemy, powinniśmy zostawić po sobie dobre wrażenie.

– To głupie – burknęła dziewczyna. – Naprawdę musisz mieć mocno chorą głowę, żeby coś takiego wymyślić.

– Może „tępą” byłoby lepszym słowem – roześmiał się von Horst. – Wiesz co, La-Ja, to po prostu fatalne.

– Co jest fatalne?

– Że nie masz poczucia humoru. Gdybyś miała, byłoby nam o wiele przyjemniej.

– Nigdy nie wiem, kiedy jesteś poważny, a kiedy się śmiejesz słowami. Gdybyś mi mówił, kiedy twoje słowa mają być zabawne, to może bym się z nich śmiała.

– Wygrałaś, La-Ja.

– Co wygrałam?

– Mój szacunek i przeprosiny. Masz poczucie humoru, chociaż o tym nie wiesz.

– Przed chwilą powiedziałaś, że nie wiesz, co moglibyśmy teraz zrobić. Nie chcesz uciec, wolisz tu zostać i pozwolić się zjeść?

– Jasne, że wołałbym uciec, ale teraz nie widzę takiej możliwości, skoro oni wszyscy są w dużej jaskini.

– To na co masz to coś, co nazywasz „pistolet”? – zapytała La-Ja nie bez drwiącej nutki w głosie. – Zabiłeś tym zaritha. O wiele łatwiej pozabijałbyś tych Gorbusów. Wtedy byśmy bez trudu uciekli.

– Jest ich zbyt wielu, La-Ja – wyjaśnił. – Gdybym wystrzelał całą amunicję, to mógłbym nie zabić ich aż tylu, żeby nam się udało uciec. Poza tym mam ręce związane za plecami; ale nawet gdyby były wolne, to i tak czekałbym do ostatniej chwili, zanim bym tego spróbował. Ty nie możesz mieć o tym pojęcia, ale kiedy zużyję te wszystkie małe srebrne przedmioty, tkwiące w moim pasie, to pistolet już mi się na nic nie przyda: bo już nigdy nowych nie zdobędę. Muszę bardzo uważać, żeby ich nie zmarnować. Ale zapewniam cię, że zanim pozwolę im zjeść któreś z nas, to sobie postrzelam. Mam nadzieję, że będą tak zdumieni i przerażeni hukiem, że się nawzajem poprzewracają uciekając.

Skończył mówić i do ich komory wszedł Gorbus. To był Durg. Trzymał małą pochodnię, która oświetliła wnętrze, ukazując chropowate ściany, wyściółkę z traw i liści, oraz dwie osoby, leżące niewygodnie ze związanymi rękami.

Durg przez chwilę patrzył na nich w milczeniu, potem przysiadł w pobliżu.

– Torp to uparty głupiec – powiedział tym swoim głuchym głosem. – Powinien was uwolnić, ale nie chce. Postanowił, że was zjemy. I pewnie zjemy. Ale to źle. Nikt jeszcze nie uratował Gorbusowi życia; to coś niebywałego. Gdybym był wodzem, to bym was puścił.

– Ale może chociaż byś nam mógł pomóc – odezwał się von Horst.

– Jak? – spytał Durg.

– Pokaż, jak moglibyśmy uciec.

– Nie możecie uciec – zapewnił stanowczo Durg.

– Tamci chyba nie tkwią bez przerwy w dużej jaskini? – zapytał Europejczyk.

– Jak pójdą, to Torp zostawi tu strażnika, żeby pilnował, żebyście nie uciekli.

Von Horst przez chwilę się namyślał. Potem popatrzył na ich groteskowego gościa.

– Chciałbyś zostać wodzem, prawda?

– Ciiii – ostrzegł Durg. – Oby nikt nie słyszał, jak to mówisz. Ale skąd wiesz?

– Wiem wiele rzeczy – szepnął tajemniczo von Horst.

Durg łypnął na niego dość lękliwie.

– Wiedziałem, że nie jesteś jak inne gilaki – stwierdził. – Jesteś inny. Może jesteś z tego innego życia, innego świata, który miga Gorbusom w niemal zapomnianych wspomnieniach. Tak, są zapomniane, a mimo to ich ślady nieustannie nas dręczą. Powiedz, kim jesteś? Skąd przybyłeś?

– Nazywają mnie Von. Przybyłem z zewnętrznego świata, świata zupełnie innego niż ten.

– Wiedziałem! – wykrzyknął Durg. – Wiedziałem, że musi istnieć inny świat. Kiedyś my, Gorbusi, tam żyliśmy. To był szczęśliwy świat, ale przez to, co zrobiliśmy, wypędzono nas stamtąd i kazano żyć w tym ciemnym lesie, nam, biednym i nieszczęśliwym.

– Nie rozumiem – powiedział von Horst. – Nie pochodzicie z mojego świata; nie ma tam nikogo podobnego do was.

– Tam byliśmy inni – odparł Durg. – Wszyscy mamy poczucie, że tam byliśmy inni. Wspomnienia niektórych są wyraźniejsze niż innych, ale nigdy nie są dokładne. Znamy tylko ulotne przebłyski, mętne i mgliste, zanikające zanim zdążymy je odczytać czy utrwalić w naszej pamięci. Jasno widzimy tylko tych, których zabiliśmy: widzimy ich i sposób, w jaki

ich zabiliśmy. Lecz siebie widzimy tam niezwykle rzadko, a i wtedy te obrazy są bardzo mgliste. Wiemy jednak, że nie byliśmy tam tacy jak tutaj. To udręka i niemal doprowadza nas do szaleństwa: nigdy wyraźnie nie widzieć, nigdy sobie wyraźnie nie przypomnieć. Widzę tych trzech, których zabiłem tasakiem; ojca i dwóch starszych braci; zrobiłem to, żeby zdobyć coś, co oni mieli, ale nie pamiętam co. Stali mi na drodze. Zamordowałem ich. Teraz jestem nagim Gorbusem, żywiącym się ludzkimi ciałami. Niektórzy z nas myślą, że zostaliśmy ukarani.

– Co wiesz o tasakach? – zapytał von Horst, teraz bardzo zaniepokojony niesamowitą opowieścią i jej rozmaitymi implikacjami.

– Nic o nich nie wiem prócz tego, że tasakiem zabiłem ojca i dwóch braci. Sztyłem zadźgałem mężczyznę. Nie wiem, dlaczego. Widzę go: wyraźnie rysy wykrzywione bólem, resztę bardzo mgliście. Był w niebieskim ubraniu z błyszczącymi guzikami. O, teraz się rozwiął, została tylko twarz. Patrzy na mnie gniewnie. Już niemal coś uchwyciłem. Ubranie, guziki. Co to takiego? Prawie widziałem, teraz zniknęło. Co to były za słowa? Jakie słowa dopiero co wypowiedziałem? I one zniknęły. Zawsze tak jest. Nękają nas jakieś obrazy, które od razu znikają.

– Tak jest z każdym z was? – zapytał von Horst.

– Tak – odparł Durg. – Wszyscy widzimy tych, których zabiliśmy. To nasze jedyne wyraźne wspomnienia.

– Wszyscy jesteście mordercami?

– Tak. Jestem jednym z najlepszych. Siedem kobiet Torpa to betka. Niektóre zabił, kiedy go czule obejmowały; udusił je albo zadławił. Jedną zadusił jej własnymi włosami. Zawsze się tym przechwala.

– Czemu je zabił? – spytała La-Ja.

– Chciał czegoś, co one miały. Tak było z nami wszystkimi. Nie mam pojęcia, czego chciałem zabijając ojca i braci, ani czego chcieli inni.

Cokolwiek to było, nie zdobyliśmy tego; bo tutaj nie mamy nic. Chcemy wyłącznie jedzenia, a mamy go w bród. Nikt nie zabił dla jedzenia. To nie daje satysfakcji. Jest obrzydliwe. Jemy, bo uważamy, że inaczej byśmy umarli i dostali się w jeszcze gorsze miejsce niż to. Boimy się tego.

– Nie cieszy was jedzenie? – zapytał von Horst. – To co wam sprawia przyjemność?

– Nic. W Lesie Śmierci nie ma szczęścia. Jest tutaj chłód, beznadzieja, obrzydzenie i strach. O tak, jest nienawiść. Nienawidzimy się nawzajem. Może i daje nam to jakąś satysfakcję, ale niewielką. Wszyscy nienawidzimy, a robienie tego samego co wszyscy nie sprawia przyjemności. Trochę przyjemności dała mi chęć uwolnienia was; to było inne uczucie, jedyne w swoim rodzaju. Pierwsza przyjemność, jakiej zaznałem. Ma się rozumieć nie mam pewności, czym jest przyjemność, ale pomyślałem, że to musi być to, bo póki ją odczuwałem nie pamiętałem o chłdzie, beznadziei, obrzydzeniu i strachu. Coś, co każe o nich zapomnieć, musi być przyjemnością.

– Wszyscy jesteście mordercami? – zapytała La-Ja.

– Każde z nas kogoś zabiło – odrzekł Durg. – Widzisz tę starą kobietę, siedzącą z twarzą w dłoniach? Zabiła szczęście dwojga ludzi. Dobrze to pamięta. Mężczyzna i kobieta. Bardzo się kochali. Chcieli tylko, żeby ich zostawić w spokoju i pozwolić być szczęśliwymi. A mężczyzna stojący tuż za nią. Zabił coś piękniejszego niż życie. Miłość. Zabił miłość swojej żony. O tak, każdy z nas coś zabił; ale cieszę się, że zabiłem ludzi, a nie szczęście czy miłość.

– Pewnie masz rację – stwierdził von Horst. – Na świecie jest o wiele za dużo ludzi, a zdecydowanie za mało szczęścia czy miłości.

Rozmowę przerwało im nagłe zamieszanie w przyległej jaskini. Durg poderwał się na nogi i zostawił ich. Von Horst i La-Ja wyjrżeli i zobaczyli,

że wloką tam dwóch więźniów.

– Więcej żywności do spiżarni – odezwał się porucznik.

– A oni nawet jej nie jedzą z przyjemnością – dodała La-Ja. – Ciekawa jestem, czy Durg powiedział nam prawdę; o tych morderstwach i innym życiu, które częściowo pamiętają.

Von Horst potrząsnął głową.

– Nie wiem. Ale jeśli tak, to wyjaśnia to sprawę od pokoleń dręczącą ludzi z zewnętrznego świata.

– Patrz – odezwała się La-Ja. – Prowadzą tu więźniów.

– Do tuczarni – wyszczerzył zęby von Horst.

– Jeden z nich jest bardzo wielki, widzisz? – mówiła dziewczyna. – Trzeba wielu Gorbusów, żeby mu dać radę.

– Tamten typ wydaje mi się znajomy – stwierdził porucznik. – Nie ten wielki, ten drugi. Otacza ich tylu Gorbusów, że nie mogę się dobrze przyjrzeć ani jednemu, ani drugiemu.

Nowych więźniów doprowadzono do mniejszej komory i wrzucono do środka tak brutalnie, że omal upadli na von Horsta i dziewczynę. Ten większy groził i wściekał się; ten drugi skomlał i żalił się. W mroku nie można było zobaczyć ich twarzy.

Nowi nie zwracali uwagi na porucznika i dziewczynę, chociaż musieli wiedzieć, że tam są. Von Horst był przekonany, że wrzaski większego mają zrobić na nich wrażenie, bo Gorbusi już odeszli. Ten mniejszy nie wyglądał na osobę, na której ktokolwiek mógłby zrobić wrażenie. Najwyraźniej był tchórzem i umierał ze strachu. Niemal odchodził od zmysłów, skarżąc się na los, który go sprowadził do Lasu Śmierci. Ten drugi nie zwracał na niego uwagi i gadali tak jeden przez drugiego.

Von Horst przysłuchiwał się im z rozbawieniem. Nadeszło kilku Gorbusów, niosąc orzechy i owoce. Jeden z nich miał pochodnię, która

oświetliła wnętrze komory, kiedy wszedł. Więźniowie w końcu się zobaczyli.

– TY! – wrzasnął wściekający się wielkolud, kiedy zobaczył von Horsta.

To był Frug; a towarzyszył mu Skruf.

TUCZONY NA RZEŹ

Kiedy von Horst ich zobaczył i zrozumiał całą sytuację, nie wiedział, czy się śmiać czy płakać i kląć. Ich położenie i tak było złe, ale z pojawieniem się tych dwóch jeszcze się pogorszyło. Reakcja Fruga, kiedy go rozpoznał, nie wróżyła nic dobrego. Lecz choć cała sytuacja była groźna, to jednocześnie była i zabawna. I von Horst się uśmiechnął, widząc zacierzwienie wielkiego jaskiniowca.

– I dziewczyna! – krzyknął Skruf.

– Tak, to naprawdę my – potwierdził von Horst. – Czemuż zawdzięczamy przyjemność tej nieoczekiwanej wizyty? Myśleliśmy, że siedzicie bezpiecznie przy domowych ogniskach Basti, gotując sobie strawę, a oto czekacie, aż was ugotują na posiłek! Czyż życie nie jest pełne niespodzianek? Tak miłych, jak i... niezbyt przyjemnych.

– Gdybym tak mógł zerwać te więzy i dostać cię w swoje ręce! – wrzasnął Frug.

– Taaa? I co byś wtedy zrobił, stary? – zaciekał się von Horst.

– Złamałbym ci kark. Zrobił miazgę z gęby....

– Chwila – poprosił porucznik. – Pozwól mi zaproponować inną kolejność działań. Gdybyś mi najpierw skrzył kark, co, jak mówisz, jest twoim zamiarem, to zrobienie mi miazgi z gęby nie sprawiłoby ci przyjemności, bo byłbym już martwy i nie mógłbym docenić tego, co mi robisz. Nie jesteś zbyt bystry, Frugu. Nie mogę zrozumieć, jak ktoś głupi mógł zostać wybrany wodzem Basti; no ale może wybrano cię ze względu na twoje bicepsy a nie zawartość czaszki.

Gorbusi cisnęli na dno komory mnóstwo owoców i orzechów i odeszli, zostawiając więźniów w półmroku. Frug dalej szarpał się z więzami. Skruf jęczał i szlochał. Von Horst przyglądał się żywności.

– Mając ręce związane za plecami jakoś sobie poradzimy z miękkimi owocami – powiedział do dziewczyny. – Ale niby jak mamy rozłupać skorupy orzechów?

– Może by się nam udało uwolnić ręce – podpowiedziała La-Ja. – Przeturlaj się do mnie, tak, żebyśmy byli plecami do siebie. Potem spróbuj rozwiązać rzemienie na moich przegubach. Jeśli uda ci się mnie rozwiązać, to ja już łatwo cię uwolnię.

Mówiła szeptem, żeby Frug lub Skruf nie usłyszeli i nie uprzedzili ich. Europejczyk ułożył się za dziewczyną i zaczął pracować nad węzłami na jej przegubach. Szło mu bardzo powoli – częściowo dlatego, że nie widział, co robi, a częściowo dlatego, że nie mógł swobodnie poruszać dłońmi; ale po, jak mu się wydawało, całej wieczności, poczuł, że węzeł się poluzował. Nabrał wprawy i drugi węzeł wkrótce puścił. Było ich jeszcze parę, ale wreszcie rozwiązał ostatni i La-Ja miała wolne ręce. Natychmiast się odwróciła ku plecům von Horsta. Czuł, jak smukłe palce zabrały się za węzły. Ilekroć dotknęła jego dłoni czy rąk czuł dziwny dreszcz, zupełnie mu dotąd nieznan. Już wcześniej zdarzało się im dotknąć, ale zawsze była

wtedy zła i urażona, czasem agresywna; i nie było w tym nic miłego. Teraz było zupełnie inaczej: po raz pierwszy mu pomagała i to z własnej woli.

– Co robicie? – zapytał Frug. – Jesteście bardzo cicho. Jeśli chcecie zjeść wszystko, co przynieśli, to radzę wam tego nie robić. Zabiję was, jeśli spróbujecie.

– Zanim złamiesz mi kark, czy potem? – zainteresował się von Horst.

– Przedtem, rozumie się – burknął Frug. – Nie, potem. Nie... a co to za różnica? Gadasz jak głupek.

– A jak mnie zabijesz i skręcisz mi kark, czy też skręcisz mi kark i mnie zabijesz (w jakiej kolejności wreszcie postanowisz to zrobić), to razem ze Skrufem bez wątpienia zjecie tę żywność. Mam rację?

– Jasne, że masz – warknął Frug.

– A wiesz, po co ją nam przynieśli? – zapytał von Horst.

– Żebyśmy zjedli, rozumie się.

– Ale czemu mieliby się przejmować, czy jemy czy nie? – dopytywał się porucznik. – Czyżbyś się łudził, że zależy im na naszym szczęściu czy wygodzie?

– No to po co to przynieśli? – zapytał Skruf.

– Żeby nas utuczyć – wyjaśnił von Horst. – Wydaje się, że lubią tłuste mięso; a może powinienem powiedzieć, że tłuste i świeże wydaje im się mniej obrzydliwe.

– Utuczyć nas? Zjeść? – wybełkotał Skruf.

Frug się nie odezwał, ale porucznik widział, że wzmógł wysiłki uwolnienia rąk. Po chwili La-Ja rozwiązała ostatni węzeł i von Horst poczuł, jak rzemienie zsuwają mu się z przegubów. Usiadł i wziął owoc, podał dziewczynie, a potem popatrzył na Fruga.

– Mam wolne ręce – oznajmił. – Rozwiążę cię, a potem uwolnisz Skrufa. Nie zabijesz mnie. Jeśli spróbujesz, to ja cię zabiję. Wciąż mam broń, którą zabiłem wiele zwierząt, co widział Skruf, a także twoich wojowników, co sam widziałeś. Uwolnię was z dwóch powodów. Po pierwsze, żebyście mogli jeść. Drugi nie jest taki dobry, chyba że masz więcej rozumu, niż mi się wydaje; w co wątpię.

– Z moim rozumem wszystko w porządku – warknął Frug. – Jaki jest ten drugi powód uwolnienia nas?

– Jesteśmy w takich samych tarapatach – przypomniał mu von Horst. – Jeśli nie uciekniemy, to nas zabiją i zjedzą. Współdziałając może mamy radę uciec. Jeśli zmarnujemy czas, próbując się nawzajem pozabijać lub unikać zabicia, to nikt z nas nie ucieknie. I co zamierzacie, obaj ze Skrufem? Decyzja należy do was. Tak czy tak, uwolnię wam ręce. I zabiję cię, jeżeli spróbujesz mi coś zrobić.

Frug poczochnął głową.

– Przysięgam cię zabić – oznajmił. – To ty mnie wpędziłeś w te kłopoty. Gdybyś nie uciekł z Basti, nie byłoby mnie tutaj. Złapali nas, kiedy szliśmy twoim śladem. Zabiłeś mi kilku wojowników. Uwolniłeś wszystkich naszych niewolników i teraz prosisz, żebym cię nie zabijał.

Von Horst wzruszył ramionami.

– Źle zrozumiałeś – powiedział. – Nie proszę, żebyś mnie nie zabijał, ale żebyś mnie nie zmusił do zabicia ciebie. Dopóki mam tę broń, Frugu, to mowy nie ma, żebyś mnie zabił.

– Obiecay mu, Frugu – błagał Skruf. – Ma rację. Nie uciekniemy, jak będziemy ze sobą walczyć. A przynajmniej my obaj nie uciekniemy, bo nas pozabija. Widziałem, jak zabijał tym czarnym patykiem. Nie musi być blisko tego, co chce zabić.

– No dobrze – zgodził się wreszcie Frug. – Nie będziemy próbować się nawzajem pozabijać póki nie uciekniemy od tych ludzi.

Von Horst zbliżył się do wodza Basti i rozwiązał mu przeguby. Potem Frug rozwiązał Skrufa. Wszyscy, poza tym ostatnim, od razu zaczęli jeść. Skruf siedział z boku, z determinacją odwracając wzrok od żywności.

– Czemu nie jesz? – zapytał Frug.

– I mam utyć?! – wykrzyknął Skruf. – Możecie się tuczyć i zostać zjedzeni, ale ja pozostanę taki chudy, że nikt mnie nie zechce zjeść.

Czas mijał, bo musiał, nawet w tym świecie pozbawionym czasu. Jedli i spali; lecz von Horst i dziewczyna nigdy nie spali jednocześnie – Frug i Skruf za bardzo się interesowali pistoletem. Kiedy von Horst spał, La-Ja czuwała. Durg przychodził od czasu do czasu porozmawiać z nimi. Zawsze wydawał się przyjazny, ale nie dawał nadziei, że mogliby uniknąć losu, jaki przeznaczył im Torp.

Von Horst często się zastanawiał, skąd pochodzą owoce i orzechy, którymi ich karmiono, bo nie widział ich w ponurym lesie, przez który szli z dziewczyną. Podejrzewał, że może skraj lasu nie był daleko i chciał się o tym przekonać. W żadnym razie nie zamierzał rezygnować z ucieczki. Kiedy zapytał Durga, skąd Gorbusi biorą dla nich pokarm, ten odpowiedział, że owoce i orzechy rosną niezbyt daleko, blisko obrzeża Lasu Śmierci. Lecz kiedy próbował namówić Durga, żeby im pomógł uciec, spotkał się z odmową i dał temu spokój; postarał się też dać Durgowi do zrozumienia, że całkiem zrezygnował z tego pomysłu.

Sycące orzechy i brak wysiłku sprawiły, że wkrótce zaczęło się więźniom odkładać sadelko. Tylko Skruf pozostawał chudy, zdecydowanie odmawiając zjadania więcej niż to konieczne dla podtrzymania życia. Frug tył znacznie szybciej niż La-Ja czy von Horst.

Skruf wreszcie mu to wytknął.

– Ciebie zjedzą najpierw – przepowiadał. – Jesteś taki tusty.

– Tak myślisz? – zapytał wódz, macając fałdę tłuszczu, jaki mu narósł w pasie; wydawał się zaniepokojony. – Myślałem, że spróbujemy uciec – powiedział do von Horsta.

– Liczyłem, że Gorbusi zostawią nas samych – odparł Europejczyk, – ale zawsze jacyś zostają.

– Większość z nich teraz śpi – stwierdziła La-Ja. – Sporo ich pochodni się wypaliło.

– Racja – przyznał von Horst, zaglądając do drugiej komory. – Nigdy nie widziałem, żeby aż tylu jednocześnie spało.

– Myślę, że pojedli – powiedziała dziewczyna. – Od mojego ostatniego snu wychodzili małymi grupkami. Może dlatego zrobili się senni.

– Zgasło jeszcze trochę pochodni – szepnął porucznik. – Pali się tylko parę.

– I reszcie Gorbusów opadają głowy – La-Ja nie mogła ukryć podniecenia. – Jeśli wszyscy zasną, to możemy uciekać.

Ale nie wszyscy zasnęli. Jeden nie spał i pilnował swojej pochodni. To był Torp. Na koniec wstał i podszedł do komory, w której zamknięto więźniów. Kiedy zobaczyli, że się zbliża, położyli się w takich pozach, żeby nie zauważył, iż mają wolne ręce (robili tak zawsze, kiedy jakiś Gorbus wchodził do ich celi). Torp wszedł, niosąc pochodnię. Obejrzał ich sobie. Wreszcie trącił stopą Skrufa.

– Nie ma co czekać, żebyś utył – zadudnił. – Zabijemy cię po tym śnie i już nie będziemy musieli cię karmić.

– Najpierw zabijcie tamtych – błagał Skruf. – Są o wiele grubszy ode mnie. Dajcie mi szansę, a też się utuczę.

Torp ziewnął.

– Zabijemy was wszystkich jednocześnie – powiedział i odwrócił się, żeby wyjść z komory.

Von Horst spojrzął za Torpa – wszystkie pochodnie w dużej jaskini pogasły, była pogrążona w ciemnościach. Cicho się poderwał, wyciągając przy tym pistolet. Mocno uderzył Torpa w głowę kolbą. Wódz padł jak długi, nawet nie jęknął. Porucznik chwycił jego pochodnię.

– Chodźcie! – szepnął.

Milczkiem przebiegli przez większą jaskinię do jednego z wyjść i potem stromo nachylnym szybem do korytarza, prowadzącego na zewnątrz. Kiedy wyszli z jaskiń, nawet mroczny i ponury las wydał się im w porównaniu z nimi miły i uroczy.

Von Horst nawet nie próbował obliczyć, jak długo byli uwięzieni, ale czuł, że to musiał być kawał czasu. Stracili rachubę snów, tyle ich było; ale wszyscy – z wyjątkiem Skrufa – sporo przytyli, co wskazywało, że musieli być długo uwięzieni. Ruszyli truchtem w stronę – jak im się zdawało – najbliższego obrzeża Lasu Śmierci, bo chcieli się znaleźć jak najdalej od Gorbusów, zanim ci odkryją ich ucieczkę.

Pellucidarczycy będący w dobrej formie mogą utrzymywać stałe, dobre tempo na dystansach; ale wkrótce wszyscy – z wyjątkiem Skrufa – się zasapali, co było kolejnym dowodem na to, że długo przebywali w zamknięciu. W końcu musieli zwolnić tempo i po prostu maszerować.

– Kiedy się zaczniemy zabijać, Frugu? – zapytał von Horst. – Rozejm miał trwać do ucieczki, a już uciekliśmy.

Frug łypnął na pistolet w kaburze i w zamyśleniu skubał brodę.

– Poczekajmy, aż wyjdziemy z lasu i się rozdzielimy – zaproponował. – Jak się potem kiedyś spotkamy, to cię zabiję.

– Dla twojego dobra miejmy nadzieję, że się już nigdy nie spotkamy – roześmiał się von Horst. – Ale co mi zagwarantuje, że w tym czasie obaj ze

Skrufem dotrzymacie umowy? Na pewno nie mam powodu wierzyć Skrufowi.

– Skrufowi nikt nie wierzy – odparł Frug. – Ale masz moje słowo, że nie zabiję nikogo z was póki się nie rozdzielimy; i przyrzekam Skrufowi, że go ubiję, jeśli to zrobi.

Von Horst musiał się tym zadowolić; ale raczej wierzył słowom Fruga, bo jego usposobienie wskazywało, że nie jest zdolny do obłudy. Był okrutny i bezlitosny, ale zarazem prostolinijny i szczery. Jeśli zamierzał cię zabić, to głośnym wrzaskiem oznajmiał to światu. Nie w jego stylu było podkradanie się i wbijanie noża w plecy – to bardziej pasowałoby do Skrufa.

Szli najszybciej jak mogli i wkrótce – o wiele szybciej, niż się spodziewali – las zrzędł, zmieniły się gatunki drzew i znaleźli się w zupełnie innym świecie. Stojące w zenicie słońce znowu przypiekało bujną roślinność, rosnącą drzewami otwartego lasu. Kwiaty kwitły, ptaki śpiewały. Stali na otwartej łące, na obrzeżu leśnych terenów. Nikt ich nie ścigał, a Pellucidarczycy byli pewni, że Gorbusi nigdy się nie zapędzą w słońce za ich mrocznym lasem.

– Nie przyjdą tu za nami – stwierdził Frug. – Nikt nigdy nie widział Gorbusów poza Lasem Śmierci.

– To znajdziemy miejsce do spania – zaproponował von Horst. – Musimy odpocząć. Potem pójdziemy dalej, aż do miejsca, w którym się rozdzielimy.

– W którą stronę pójdziecie? – zapytał Frug.

Von Horst spojrzał pytająco na La-Ja.

– W którą? – spytał.

Dziewczyna wskazała na przełaj przez równinę.

– Ja też tam idę – powiedział porucznik.

– A my skręcimy tam – Frug wskazał w lewo. – Musimy iść skrajem lasu, aż go obejdziemy. Już nigdy nie wejść do Lasu Śmierci.

– Czyli się rozdzielimy, jak się wyśpimy – orzekł von Horst.

– Tak – potwierdził Frug. – Mam nadzieję, że się wkrótce znowu spotkamy, żebym mógł cię zabić.

– Jak już sobie czymś nabijesz tę tępą łepetynę, to nie odpuścisz – skomentował porucznik z uśmiechem.

– Poszukamy miejsca do spania – powiedział Bastianin. – Może są w klifie jakieś jaskinie.

Znaleźli miejsce, w którym mogli zejść ze skarpy i na naturalnej półce zobaczyli wystający nawis, pod którym erozja wyłobiła sporą niszę, mogącą dać kilkunastu ludziom schronienie przed palącymi promieniami słońca.

– Ty śpisz najpierw, La-Ja – powiedział von Horst – a ja czuwam.

– Nie jestem śpiąca – odparła. – Ty śpij. Spałam po tobie.

Von Horst wyciągnął się na gołej skale; dla jakiegoś dalekiego przodka byłoby to wygodne leże, ale gdzie mu tam było do materaców z włosia i skrzyni ze sprężynami. Ale porucznik tak szybko pozbył się resztek cywilizacyjnej otoczki i powrócił do bardziej pierwotnego stanu, że na gołej skale było mu całkiem wygodnie i po chwili już spał.

Kiedy się obudził, wydało mu się, że spał bardzo długo, taki był wypoczęty i rześki. Przeciągnął się rozkosznie, a potem odwrócił, by pozdrowić dziewczynę i przekonać się, czy Bastianie już nie śpią. Okazało się, że jest sam. Frug i Skruf zniknęli, La-Ja także.

Poszedł na skraj półki przed jaskinią i popatrzył na wprost przez równinę, potem w lewo i w prawo. Nikogo nie było widać. Najpierw pomyślał, że La-Ja od niego uciekła, ale potem uznał, że Frug i Skruf ją porwali. Obłuda wodza Bastian, którego słowu zaufał, wzbudziła w nim

gniew i urazę. A potem zniemacka przyszło mu na myśl coś innego. No bo czyż Frug naprawdę złamał słowo? On tylko obiecał, że nie zabije, a nie przyrzekał, że nie uprowadzi!

LUDZIE-MAMUTY

Równina, porośnięta bujną trawą, ciągnęła się od stóp klifu z jaskinią. Von Horst wyraźnie widział z góry nowy szlak, świeżo wydeptany w lewo. To w tę stronę mieli pójść Frug ze Skrufem, żeby okrążyć Las Śmierci w drodze powrotnej do Basti. W stronę Lo-har, na przełaj przez równinę, trawa nie była zdeptana. Był tylko jeden wyraźny szlak po lewej – łatwo będzie nim iść, póki będzie biegł przez wysokie trawy. Von Horst żałował, że nie wie, jak długo spał, bo miałby jakieś pojęcie, ile przewagi mają nad nim porywacze. Był przekonany, że są porywaczami. Niemożliwe, żeby La-Ja poszła z nimi do Basti z własnej woli. Z wysoka szlak wydawał się równy, ale kiedy zszedł do stóp klifu przekonał się, że wcale tak nie jest. Po dokładniejszym przyjrzeniu się stwierdził, że nie podniosły się tylko te trawy, które zdeptała ta trójka; wszystkie inne zdążyły się podnieść. To go najbardziej zmartwiło, bo wskazywało, że obaj Bastianie i dziewczyna byli daleko przed nim.

U stóp klifu wypatrzył też ślady walki. Na znacznej powierzchni trawy były zdeptane i połamane. Powiedziało mu to, co się wydarzyło. La-Ja próbowała się wyrwać porywaczom i pewnie zawzięcie walczyła, ale na koniec ją pokonali i uprowadzili.

Stał, patrząc na niezbyt wyraźny ślad, prowadzący w kolejne nieznane. Wiódł w stronę przeciwną do Sari i nawet nie wiedział, jakie nowe niebezpieczeństwa tam czekały. Powinien nim iść? Ale po co? Mało prawdopodobne, żeby ich dogonił; a jeśli dotrą do Basti, to nic nie uratuje dziewczyny. Czemu miałyby ryzykować życie, próbując ją ocalić (pewnie i tak by mu się to nie udało)? Nie lubiła go. I nawet się nie starała tego ukryć. A jeśli nawet by ją ocalił, to tylko po to, żeby jej barbarzyńskie plemię go zabiło w nagrodę za wysiłek i ryzyko. Pomyślał o Gazie, straszliwym typie, co gołymi rękami wyduszał z ludzi życie.

Gdyby poszedł w przeciwną stronę, mógłby ominąć ten skraj lasu i ruszyć śladem Dangara. Myśl o Dangarze i przyjaznym powitaniu, czekającym go w Sari obudziły w nim tęsknotę. Brakowało mu towarzystwa, chciał znowu poczuć serdeczną przyjazną dłoń, zobaczyć przyjazny uśmiech. Miał powyżej uszu obojętności, wrogości i nienawiści. Westchnął, odwrócił się i poszedł w lewo słabo widocznym szlakiem. Gdzieś tam, daleko, była niewielka postać z gęstwą blond włosów, może błędny ognik, wabiący go ku nieznanemu przeznaczeniu.

– Ciekawe, czemu to robię – powiedział półgłosem, a potem wzruszył ramionami i ruszył w nieznane.

Korzystając z nabytego doświadczenia i nauk Dangara, nieustannie pamiętał, żeby nigdy się za bardzo nie oddalać od jakiegoś schronienia, na wypadek gdyby mu zagroziły grasujące w Pellucidarze dzikie stworzenia. W tej obronnej strategii drzewa były najważniejsze. Nigdy przedtem nie poświęcał im tyle uwagi; aż za często musiał się chronić w ich gałęziach. A

to przed wielkim lwem jaskiniowym, a to przed potężnym taragiem czy jakimś straszliwym gadem z zapomnianych czasów.

Natrafiał na miejsca, gdzie spali Frug, Skruf i La-Ja; on też tam spał. Jadł jaja ptaków i gadów, owoce niektórych przydrożnych drzew i krzaków i rozmaite jadalne bulwy (Dangar i La-Ja nauczyli go, jak je znajdować i rozpoznawać). Rozpalił ogień, jak to robili jego pierwotni przodkowie, chodzący po zewnętrznym świecie wraz w turem i jaskiniowym niedźwiedziem; zrobił też nowy łuk i strzały, żeby zdobyć mięso nie marnując amunicji. Zrobił także solidną dzidę; czubki strzał i dzidy zahartował w ogniu.

Spróbował nadrobić poświęcony na to czas, idąc niekończącym się dniem póki wyczerpanie go nie zmusiło, żeby się zatrzymał i przespał. Pomędzy swoimi snami często mijał jedno, a czasem i dwa miejsca, gdzie spali ci, których ścigał. Poczucie, że skraca dystans, dodawało mu otuchy i popędzało naprzód. Bywało jednak i tak, że cała ta wyprawa wydawała mu się kompletnie bezcelowa i opanowywało go wtedy zniechęcenie. Wielki las wydawał się ciągnąć w nieskończoność, ale wreszcie się skończył u podnóża poszarpanych wzgórz. Trudniej mu tu było iść śladem, bo już nie rosła tutaj wysoka trawa, a ziemia często była twarda i kamienista.

Za wzgórzami rozciągała się następna równina, przez którą wiała się duża rzeka. Po raz pierwszy zobaczył ją ze szczytu przełęczy, którą szedł przez wzgórza starym szlakiem, przez niezliczone wieki mocno wydeptanym stopami ludzi i zwierząt. Brzegiem rzeki ciągnął się las, a niewielkie skupiska drzew były rozrzucone po całej równinie, rozciągającej się po prawej porucznika i zlewającej się w oddali z czymś, co wyglądało jak błękit oceanu. Daleko na wprost widać było kolejny las, a po lewej von Horsta wzgórze zataczały łuk i biegly do odległego lasu. Jak okiem sięgnąć wszędzie było pełno zwierząt. W najbliższej okolicy widział tury i jelenie,

antylopy, tapiry, owce i parę gatunków roślinożernych dinozaurów; na skraju nadrzecznego lasu wypatrzył wielkie mamuty i olbrzymie leniwce. Był to obraz tak przepiękny barbarzyńskim pięknem i tak interesujący, że von Horst przez kilka minut stał jak urzeczony, oczarowany jego urokiem. Na chwilę zapomniał o wszystkim innym; lecz pusty żołądek przywołał go do rzeczywistości – i już nie esteta podkładał się milczkiem ku równinie, a barbarzyński łowca z epoki kamienia. Kiedy dotarł do podnóża wzgórz, poszedł wzdłuż strumienia, kryjąc się wśród rosnących wzdłuż niego drzew. Pomyślał, że może uda mu się upolować owcę, których kilka pasło się w pobliżu nadwodnych drzew. Ale wiedział, jakie są czujne i jak trudno je podejść.

Rzeka wiła się wielkimi zakolami i żeby oszczędzić sobie czasu poszedł na przełaj przez niskie pagórki, które rzeka mijała pętlami niczym pełznący ku morzu ogromny wąż. Kiedy był poniżej szczytów pagórków, nie widział owiec ani one jego; mimo to poruszał się bardzo ostrożnie, bo nie wiedział, jakie niebezpieczeństwa mogą czyhać za przeciwległymi stokami pagórków – było tu przecież mnóstwo zwierząt; a tam gdzie są roślinożercy, muszą być i mięsożercy.

Wszedł na jeden niski pagórek i zobaczył coś, co go wbiło w ziemię – wielki, włochaty mamut leżał na boku i jęczał. Leżał na niewielkiej płaszczyźnie nad wodą, najwyraźniej będącej wodopojem lub brodem. Nie tylko jęki świadczyły, że cierpi, ale i drgawki wielkiego cielska. Pomijając to, że von Horst wiedział, iż te potężne zwierzęta mogą być bardzo groźne, zwykle tyle w nich było spokoju, szlachetności i inteligencji, że czuł się przy nich bezpieczny; polubił je i nabrał szacunku dla tych włochatych przodków współczesnych słoń.

Cierpienie jednego z nich wzbudziło w nim współczucie i chociaż rozsądek go przed tym ostrzegał, to nie mógł nie podejść i nie sprawdzić, co

się stało; chociaż właściwie nie miał pojęcia, co mógłby zrobić. Kiedy się zbliżył, dostrzegły go małe oczy gruboskórca – zwierzę uniosło głowę i gniewnie zatrąbiło, ale nie spróbowało wstać. Von Horst zrozumiał, że jest bezbronne, zbliżył się i obejrzał je. Wtedy dostrzegł liczne ostre bambusowe drzazgi, sterczące na jakiś cal z błota, w którym zwierzę leżało na brzegu rzeki; musiał bardzo ostrożnie stawiać stopy, żeby na którąś nie nadepnąć.

Niemal od razu zobaczył powód cierpienia i bezradności zwierza – sporo tych drzazg wbiło się w poduszki wielkich nóg i zwierzę nie mogło stać, nie zadając sobie okropnego bólu. Nie było wątpliwości, że to ludzie umieścili tutaj te drzazgi i wiadomo, w jakim celu; bo w jakież inny sposób ludzie z epoki kamienia, mający tylko prymitywną broń, mogliby bezpiecznie powalić mamuta, obezwładnić go i zabić?

Bambusowe drzazgi wskazywały na bliskość ludzi, a von Horst miał już wystarczające dowody na to, że wszyscy ludzie w tym barbarzyńskim świecie byli wrogami. Mimo to rozejrzał się bacznie we wszystkie strony i kiedy nie dostrzegł nic, co by wskazywało, że są w pobliżu, znowu zajął się zwierzęciem. Gdyby usunął te drzazgi, co by pozwoliło mamutowi wstać, to czego by się mógł spodziewać po obolałym zwierzęciu? Von Horst z powątpiewaniem przeczesał włosy palcami. Mamut znowu jęknął tak boleściwie, że człowiek dał sobie spokój z wątpliwościami i postanowił zrobić co w jego mocy, żeby mu ulżyć w cierpieniu.

Kiedy zaczął ostrożnie iść wśród sterczących drzazg, dotarło do niego, że zwierzę, wstając, od razu wbije sobie w poduchy nowe drzazgi w miejsce tych wyciągniętych. Zaczął więc wyciągać z błota wszystkie drzazgi – tkwiły w pasie szerokości jakichś dwudziestu stóp, przecinającym szlak prowadzący do rzeki. Mamut nie spuszczał z niego oczu, obserwował, co on robi.

Pracując w pobliżu głowy wielkiego zwierza dostrzegł łąkę białych włosów, szerokości ludzkiej dłoni, rosnących na obrysie policzka mamuta. Widział wiele mamutów, ale żaden nie miał czegoś takiego. Nadawało to zwierzęciu dziwny, patriarchalny wyraz, jakby miało wielkie siwe bokobrody. Porucznik zauważył tę dziwną cechę przypadkiem, usuwając z ziemi drzazgi; jego główną bolączką było, co gigantyczny zwierz zrobi, jak już będzie mógł wstać. Niektóre patyki tkwiły w zasięgu potężnej trąby, ale von Horst usunął je jak inne, jakby w ogóle się tej trąby nie bał. Małe oczy obserwowały każdy jego ruch, lecz nie wiedziały, czy z nienawiścią czy z ciekawością.

W końcu usunął wszystkie patyki, które wypatrzył i przyszła pora na te wbite w wielkie poduchy. Von Horst bez wahania podszedł do tylnych nóg i jedna po drugiej wyjął zadające ból drzazgi. Potem przeszedł do przednich nóg, w zasięgu trąby i wielkich wygiętych ciosów. Zaczął metodycznie wyciągać drzazgi z przednich nóg, a potężna trąba kołysała się nad nim jak wielki wąż.

Poczuł, jak go dotyka, wilgotny koniec przesunął się po jego nagim ciele. Otoczyła go, ale nie zwracał na to uwagi. Współczującym postępkiem naraził się na śmierć i był teraz łupem. Trąba owinęła się wokół jego torsu – delikatnie, niemal pieszczotliwie. Nie zacisnęła się, nie przeszkadzała mu w pracy; ale czuł, że może się natychmiast zacisnąć przy najsłabszym błędnym ruchu. Śmierć była bardzo blisko.

Usunął ostatnią drzazgę i powoli się wyprostował. Przez chwilę czekał, a potem bardzo delikatnie dotknął trąby i spróbował ją od siebie odsunąć. Nie wyczuł oporu. Poruszał się powoli, bardzo wolno; ale nerwy miał napięte jak postronki. Wreszcie się uwolnił i powolutku odsunął. Nie zatrzymał się, ale szedł z biegiem rzeki w tę samą stronę co wtedy, kiedy zobaczył mamuta. Przez chwilę miał ogromną ochotę pobiec – znaleźć się

jak najdalej, zanim zwierz wstanie; ale tego nie zrobił. Szedł powoli, swobodnie, od czasu do czasu rzucając okiem za siebie.

Zwierzę przez chwilę leżało spokojnie. Potem powoli zaczęło się podnosić z ziemi. Ostrożnie spróbowało obciążyć przednie nogi i stało tak przez moment; potem się podniosło i stanęło na czterech nogach. Zrobiło parę kroków. Nogi najwyraźniej za bardzo mamuta nie bolały. Uniósł trąbę i zatrąbił, a potem ruszył za człowiekiem.

Von Horst początkowo przekonywał sam siebie, że zwierzę wcale za nim nie idzie, że zaraz skręci i sobie pójdzie, ale tak nie zrobiło – twardo za nim szło i to o wiele szybciej od niego. Porucznik z rezygnacją wzruszył ramionami. Jakimż był sentymentalnym głupcem! Powinien był wiedzieć, że ta dzika bestia nie poczuje wdzięczności. Powinien był ją zostawić w spokoju, albo celnym strzałem położyć kres jej cierpieniu. Ale teraz było już za późno. Dogoni go i przewróci. Tak rozmyślał, idąc powoli szlakiem. Mamut się z nim zrównał. Wężowata trąba owinęła się nagle wokół niego i podniosła go z ziemi.

To już koniec, pomyślał von Horst. Mamut się zatrzymał, przeniósł go na swoją prawą stronę i postawił na ziemi – ale wciąż owijał go delikatnie trąbą i trzymał tak, żeby porucznik miał przed oczami jego prawy bok. To, co von Horst tam zobaczył, uświadomiło mu mądrość zwierzęcia – bo w prawym boku, na którym mamut leżał, tkwiły gęsto bambusowe drzazgi, takie same jakie mu usunął ze stóp. Zwierzę chciało, żeby człowiek usunął i te.

Von Horst westchnął z ulgą i zabrał się do roboty; kiedy skończył, znowu poszedł szlakiem. Kątem oka zauważył, że mamut zawrócił i ruszył w przeciwnym kierunku. Po paru chwilach zniknął z oczu. Człowiek poczuł, że pomyślnie się wyplątał z paskudnej sytuacji, w której się znalazł się przez swój ckliwy sentymentalizm (jak to w myślach nazwał). Ale teraz

było już po wszystkim i kiedy mamut mignął mu po raz ostatni, był rad, że mu pomógł.

Znowu dał o sobie znać głód, chwilowo zapomniany i porucznik zaczął podchodzić owce. Zobaczył je z grzbietu wzniesienia i znów był pierwotnym łowcą z plejstocenu. Od swoich przodków z epoki kamienia różnił się tylko pasem z nabojami i czterdziestką piątką. Z następnego wzniesienia znowu zobaczył owce, tym razem dużo bliżej. Lecz daleko po prawej, za rzeką, zobaczył jeszcze coś. Początkowo uznał, że to tylko stado mamutów, schodzące łagodną pochyłością od podnóża wzgórz ku rzece; ale natychmiast się zorientował, że na karku każdego wielkiego zwierza siedział człowiek.

To mu przypomniało Thoreka, człowieka-mamuta z Ja-ru. To faktycznie musieli być ludzie-mamuty – pewnie dotarł do krainy Ja-ru. Lecz chociaż był w przyjaznej komitywie z Thorekiem, to nie miał złudzeń, jakie powitanie zgotują mu barbarzyńscy współplemieńcy byłego współtowarzysza niewoli. Rozsądek doradził mu zejście im z oczu, więc ostrożnie zaczął schodzić ze wzgórz ku kępie drzew, rosnących nad rzeką – stamtąd, ukryty przed ich wzrokiem, mógłby dalej obserwować jak się zbliżają.

Kiedy dotarł do drzew, zobaczył wciąż jeszcze się żarzące resztki ogniska i serce podeszło mu do gardła, bo wiedział, że znalazł się blisko szlaku dziewczyny i jej porywaczy. W którą stronę stąd poszli? Nie mogli być daleko, bo chociaż bezczasowość Pellucidaru mogła zmylić ludzki umysł, to nie miała wpływu na prawa spalania się – ogień mógł strawić drewno równie szybko jak w zewnętrznym świecie i popioły mogły się żarzyć tak długo, jak tam.

Pospiesznie przyjrzał się ziemi w obozowisku. Na chwilę zapomniał o ludziach-mamutach, zajęty bliskością La-Ja i gniewem na Fruga i Skrufa,

niemal w zasięgu jego zemsty. Poluzował pistolet w kaburze. Nie będzie miał litości, ale zastrzeli ich jak dwa wściekłe psy; nie miał najmniejszych wątpliwości, że postąpiłby słusznie – z taką łatwością znika cienka warstewka cywilizacji, wpajającej zahamowania, ale nie usuwającej pierwotnych instynktów człowieka. Tutaj obowiązywały tylko te prawa, które sam ustanowił.

Na brzegu rzeki, w miękkiej ziemi, znalazł ślady stóp tych, których szukał. Rozpoznał wszystkie – odciski dużych, szerokich stóp mężczyzn, ślady drobnych, zgrabnych stópek La-Ja. Prowadziły do rzeki i nie zawracały. Zrozumiał, że przeszli na drugi brzeg. Popatrzył w tamtym kierunku i zobaczył zbliżających się stopniowo ludzi-mamuty. Byli teraz o wiele bliżej; długie, kołyszące się kroki mamutów szybko zmniejszały dystans.

Na drugim brzegu rzeki widział drzewa i krzewy – rosły w izolowanych skupiskach, jakby je posadził jakiś architekt zieleni. Pomiedzy dwiema kępami krzewów wciąż widział ludzi-mamuty, ale nie sięgał wzrokiem zbyt daleko ani w prawo, ani w lewo. Chciałby przejść przez rzekę w pościgu za tamtą trójką, ale nie miał ochoty przyciągnąć uwagi ludzi-mamutów. Szedł ostrożnie w dół rzeki, póki rosnąca na jej drugim brzegu kępa krzewów nie zasłoniła go przed wzrokiem zbliżających się wojowników; potem, nie przejmując się, że mogą tu być jakieś groźne gady, zanurzył się w rzece, która nie była ani szeroka ani bystra. Kilka silnych pociągnięć rękami przeniosło go na drugi brzeg, gdzie znowu poszukał śladów trójki. Nie musiał daleko szukać, bo znalazł je niemal od razu – prowadziły na równinę, którą jechali ludzie-mamuty.

Gdyby natychmiast ruszył ich śladem, zdradziłby się przed nadjeżdżającymi wojownikami: na pewno by go zobaczyli, bo dzieliło ich już tylko jakieś ćwierć mili. Odrobinę zmienili kierunek i jechali teraz w

górze rzeki, niemal równolegle do jej biegu. Kiedy go miną, będzie mógł znowu szukać La-Ja. Czekał, częściowo skryty za krzewem; widać było tylko fragmencik twarzy. Pozwalało mu to obserwować ludzi-mamuty. Miarowo posuwali się naprzód, jak maszerujący żołnierze każdej ery; monotonia takiego marszu usypia nawet najbardziej żywiołowych. Lecz nagle coś się zmieniło. Jeździec patrzący ku rzece zatrzymał nagle swojego wierzchowca i zawołał do kolegów, wskazując na coś w dole nurtu, najwyraźniej w pewnej odległości od miejsca, w którym ukrywał się von Horst. Od razu ruszył w tę stronę, zmuszając niemrawego mamuta, żeby przyspieszył kroku. Reszta wojowników pojechała za nim.

Dla von Horsta był to widok z dzikiego, barbarzyńskiego świata – wymarli ludzie na wymarłych zwierzętach; ożywione obrazy barbarzyńskiej potęgi. Porucznik był tym podekscytowany i zarazem zaciekawiony. Co zobaczyli wojownicy? Do czego się zbliżali, albo co ścigali? Ryzykując, że go zobaczą, okrążał krzew, za którym się chował, póki nie mógł spojrzeć w dół doliny, tam, gdzie jechali ludzie-mamuty.

Początkowo nic nie zobaczył. Widok zasłaniał mu malutki pagórek, odrobinę większy od kopca. Upewnił się, że jeźdźcy interesują się wyłącznie tym tajemniczym łupem, a na niego w ogóle nie zwrócą uwagi, von Horst podkradł się ku pagórkowi i na skarpę, aż zobaczył, co było dalej. Serce podeszło mu do gardła.

PORWANIE

Von Horst wyskoczył z ukrycia i wybiegł na otwarty teren, sięgając po broń – ale kabura była pusta. Nie było czasu wracać i szukać broni. Przypomniał sobie, że poluzował pistolet w kaburze zanim skoczył do wody i uznał, że musiał wtedy mu wypaść. Fatalna strata, ale nic nie mógł na to poradzić. Zaś to, co widział przed sobą, spychało wszystko inne na dalszy plan. Z równiny biegły ku rzece trzy postaci, ścigane teraz przez ludzi-mamuty. Natychmiast ich rozpoznał – La-Ja i jej porywacze. Drzewa, rozsiane na obu brzegach, na wprost niego rosły gęściej, tworząc niewielki las, ku któremu biegli uciekinierowi. Skruf chwycił La-Ję za rękę i włókł ze sobą, Frug osłaniał tyły. Dziewczyna biegła, ale nie było wątpliwości, że stara się wyrwać Skrufowi; Frug smagał ją witką, żeby przynaglić do szybszego biegu. Jeśli nic im nie przeszkodzi, to dotrą do lasu przed ludźmi-mamutami; chociaż niewiele ich wyprzedzą. Pewnie wtedy by się im udało uciec – ale La-Ja starała się ich opóźnić. Von Horst domyślał się, że chyba wolałaby, żeby ją pochwycili ludzie-mamuty niż pozostać branką Bastian.

Von Horst ponad wszystko chciał dopaść bydlaka bijącego dziewczynę. Jeszcze nigdy nie czuł takiej przemożnej potrzeby zabicia wroga. Wściekłość i żądza krwi kazały mu zapomnieć o zbliżających się ludziach-mamutach.

Ruszył z boku – ukosem i nieco z tyłu – na uciekającą trójkę; byli tak zaabsorbowani sobą i uciezką, że zauważyli go dopiero wtedy, kiedy był tuż-tuż i wykrzyczał do Fruga, że ma przestać bić dziewczynę. W już i tak przerażonych oczach Skrufa błysnął nowy lęk; a La-Ja zawołała „Von!”. Ileż radości i nadziei było w tym krótkim słowie! Frug, zaskoczony i wściekły, warknął w odpowiedzi i na znak pogardy dla porucznika znowu uderzył dziewczynę. Wtedy – na samym obrzeżu lasu – von Horst rzucił mu się do gardła i obaj upadli na ziemię; potoczyli się po usianej kwiatami trawie, walcząc na śmierć i życie.

Obaj byli silni; lecz Frug był cięższy od przeciwnika o trzydzieści funtów – tę przewagę kompensowały umiejętności i zwinność porucznika. Każdy z nich myślał tylko o tym, żeby zabić drugiego – zapomnieli o wszystkim innym. Każdy chciał złapać tego drugiego za gardło i z całej siły okładał pięściami twarz przeciwnika. Jaskiniowiec stękał i przeklinał; von Horst walczył w milczeniu. Ludzie-mamuty dotarli do nich i okrążyli ich. Dwunastu zeskoczyło z ogromnych wierzchowców i rzuciło się na walczących. Oni też byli krzepcy. Rozdzielili przeciwników i pojмали ich.

Wtedy von Horst miał okazję rozejrzeć się za dziewczyną. Nigdzie nie było jej widać; Skrufa też. Dowódca ludzi-mamutów też się za nimi rozglądał – kiedy stwierdził, że ich nie ma, wysłał za rzekę grupkę swoich ludzi, żeby ich poszukali. Pozostali dosiedli mamutów; dwóm olbrzymom kazali posadzić jeńców przed jeźdźcami. Potem – nie czekając na powrót poszukiwaczy La-Ja i Skrufa, ruszyli w tym samym kierunku, w którym jechali, zanim wypatrzyli całą trójkę.

Ludzie-mamuty sprawiali wrażenie bardzo pewnych siebie; i to tak bardzo, że nawet nie zwiążali więźniom rąk – co równało się stwierdzeniu, że ucieczka jest niemożliwa. Von Horst w to nie wątpił. Przepytał go dowódca i paru innych. Pytali jak się nazywa, z jakiej jest krainy, gdzie szedł. Byli nieprzyjaźni i szorstcy; nie ulegało wątpliwości, że nienawidzili wszystkich obcych. Porucznik już tak przywykł do tej cechy Pellucidarian, że nawet nie próbował ich przekonać, że jest przyjazny, uznając – i słusznie – że byłoby to marnowaniem energii.

Jadąc w górę rzeki zobaczyli przed sobą ogromnego mamuta. Był na otwartym terenie, więc nie mogli się podkraść; ale najwyraźniej mieli na niego chrapkę.

– To on – odezwał się jeden. – Poznałbym go na pierwszy rzut oka.

– Pułapka nie zadziałała – stwierdził dowódca. – Jest za mądry, żeby się dać zwabić.

– Co nam z niego, jeśli go złapiemy? – zapytał któryś. – To paskudny bydlak. Wiemy, że już zabił z dziesięciu łowców, co na niego polowali. Teraz się go nie da wytresować, jest za stary.

– Mamth go sobie życzy – stwierdził dowódca. – To wystarczy. Mamth jest wodzem. Wykorzysta go w małym kanionie. Będziemy mieć świetną zabawę.

Kiedy je po raz pierwszy zobaczyli, wielkie zwierzę szło przez równinę; teraz odwróciło się ku nim – wielkie stworzenie, większe od wierzchowców ludzi-mamutów.

– To faktycznie on – powiedział wojownik, wraz z którym jechał von Horst. – To *Ah Ara, Ma Rahna*.

To wtedy porucznik po raz pierwszy zauważył wielką łąkę białych włosów na lewym policzku zwierzęcia.

– *Ah Ara, Ma Rahna*; Stary Białas, Zabójca – mruknął do siebie.

ZABÓJCA! Uświadomił sobie, jaki był lekkomyślny, podchodząc do tego zwierza. To, że przeżył, wskazywało, że wielkie stworzenie nie tylko jest obdarzone rozumem, ale i potrafi odczuwać wdzięczność. Tylko dzięki temu nadal żył.

Dowódca jeźdźców wydał parę poleceń; grupa się rozproszyła i zaczęła okrążać Starego Białasa, który nadal stał przed nimi, nie próbując uciekać.

– Trog spróbuje go popędzić – powiedział wojownik, przed którym siedział von Horst. – Jak mu się uda przyprowadzić *Ah Ara*, będzie wielki.

– A uda się? – zapytał von Horst.

Wojownik wzruszył ramionami.

– Żaden żywy język nie da lepszej odpowiedzi niż zbiegające na słońcu kości dziesięciu wojowników.

Wojownicy powoli utworzyli półkole za *Ah Ara*; potem zwarli szyki i ruszyli naprzód. Zwierzę znowu się odwróciło ku nim. Małe oczy błyszczały, trąba chwiała się powoli, kiedy mamut kołysał głową z boku na bok. Jeźdźcy zaczęli krzyczeć i potrząsać dzidami. Nie do uwierzenia, żeby zwierzę nie spróbowało uciec. Ale nie spróbowało – *Ah Ara* mocno się trzymał.

Nagle uniósł trąbę i z głośnym wrzaskiem zaatakował. Popędził wprost ku środkowi linii – zwartej linii, bo mamuty stykały się bokami. Opuścił głowę i uderzył, przewracając dwa słonie. Przechodząc nad nimi chwycił trąbą jednego z jeźdźców i cisnął nim z pięćdziesiąt stóp, potem go stratował. Przestał się interesować grupą i majestatycznie pomaszerował w tę stronę, w którą szedł, zanim mu przeszkodzono. Von Horst miał wrażenie, że zwierzę dało wyraz pogardzie dla ludzików, które się ośmieliły mu przeszkodzić.

Trog ze smutkiem potrząsnął głową i zawrócił ku rzece. Dwa przewrócone mamuty wstały. Jeden był bez jeźdźcy, ale poszedł za innymi.

Nikt się nie zainteresował leżącym na równinie pokaleczonym wojownikiem. Może był martwy, a może nie. Von Horst zrozumiał, że ci ludzie lekce sobie wazą ludzkie życie i że nie znają współczucia. Ciekaw był, czy Thorek by sobie przypomniał własne słowa, że jeśli się znowu spotkają to jako przyjaciele – bo całkiem możliwe, że się teraz zobaczą, skoro jest więźniem jego współplemieńców. Przypomniawszy sobie człowieka, z którym uciekł Bastianom, zapytał jadącego za nim wojownika:

– Znasz Thoreka?

– Tak. Co o nim wiesz?

– Jesteśmy przyjaciółmi.

Wojownik się roześmiał.

– Żaden obcy nie jest przyjacielem człowieka-mamuta.

– Czy Thorek wrócił z Basti?

– Nie – a potem nagle: – Jak się nazywasz?

– Von. Gdyby Thorek tu był, powiedziałałby ci, że jesteśmy przyjaciółmi.

– Hmm, może i Thorek był twoim przyjacielem, ale żaden inny człowiek-mamut nie będzie. Przyjaźń z obcym to błąd wojownika. Obcych należy zabijać, po to są obcymi. Gdyby nie było obcych, to nie mielibyśmy kogo zabijać, chyba że jeden drugiego; a to by nie było dobre dla plemienia. Szybko byśmy się wybili do nogi. Mężczyźni powinni walczyć i zabijać; to zasada wojowników.

Dotarli do rzeki i przepawili się na drugi brzeg, nieco powyżej brodu; potem Trog i paru innych zsiadło i obejrzało ziemię na ścieżce prowadzącej do wody. Von Horst przyglądał się im z rozbawieniem, po rozpoznał to miejsce. Zobaczył, że byli zdziwieni i rozgniewani tym, co znaleźli.

– *Ah Ara* tu leżał! – wykrzyknął Trog. – Jest tutaj krew, ale gdzie są patyki? Wszystkie usunięto.

– Widziałem na prawym boku *Ah Ara* krew i błoto, kiedy mnie mijał, gdy przebił się przez naszą linię – powiedział jakiś wojownik.

– Tak, leżał tu – warknął Trog. – Wpadł w pułapkę. Ale jak uciekł?

– Jest bardzo stary i bardzo mądry – powiedział któryś.

– Nigdy nie będzie na tyle stary i mądry, żeby sobie powyciągać kołki z boku i poduszek stóp, żeby je powyciągać z ziemi – zaprotestował Trog. – To tylko człowiek mógł zrobić.

– Są tu ślady ludzkich stóp! – wykrzyknął wojownik.

– Ale kto by się ośmielił podejść do *Ah Ara* i wyciągnąć z niego drzazgi? Gdyby zrobił to jakiś człowiek, to byśmy w pobliżu znaleźli jego zwłoki – Trog potrząsnął głową. – Nie rozumiem.

Znaleźli kołki tam, gdzie je położył porucznik i znowu starannie je powbijali w przeciwległy brzeg rzeki. Potem dosiedli mamutów i pojechali w stronę wzgórz, od których nadjeżdżali kiedy von Horst po raz pierwszy ich zobaczył.

– Jeszcze go dopadniemy – stwierdził von Horstowy wojownik.

– Jak? – zapytał Europejczyk.

– Kiedy sobie wbije kołki w stopy, to ból jest taki, że nie może stać. Poduszki tandora są grube, ale bardzo wrażliwe. Jak wracamy i je znajdujemy, to zakładamy mu na szyję rzemienie z mamuciej skóry. Przy każdym boku stają trzy mamuty, (specjalnie szkolone do tej roboty) i przywiązujemy do nich te rzemienie. Wtedy wyciągamy kołki z ziemi i z jego poduszek i pozwalamy mu wstać. Potem już idzie łatwo. Sześć mamutów go wlecze, póki nie ma dość podduszania. I już potulnie idzie.

– Potrafilibyście wyszkolić *Ah Ara*, gdybyście go złapali? – zapytał von Horst.

Wojownik potrząsnął głową.

– Nigdy by nie był łagodny. Mamth by go umieścił w małym kanionie i mielibyśmy dobrą zabawę.

– To znaczy?

Wojownik popatrzył na von Horsta i się uśmiechnął.

– Już wkrótce sam się przekonasz.

Dotarli do stóp podnóża wzgórz i pojechali dobrze wydeptanym szlakiem, prowadzącym na rozległy płaskowyż, na który otwierało się kilka potężnych kanionów, biegnących od leżących za nim gór. Płaskowyż porastały bujne trawy, płynęły nim strumienie, biorące początek w kanionach. Do jednego z tych kanionów Trog wprowadził swój oddziałek barbarzyńców. Na widok wspaniałego wnętrza kanionu von Horst niemal zapomniał o swojej beznadziejnej sytuacji. Za wąskim wlotem kanion rozszerzał się w piękną dolinę, otoczoną stromymi klifami, tu i ówdzie przełamanymi wąskimi wylotami mniejszych kanionów. Doliną płynął strumień, rosło w niej wiele drzew i kwitnących krzewów, w strumieniu skakały ryby, z drzewa na drzewo przelatywały ptaki o dziwnych, prehistorycznych kształtach i barwach.

Von Horst westchnął.

– Jak tu pięknie – pomyślał. – Gdybyśmy tylko mogli być tu we dwoje z La-Ja.

La-Ja! Co się z nią stało? Uciekła Skrufowi, czy dalej ją więził? Lepiej by jej było wśród ludzi-mamutów, a przynajmniej nie gorzej; bo nikt nie budził w niej takiej odrazy, jak Skruf. No i gdyby tu była, to miałaby przyjaciela, któremu by mogła zaufać, chociaż nie byłby w stanie jej pomóc.

Porucznik westchnął. Miał przeczucie, że już nigdy nie zobaczy La-Ja i nagle zrozumiał, że ten dziwny, obcy świat stanie się przez to jeszcze gorszym miejscem do życia. Dotarło do niego, że z jego życia zniknęło coś,

czego nic nie zastąpi. Może i urażało jego dumę przyznanie się do tego nawet przed samym sobą, bo dziewczyna wiele razy dała mu odczuć, że nic dla niej nie znaczy; mimo to nie mógł zapomnieć żalostnej, tęsknej nutki w jej głosie, kiedy go rozpoznała i wołała do niego tuż przedtem nim ludzie-mamuty na zawsze ich rozdzielili.

Tak był przybity tymi smutnymi myślami, że się nie przejmował swoim przyszłym losem. Nie obchodziło go, co z nim zrobią ludzie-mamuty. Im szybciej to się skończy, tym lepiej. Pozbawiony nawet jednego towarzysza, na którym by mu zależało, równie dobrze mógł być żywy jak i martwy. Bo nie miał najmniejszej szansy, żeby wrócić do zewnętrznego świata; i tylko maleńką, że znajdzie Sari, gdyby mu się udało uciec ludziom-mamutom.

Kiedy był pogrążony w tych smutnych rozmyślaniach, grupa wjechała w jeden z mniejszych kanionów i wkrótce potem zobaczył jaskinie ludzi-mamutów, tworzące ażurowy wzór na potężnym klifie. U stóp klifu, gdzie zagajnik osłaniał przed stojącym w zenicie słońcem, zgromadziło się wiele mężczyzn, kobiet i dzieci. Niektóre z kobiet krzątały się wokół ognisk, gotując coś; inne wyrabiały sandały lub przepaski biodrowe. Mężczyźni pracowicie przygotowywali kamienną broń, robili drzewca dzid, albo po prostu się obijali. Na widok powracającej grupy wszyscy rzucili to, czym się akurat zajmowali i stłoczyli się wokół, żeby obejrzeć więźniów i wymienić plotki z wojownikami.

Trog miał ważną minę.

– Gdzie Mamth? – zapytał.

– W swojej jaskini, śpi – odparła jedna z kobiet.

– Idź i obudź go – nakazał Trog.

– Sam sobie idź – odcięła się. – Nie chcę, żeby mnie zabił.

Trog, który – jak jego ludzie – zsiadł już z mamuta, stał blisko kobiety; słysząc jej odmowę, zamachnął się i uderzył ją drzewcem dzidy w głowę,

pozbawiając przytomności. Potem polecił innej kobiecie:

– Idź obudzić Mamtha.

Zaśmiała mu się w twarz.

– Guva nie ma mężczyzny, ale ja mam – powiedziała. – Nie ogłuszysz mnie swoją dzidą. Guvy też byś nie ogłuszył, gdyby miała chłopca. Sam idź obudzić Mamtha.

– Nie boję się twojego chłopca – wściekł się Trog.

– No to czemu mi nie przyłożysz – drwiła. – Bo nie pójde zbudzić Mamtha.

Otoczający ich tłum zaczął się śmiać z Troga, co go jeszcze bardziej rozwścieczyło i speszyło. Stał, zaczerwieniony i machał dzidą, popatrując na zebranych.

– Czego szukasz? – zapytała kobieta. – Wdów czy sierot?

– Zapłacisz mi za to – warknął Trog; wtem natrafił wzrokiem na von Horsta. – Idź obudzić Mamtha – rozkazał.

Europejczyk się uśmiechnął.

– Gdzie on jest? – zapytał.

Trog wskazał wejście do jaskini w połowie wysokości klifu.

– Tam jest! – warknął. – No ruszaj!

Zamachnął się dzidą na von Horsta. Więzień zrobił unik, chwycił broń i wyrwał ją Trogowi; potem złamał ją na kolanie i rzucił na ziemię, do stóp człowieka-mamuta.

– Nie jestem ani kobietą, ani dzieckiem – oznajmił.

Potem się odwrócił i ruszył ku klifowi i jaskini Mamtha; słyszał krzyki i śmiech współplemieńców Troga.

– Zabiję! – wrzasnął Trog i ruszył za nim, dobywając kamiennego noża.

Von Horst szybko się odwrócił i czekał na szaleńczy atak człowieka-mamuta. Trog pędził ku niemu, wysoko unosząc nóż. Kiedy uderzył, porucznik złapał go za przegub, prędko się odwrócił, nisko pochylił i – przeciągając rękę tamtego nad swoim barkiem – przerzucił go sobie nad głową i łupnął nim o ziemię. Potem poszedł do podnóża klifu i zaczął się wspinać po prymitywnie skleconych drabinach, prowadzących do jaskini Mamtha. Rzucił okiem przez ramię – Trog dalej leżał tam, gdzie upadł, najwyraźniej nieprzytomny. Tłum gromko się śmiał, z czego von Horst wywnioskował, że nie podpadł im swoim postępkiem oraz że Trog wcale nie był aż tak lubiany.

Zastanawiał się, jakim uczuciem zapala do niego Mamth, kiedy go obudzi; bo to, co usłyszał, świadczyło, że wódz nie lubi być wyrywany ze snu. Widział też, jak prymitywni są ci ludzie i jak słabo nad sobą panują – jak wszyscy prymitywni ludzie; nawet ci, co to niby mają być cywilizowani, a mimo to mają barbarzyńskie umysły. Kiedy w końcu dotarł do jaskini, zajrzał do środka; ale było tam tak ciemno, że niczego nie widział. Głośno wykrzyknął „MAMTH!!!” i czekał. Nie było odpowiedzi. Śmiech na dole ucichł. Zebrani w napięciu czekali na skutki jego zuchwalstwa.

Von Horst znowu zawołał, tym razem głośniejszym głosem. I tym razem doczekał się odpowiedzi – ryku rozwścieczonego byka i jakiegoś ruchu. Potem z jaskini wynurzył się olbrzym; włosy miał rozczochrane, brodę zmierzwioną, oczy przekrwione i zapuchnięte. Zobaczył von Horsta i zatrzymał się, zdumiony.

– Kim jesteś? – zapytał. – Czemu obudziłeś Mamtha? Chcesz być zabity?

– Jestem więźniem – odparł von Horst. – Trog mnie wysłał, żebym cię obudził, bo bał się sam to zrobić. A co do bycia zabitym, to chyba po to mnie uwięziono.

– Trog cię przysłał, taaak? – zapytał Mamth. – Gdzie on jest?

Von Horst wskazał do podnóża klifu, gdzie Trog nadal leżał. Mamth spojrział tam.

– Co z nim?

– Próbował mnie dźgnąć sztyletem – wyjaśnił więzień.

– I ty go zabiłeś?

– Nie sądzę. Pewnie jest tylko ogłuszony.

– Czego chciał ode mnie?

– Chciał pokazać ci dwóch więźniów, których przywiózł. Jestem jednym z nich.

– I po to zakłócił mi sen! – burknął Mamth. – Teraz już nie zasnę – wskazał drabinę. – Złaż.

Von Horst zrobił, co mu kazano, a Mamth poszedł za nim. Kiedy znaleźli się na dole, Trog odzyskiwał przytomność. Mamth podszedł i stanął nad nim.

– No,no! – wykrzyknął. – Bałeś się iść obudzić Mamtha, ale posłałeś więźnia, co się mógł zakraść do jaskini i zabić Mamtha we śnie. Jesteś głupcem. I pozwoliłeś, żeby więzień cię ogłuszył. Świetnie się nadajesz na zastępcę wodza. Co się stało?

– Musiał mnie walnąć w głowę kamieniem, kiedy nie patrzyłem – powiedział Trog.

– Nie zrobił tego! – zawołała kobieta. – Trog chciał uderzyć więźnia dzidą. Więzień wyrwał mu dzidę i złamał. O, tam leży. Potem Trog próbował zabić więźnia nożem. Więzień podniósł Troga i przerzucił go sobie nad głowę.

Wielu zaczęło się śmiać, kiedy opowiadała, jak było – ale w obecności Mamtha nie śmiali się zbyt głośno.

Wódz spojrzał pytająco na von Horsta.

– A więc złamałeś dzidę Troga i potem przerzuciłeś go sobie nad głową?! – wykrzyknął. – Gdzie drugi więzień?

– Tutaj – odezwał się jeden z wojowników, pilnujących Fruga.

Mamth popatrzył na Bastianina.

– Jest jeszcze większy niż tamten – powiedział. – Powinni nam dostarczyć dobrej zabawy w małym kanionie. Zabierzcie ich. Gorph, tego zabierz do swojej jaskini i uważaj, żeby nie uciekł – wskazał kciukiem von Horsta. – Truth, ty pilnuj drugiego. Niech będą gotowi, kiedy Mamth sobie zażyczy. Trog, już nie jesteś zastępcą wodza. Mamth wyznaczy godniejszego.

„GIŃ!”

Gorph był niskim, przysadzistym mężczyzną w średnim wieku, z małymi blisko osadzonymi oczami i bujnym zarostem. Von Horst od razu uznał, że to wredny typ, jeszcze zanim ten się z tym zdradził, co zresztą szybko nastąpiło. Jak tylko Mamth nakazał, żeby się zajął więźniem, Gorph podszedł do porucznika, chwycił go brutalnie za ramię i popchnął ku podstawie klifu i najbliższej drabinie.

– Właz – burknął. – I to żwawo!

Potem – zupełnie bez powodu, z czystej złośliwości – dźgnął więźnia w plecy czubkiem dzidy i rozkrwawił mu je. Człowiek z zewnętrznego świata poczuł urazę i gniew; nieoczekiwany ból sprowokował go do działania. Gwałtownie się odwrócił i ugiął kolana. Gorph, wyczuwając atak, znowu chciał go dźgnąć dzidą. Ale von Horst odepchnął broń i przyskoczył bliżej, blokując pod lewą pachą, jak w imadle, głowę człowieka-mamuta. Potem zaczął coraz szybciej wirować. Stopy Gorpha oderwały się od ziemi, jego

ciało zataczało równoległy do podłoża krąg. Von Horst wreszcie zwolnił chwyt i typ poleciał na ziemię.

Mamth wybuchnął głośnym rechotem; pozostali widzowie zaraz za nim. Gorph zaczął się chwiejnie podnosić, ale zanim zdążył wstać, von Horst znowu zastosował ten sam chwyt, zakręcił biedakiem i rzucił nim. Kiedy Gorph tym razem się podniósł – oszołomiony i półprzytomny – porucznik stał w pobliżu; pięści zaciśnięte, jedno ramię cofnięte – gotowy do zadania ciosu w obrośniętą gębę, ciosu, który by na dobre pozbawił człowieka-mamuta przytomności. Lecz gniew zniknął równie nagle jak się pojawił.

– Jeśli jeszcze raz zrobisz coś takiego, Gorph, to cię zabiję – powiedział von Horst. – Podnieś dzidę i włóż. Pójdę za tobą.

W ogóle się nie zastanawiał, jak inni ludzie-mamuty mogą zareagować na atak na ich współplemieńca; nic go to zresztą nie obchodziło. Śmiali się, co go upewniło, że rozbawiła ich klęska Gorpha (pewnie rozbawiłaby ich porażka każdej innej istoty). Gorph stał przez chwilę, niepewny co robić. Słyszał śmiech i kpiny współplemieńców. Trząśł się z wściekłości; lecz spojrzawszy na mężczyznę, który go pokonał, a teraz stał i czekał, żeby mu znowu dołożył. Odwaga nie dorównała gniewowi.

Poszedł po dzidę i kiedy mijał von Horsta zagroził szeptem:

– Jeszcze cię zabiję.

Europejczyk wzruszył ramionami i ruszył za nim. Gorph podszedł do drabiny i zaczął się wspinać.

– Bacz, żeby mu się nic nie stało, Gorphie! – zawołał za nim Mamth. – Będzie świetny do małego kanionu!

– No i widzisz – stwierdził von Horst – tak ze względu na Mamtha jak i na mnie lepiej dla ciebie będzie, jak nic mi się nie stanie.

Gorph mruzczał coś w brodę, wspinając się na trzeci poziom jaskiń; von Horst szedł za nim. Potem człowiek-mamut ruszył szeroką półką w prawo i

zatrzymał się przed dużym wejściem do jaskini, przy którym kucaly trzy kobiety. Jedna była w średnim wieku, pozostałe dwie dużo młodsze. Z tej dwójki ta wyglądająca na starszą była niska i przysadzista jak Gorph: ponura, nieatrakcyjna dziewczyna. Wszystkie trzy były ubrane jedynie w skąpe przepaski biodrowe.

– Kto to? – zapytała kobieta.

– Kolejna gęba do żywienia – burknął Gorph. – Jeden z więźniów, których przyprowadził Trog. Mamy go pilnować, ale jak spadnie z klifu, to nie będzie to moja wina.

Starsza z dwóch dziewcząt wyszczerzyła się w uśmiechu.

– A mógłby – stwierdziła.

Gorph podszedł do młodszej dziewczyny i kopnął ją.

– Przynieś żarcie – warknął. – I nie guzdraj się.

Dziewczyna jęknęła i zniknęła w jaskini. Gorph przysiadł obok dwóch kobiet. Starsza robiła ze skóry mamuta parę sandałów; druga tylko siedziała i gapiała się bezmyślnie przed siebie.

Gorph łypnął na nią gniewnie.

– Jak długo jeszcze będę musiał dla ciebie polować, Grum? Czemu sobie nie bierzesz chłopca? Żaden cię nie chce?

– Zamknij się – warknęła Grum. – Żaden mnie nie chce, bo wyglądam jak ty, a jestem taka jak ty. Gdybyś był kobietą, to nigdy byś nie miał chłopca. Nienawidzę cię.

Gorph się nachylił i uderzył ją w twarz.

– Wynoś się! – krzyknął. – Idź sobie poszukać chłopca!

– Daj jej spokój – powiedziała ze znużeniem starsza kobieta.

– Nie wtrącaj się – ostrzegł Gorph – bo ci kopami połamię żebra.

Kobieta westchnęła.

– Tylko tyle Mumal potrafi – prychnęła Grum. – Siedzieć i wzdychać. To jedno potrafią, ona i ta podobna do małej Lotai. Zabiłabym je obie.

– Jesteś złą córką – powiedziała Mumal. – Czas, kiedy cię nosiłam, był naprawdę niedobry.

– Won! – warknął Gorph; wskazał krótkim paluchem Grum. – Kazałem ci się wynosić.

– Spróbuj mnie wyrzucić – parsknęła dziewczyna. – Wydrapałabym ci oczy. Znajdź mi chłopca. Gdybyś był coś wart, to byś znalazł mężczyznę dla obu córek. Jesteś tchórzem. Boisz się wywalczyć dla nas mężczyzn.

– Jeśli kiedykolwiek zmuszę chłopca, żeby cię poślubił, to przy pierwszej okazji zajdź mnie z tyłu w lesie i zabije.

– Pomogłabym mu – stwierdziła Grum.

– LOTAI!!!! – ryknął Gorph. – Gdzie żarło?!!!!

– Niosę! – odkrzyknęła z wnętrza jaskini dziewczyna i chwilę później wyszła z garścią suszonego mięsa.

Rzuciła je na ziemię przed Gorphem i wycofała się w przeciwny kąt wejścia, gdzie przycupnęła, obraz nędzy i rozpaczy.

Gorph rzucił się na mięso jak wygłodniały wilk. Mocnymi zębami odgryzał wielkie kawały i połykał w całości.

– Wody! – prychnął kiedy skończył.

Dziewczyna zwana Lotai wstała i szybko wróciła do jaskini. Chwilę potem wróciła z tykwą, którą podała Gorphowi.

– To reszta – powiedziała. – Nie ma więcej wody.

Gorph się napił i wstał.

– Teraz będę spać – oznajmił. – Zabiję każdego, kto mnie obudzi. Mumal, idź z Grum po wodę. Lotai, pilnuj więźnia. Jak spróbuje uciekać, krzycz; wyjdę i...

– I co? – zaciekał się von Horst.

– Róbcie, co kazałem – polecił Gorph kobietom, ignorując pytanie więźnia, a potem ciężko począpał do jaskini.

Dwie starsze kobiety poszły za nim i raz dwa wyszły z dużą tykwą. Potem zaczęły schodzić po drabinach, po wodę. Von Horst popatrzył na młodszą dziewczynę, która miała go pilnować. Kiedy tamci odeszli, jej twarz się wypogodziła i była teraz jeszcze piękniejsza niż przedtem.

– Szczęśliwa rodzinka – zauważył.

Popatrzyła na niego pytająco.

– Tak uważasz? – zapytała. – Może tamci są szczęśliwi, chociaż na to nie wyglądają. Wiem, że ja nie jestem.

I znowu von Horst miał do czynienia z typowym dla epoki kamienia brakiem poczucia humoru, dosłownym rozumieniem słów. Przypomniało mu to La-Ja.

– Ja tylko się śmiałem słowami – wyjaśnił.

– O. Rozumiem. Tak naprawdę nie myślisz, że jesteśmy szczęśliwi?

– Zawsze tak jest? – zapytał.

– Czasem jest gorzej. Ale kiedy Mumal i ja zostajemy same, to jesteśmy szczęśliwe. Grum mnie nienawidzi, bo jestem ładna, a ona nie. Gorph nienawidzi wszystkich; myślę, że i samego siebie też.

– Dziwne, że nie masz małżonka, jesteś bardzo ładna.

– Żaden mężczyzna mnie nie weźmie, bo musiałby wziąć i Grum, gdyby Gorph nalegał. Takie jest prawo ludzi-mamutów. Ona jest ode mnie starsza i pierwsza powinna mieć męża.

– Co miała na myśli Grum, mówiąc, że Gorph boi się walczyć dla niej z mężczyznami?

– Jeśli wybierzemy mężczyzn, których byśmy chciały za małżonków, to musieliby nas wziąć, gdyby Gorph ich pokonał w walce. Ale ja bym nie chciała zdobyć kogoś w ten sposób. Chciałabym, żeby mój mężczyzna tak bardzo mnie pragnął, żeby był gotowy walczyć, by mnie zdobyć.

– I Grum tylko tak może zdobyć małżonka? – zapytał von Horst.

– Tak, bo nie ma brata, żeby dla niej walczył, ani żadnego przyjaciela, gotowego to dla niej zrobić.

– Chcesz powiedzieć, że każdy mężczyzna mógłby jej wywalczyć małżonka?

– No tak. Ale kto by to zrobił?

– Przyjaciół mógłby – stwierdził von Horst. – Albo ktoś, kto by cię dostatecznie mocno pragnął.

Potrząsnęła głową.

– To nie takie proste. Gdyby walczący dla niej mężczyzna nie był ani jej ojcem ani bratem, to musiałby ją wziąć gdyby przegrał. A Grum jeszcze wszystko pogorszyła, chcąc za małżonka Horga. Nikt nie pokona Horga. To największy i najsilniejszy mężczyzna w całym plemieniu.

– Dość niepewny sposób zdobywania małżonka – zadumał się von Horst. – Jeżeli twój mężczyzna przegra, to go dostajesz; ale możesz dostać zwłoki.

– Nie – wyjaśniła. – Walczą gołymi rękami póki jeden się nie podda. Czasem są porządnie poranieni, ale rzadko któryś ginie.

Przez chwilę siedzieli milcząc. Dziewczyna bacznie obserwowała mężczyznę. Von Horst myślał o La-Ja i zastanawiał się, co się z nią dzieje. Był smutny, bo sądził, że na zawsze zniknęła z jego życia – wyniosła, władczą niewolnica, która go nienawidziła. Ciekaw był, czy naprawdę go nienawidziła. Czasami w to wątpił. Potrząsnął głową. Któż zrozumie kobietę?

Lotai się poruszyła.

– Jak ci na imię? – zapytała.

– Von.

– Uważam, że jesteś bardzo miłym mężczyzną.

– Dziękuję. A ja uważam, że jesteś bardzo miłą dziewczyną.

– Jesteś inny niż ci, których dotąd znałam. Myślę, że jesteś mężczyzną, któremu bym mogła zaufać. Nigdy byś mnie nie bił. Zawsze byś był uprzejmy i rozmawiał ze mną jak mężczyźni rozmawiają z mężczyznami. Nasi mężczyźni nigdy tak nie robią. Na początku może i są mili, ale szybko odzywają się tylko po to, żeby rozkazywać albo urągać. O, niektórzy nie są tak źli jak inni – dodała. – Myślę, że Gorph, mój ojciec, jest najgorszy. Jest okropny. Nigdy nie powie żadnej z nas miłego słowa, a dla mnie jest gorszy niż dla tamtych. Bije mnie i kopie. Myślę, że mnie nienawidzi. No i dobrze, bo i ja go nienawidzę. Był tu jeden bardzo miły mężczyzna. Lubiłam go, ale odszedł i nigdy nie wrócił. Był potężnym mężczyzną i wielkim wojownikiem. Ale był miły dla kobiet i dzieci; śmiał się i był sympatyczny. Wszystkie kobiety chciałyby go na małżonka, ale on nigdy by nie wziął kobiety, żeby zawsze tkwiła w jego jaskini. Thorek nie był taki.

– Thorek?! – wykrzyknął von Horst. – To on nie wrócił do Ja-ru?

– Znasz go? – zapytała Lotai.

– Byliśmy więźniami Bastian i razem uciekliśmy. Byliśmy przyjaciółmi. Powinien tu być, zanim mnie przywieźli. Od kiedy się rozdzieliliśmy daleko zaszedłem i wiele razy spałem. Coś mu się musiało stać.

Dziewczyna westchnęła.

– Był takim miłym mężczyzną; ale co to za różnica? Nie był dla mnie. Dostanę małżonka jak Gorph i będzie mnie bił i kopał przez resztę mojego życia.

– Powiedziałbym, że kobiety Ja-ru nie mają lekko – stwierdził von Horst.

– Nie wszystkie. Tylko takie jak Mumal i ja. Niektóre są duże i silne i lubią walczyć. Jeśli ktoś je kopnie, to odpowiadają kopniakiem. One mają dobre życie. Mumal i ja jesteśmy inne. Ona nie jest z Ja-ru. Gorph porwał ją z innego plemienia. Ja jestem jak ona, a Grum jak Gorph. Uciekłybyśmy i wróciły do krainy mamy, ale jest bardzo daleko, a niebezpieczeństwa są wielkie. Zabito by nas, zanim dotarłybyśmy do Sari.

– Sari – powtórzył von Horst. – To z tej krainy pochodził Dangar. To tam powinienem pójść, kiedy stąd ucieknę.

– Nigdy nie uciekniesz – powiedziała Lotai. – Pójdziesz do małego kanionu i nigdy stamtąd nie wyjdiesz.

– Co to jest ten mały kanion, o którym bez przerwy słyszę? – zapytał porucznik.

– Wkrótce się przekonasz. Mumal i Grum wracają z wodą. Nie możemy za dużo rozmawiać przy Grum i Gorphie. Jak pomyślałam, że się zaprzyjaźniłam z więźniem, to jeszcze więcej będą mnie kopać i bić.

Obie kobiety ukazały się na wiodącej z dołu drabinie; każda niosła na głowie tykwę z wodą. Mumal wyglądała na zmęczoną i przygnębioną; Grum była rozdrażniona i wściekła, złą gębę wykrzywił wredny grymas. Zatrzymała się w wejściu do jaskini.

– Idę spać – oznajmiła. – Żeby mi tu nikt nie hałasował – i weszła do środka.

Mumal się pochyliła i pogłaskała Lotai po głowie.

– Ja też pójdę spać, dziecko.

– Sama bym się przespała – powiedziała Lotai, kiedy obie zniknęły w jaskini.

– Czemu nie? – zapytał von Horst.

– Mam cię pilnować.

– Obiecuję, że nie odejdę, póki będziesz mnie pilnować. Idź się prześpij. Ja też bym się chętnie przespał.

Dłuższą chwilę uważnie mu się przyglądała, a potem powiedziała:

– Wierzę, żebyś nie uciekł, jeśli byś mi to obiecał. Ale jak Gorph by cię tu znalazł, kiedy bym spała w jaskini, to skończyłoby się dla mnie równie źle jak gdybyś uciekł. Jeśli wejdiesz do środka i nie wyjdiesz, póki będę spać, to będzie w porządku. Możemy pójść w najdalszy kąt jaskini i tam spać, wtedy dadzą nam spokój.

Von Horst był bardzo zmęczony i musiał długo spać. Kiedy się obudził, Lotai nie było. Znalazł ją z innymi na półce przed jaskinią. Jedli sarninę, popijając ją wielkimi haustami wody. Gorph i Grum jedli hałaśliwie, jak zwierzęta.

Nikt nie zaproponował von Horstowi strawy. Leżała w niewielkim stosiku na kawałku skóry, w który była zawinięta; paskudnie wyglądała i cuchnęła, no ale była to strawa, a porucznik był wygłodzony. Podeszedł do leżącego blisko Gorpha mięsa i pochylił się, żeby sobie trochę wziąć. Gorph odtrącił jego rękę.

– Porządne żarło nie jest dla niewolników – warknął. – Idź na tył jaskini i weź sobie kości i ochłapów, które tam leżą.

Paskudny zapaszek, jaki wyczuł w jaskini podpowiedział von Horstowi jaki pokarm mu przeznaczono; tylko głód mógłby go zmusić do zjedzenia czegoś takiego. Wiedział jednak, że jego przyszłe życie wśród tych ludzi – jak długie czy krótkie się okaże – będzie w dużym stopniu zależeć od tego, jak się teraz zachowa. Znowu sięgnął po pokarm i Gorph znowu odtrącił jego dłoń; ale tym razem von Horst chwycił go za przegub, poderwał go na nogi i zadał mu potężny cios w szczękę. Gorph padł na ziemię. Porucznik wziął garść sarniny i tykwę z wodą, a potem przeszedł w drugi koniec

wejścia do jaskini, gdzie siedziały Mumal i Lotai, drżąc i szeroko otwierając oczy. Usiadł i zaczął jeść.

Grum się nie odezwała i teraz siedziała wlepiając oczy w von Horsta; lecz nikt nie wiedział, jakie czarne myśli krążą w tym barbarzyńskim umyśle. Była wściekła, że obcy ogłuszył jej ojca? Miała mu za złe, że wziął sobie sarniny? A może potajemnie podziwiała jego odwagę, siłę i sprawność?

Gorph odzyskał przytomność. Otworzył oczy i podparł się na łokciu. Wyglądał na skołowanego i najwyraźniej próbował się zorientować, co się stało. Wpatrywał się w von Horsta i sarninę, którą ten jadł. Pomasował szczękę, ostrożnie jej dotykając, jakby sprawdzał, czy nie jest złamana. Potem zabrał się do jedzenia. Przez cały ten czas nikt się nie odezwał, lecz von Horst był zadowolony – wiedział, że już nigdy nie odmówią mu jedzenia i nie musieli mu tego mówić.

Trwał niekończący się pellucidariański dzień. Von Horst jadł i spał. Gorph polował, czasem wracając z ubitym zwierzęciem lub swoją częścią tego, które upolował z towarzyszami – a czasem z pustymi rękami. Von Horst widywał grupy ludzi-mamutów odjeżdżające i wracające na swoich ogromnych wierzchowcach. Rozmawiał z Lotai i z Mumal. Grum czasem włączała się do rozmowy, ale zwykle siedziała w milczeniu i wpatrywała się w von Horsta.

Porucznik zastanawiał się, co go czeka i kiedy się o tym dowie. Na Pellucidarze nie istniał czas, więc nie było żadnych norm odmierzania, ile coś trwa. Uznał, że to dlatego Pellucidarczyce tak często się wydają opieszali. Tutejsze „natychmiast” mogło oznaczać godzinę lub dzień czasu słonecznego zewnętrznego świata – albo, co możliwe, o wiele dłuższy okres. Być może Mamth uważał, że raz dwa decyduje o losie obu więźniów, ale dla porucznika była to wieczność. Ani razu nie widział Fruga od kiedy

ich rozdzielono u stóp klifu; a gdyby go kiedykolwiek zobaczył, to byłoby to o wiele za szybko.

Pewnego razu von Horst siedział na półce, przed wejściem do jaskini i rozmyślał o La-Ja, jak to często robił; zastanawiał się, czy dziewczyna wciąż żyje. Był sam, bo Gorph polował, a Mumal i Lotai poszły w górę kanionu po bulwy podobne do ziemniaków; Grum spała w jaskini. Cieszył się samotnością, wolny od urągania i okrucieństwa jakich się dopuszczali Grum i Gorph. Śnił na jawie, przywołując miłe wspomnienia, przypominając sobie twarze i postaci przyjaciół z dawno minionych dni, których już nigdy nie zobaczy; ale ta myśl przesadnie go nie zasmuciła. Dobrze było wspominać dawne szczęśliwe chwile. Z rozmyślań wyrwało go szuranie sandałów w jaskini. Grum się obudziła. Wyszła na skalną półkę. Przez chwilę stała, natrętnie mu się przyglądając.

– Nadałbyś się na mojego małżonka – oznajmiła. – Chcę ciebie.

Von Horst się roześmiał.

– Czemu myślisz, że byłbym dobrym małżonkiem?

– Widziałam, jak sobie poradziłeś z Gorphem. Opowiedzieli mi, co zrobiłeś Trogowi. Chcę ciebie na męża.

– Przecież jestem obcym i więźniem. Słyszałem, jak ktoś z was mówił, iż wasze kobiety nie mogą brać męża spoza plemienia.

– Pogadam o tym z Mamthem. Może się zgodzi. Byłby z ciebie dobry wojownik dla Mamtha.

Von Horst przeciągnął się leniwie i uśmiechnął. Czuł się bezpieczny.

– Mamth nigdy się nie zgodzi.

– To uciekniemy. Mam dosyć życia tutaj. Nienawidzę ich wszystkich.

– Wszystko sobie obmyśliłaś, prawda?

– Owszem. Wszystko ustalone.

– A gdybym tak nie chciał cię za żonę?

– To byłoby lepsze od śmierci – przypomniała mu. – Jeśli tu zostaniesz, to pójdziesz na śmierć w małym kanionie.

– Nie uciekniemy. Gdyby się dało uciec, to już dawno by mnie tu nie było. Bez przerwy wypatrywałem okazji.

– Możemy uciec. Znam sposób, o którym nie wiesz.

– A co z Horgiem? Myślałem, że chcesz Horga?

– Tak, ale nie mogę go dostać.

– Pomogłabyś mi uciec, gdybym ci pomógł zdobyć Horga? – zapytał, bo nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

– Jak mógłbyś zdobyć dla mnie Horga?

– Mam na to pewien pomysł. Poszlibyśmy razem do Mamtha i poprosiłabyś, żeby mi pozwolił zostać twoim mężem, on by odmówił. Wtedy przedstawiłbym mu mój plan zdobycia Horga dla ciebie. Myślę, że spodobałby mu się.

– Zrobisz to?

– Pomożesz mi uciec?

– Tak – obiecała.

Kiedy tak rozmawiali, von Horst zobaczył wracającą do wioski na swoich ogromnych wierzchowcach grupę ludzi-mamutów. Pokrzykiwali i śmiali się jak triumfujący wojownicy. Za jednym z nich ktoś siedział – jak tylko zsiadł, otoczył go tłum paplających i gestykulujących współplemieńców. Człowiek z zewnętrznego świata przyglądał się im bez wielkiego zainteresowania. Nie wiedział, czemu się tak cieszą.

Wkrótce po powrocie wojowników von Horst zauważył krzątanicę w lasku u stóp klifu. Rozpalono tam ogniska – co było niezwykle, bo przeważnie każda rodzina gotowała na skalnej półce przed swoją jaskinią.

– Będzie *karoo* – powiedziała Grum. – Wszyscy zejdziemy na dół i będzie mnóstwo jedzenia i picia.

– Co to jest *karoo*? – zapytał von Horst, bo jeszcze nigdy nie słyszał tego słowa.

Grum wyjaśniła, że to uczta i świętowanie ważnego wydarzenia, w którym biorą udział wszyscy członkowie plemienia. Nie wiedziała, z jakiej okazji jest dzisiejsze *karoo*, ale uznała, że będą świętować jakiś ważny czyn grupki wojowników, którzy właśnie wrócili.

– Nie możemy zejść póki Gorph nie wróci, albo Mamth po nas nie pośle – wyjaśniła – bo kazano mi tu siedzieć i pilnować cię. Ale jak Gorph wróci, to cię zabierze ze sobą na dół, bo inaczej któreś z nas musiałyby tu z tobą zostać i przepuścić świętowanie. Same kłopoty przez ciebie. Wolałabym, żebyś nie żył.

– To byś nie dostała Horga – przypomniał jej.

– I tak go nie dostanę. Nijak go dla mnie nie zdobędziesz. Musiałabym wziąć ciebie zamiast niego, ale ty nie jesteś takim mężczyzną jak Horg. Poczekaj aż go zobaczysz. Ty i on to jak tandor i thag; no i ma wspaniałą brodę. Jego twarz nie jest jak twoja, gładka niczym u kobiety. Zawsze sobie zdrapujesz brodę tym dziwnym lśniącym nożem.

Lotai i Mumal wróciły do jaskini, wkrótce po nich zjawił się Gorph. Przyniósł antylopę, którą upolował; kobiety przyniosły bulwy. Umieścili to wszystko w jaskini i Gorph kazał im zejść na dół. Było tam już tłumne zgromadzenie – kilkaset mężczyzn, kobiet i dzieci; von Horst uznał, że musiało się zebrać całe plemię. Było wiele gadania i śmiechu – opanował ich świąteczny nastrój, dziwnie kontrastujący z ich zwykłym zachowaniem. Obcego wojownika nadal otaczał tłum, więc von Horst początkowo go nie widział. Na więźniów nie zwracano większej uwagi; Frug smutno przykucnął pod drzewem, oparty plecami o pień, a von Horst stał,

obserwując z ciekawością największe zgromadzenie najprawdziwszych prymitywnych ludzi jakie w życiu widział.

Mamth go zauważył.

– Chodź tutaj! – zawołał i powiedział do wojownika, będącego w centrum zainteresowania, – To więzień jakiego jeszcze nie było. Przyjrzyj mu się. Ma twarz gładką jak kobieta i żółte włosy. Rzucił Torgiem i Gorphem jakby byli dzieciakami. Chodź no tutaj! – rozkazał porucznikowi.

Więzień wykonał polecenie, a wojownik przecisnął się przez tłum, żeby na niego popatrzeć. Po chwili stali twarzą w twarz.

– Thorek! – wykrzyknął von Horst.

– No, no, no! – ryknął człowiek-mamut. – Albo to Von, albo jestem *jalokiem*! To ten człowiek, który rzucił Torgiem i Gorphem? Wcale się nie dziwię. I ja bym rzucił jednym i drugim, a ten tu rzucił mną.

– Znasz go? – zapytał Mamth.

– Znam? Jesteśmy przyjaciółmi. Razem uciekliśmy z Basti, zabierając ze sobą niewolników.

– Przyjaciele! – wykrzyknął Mamth. – Jest obcy. Ludzie-mamuty nie przyjaźnią się z obcymi.

– Ja tak i dobry z niego przyjaciel – odpysknął Thorek. – I dlatego powinien mieć przyjaźń wszystkich ludzi-mamutów. Jest wielkim wojownikiem i należy mu pozwolić zamieszkać wśród nas i wziąć sobie żonę spośród naszych kobiet. Albo powinien móc bez przeszkód odejść w swoją drogę.

Grubo ciosana twarz Mamtha zmarszczyła się gniewnie.

– Nie! – wykrzyknął. – Jest obcym i wrogiem i umrze, co powinno spotkać wszystkich wrogów ludzi-mamutów. Mamth trzymał go do małego kanionu. Kiedy Mamth będzie gotowy, on tam pójdzie. Mamth rzekł.

PAN MŁODY

Wyrok śmierci zapadł, ale von Horsta to nie zszokowało, bo się nie zdziwił. Cały czas wiedział, że tak czy inaczej zadana śmierć zakończy jego niewolę, o ile nie uda mu się uciec. W tym pozbawionym czasu świecie nawet nie można było się domyślać, kiedy nadejdzie. Thorek był zły, ale nie mógł nic zrobić, żeby ocalić przyjaciela, bo Mamth był wodzem, a jego słowo było tu prawem. Dąsał się i zrzędził pod nosem, ale kiedy ucza się zaczęła, zasiadł do niej wraz z innymi i najwyraźniej szybko zapomniał o swoim rozżaleniu, ciesząc się jadłem i pić. Von Horstowi i Frugowi pozwolono wziąć udział w świętowaniu. Von Horst spróbował tutejszego piwa i uznał, że już niewielka ilość by wystarczyła, żeby człowiek zapomniał nie tylko o swojej urazie. Przyrządzały je kobiety – z mieszaniny dzikiej kukurydzy, kilku ziół i miodu – i chociaż z pewnością nie było smaczne, to dawało potężnego kopa. Von Horstowi wystarczył łycalek. Kobiety i mężczyźni chętnie się nim raczyli, z różnymi skutkami. Jedni stawali się bardziej gadatliwi i wesołowaci, inni ponurzy i kłótlivi (toteż

zwykle w jakiejś części zagajnika dochodziło do bójk). Byli i tacy, co w ogóle nie pili i von Horst zauważył, że były wśród nich Lotai i Mumal. Za to Grum sobie nie żałowała i chociaż alkohol nie uderzał jej do głowy, to nasilał jej wrodzone cechy i zrobiła się bardziej buńczuczna, apodyktyczna i agresywna. Von Horst z niejakim rozbawieniem patrzył, jak podeszła do olbrzymiego mężczyzny i zarzuciła mu ręce na szyję; trzeba było wielu potężnych haustów trunku, żeby się tak zdradziła. Była niemal groteskowa w tym okazywaniu uczucia. Wielkolud najwyraźniej też tak uważał, bo szorstko zdjął z szyi jej ręce i odepchnął ją tak gwałtownie, że poleciała na ziemię. Natychmiast się poderwała, prawdziwa furia, z twarzą wykrzywioną wściekłością. Von Horst spodziewał się, że rzuci się na gbura, ale ona przepchnęła się do Mamtha.

– Chcę chłopca! – wrzasnęła. – Chcę Horga!

Mamth popatrzył na wielkoluda.

– A co Horg na to? – zapytał.

A więc to był Horg. Von Horst mu się przyjrzał i był zadowolony, że się nie zaofiarował z nim walczyć dla czarującej Grum. Mężczyzna był olbrzymi. Musiał ważyć niemal trzysta funtów i miał potężne mięśnie.

Horg gromko zarechotał.

– Brać sobie tę samicę taraga! – ryknął. – To już bym wolał Maharę!

– Słyszałaś – powiedział Mamth. – Wracaj na *karoo* i daj chłopcu spokój. Nie jest dla ciebie.

– Jest dla mnie! – darła się Grum. – Mam wojownika, co będzie dla mnie walczył z Horgiem!

Wszyscy spojrzeli na Gorpha i rozległ się gromki śmiech.

– Rusz się, Gorph! – zawołał jakiś wojownik. – Pokaż nam, jak pokonasz Horga! Tylko go nie zabij!

Horg zaśmiał się gromko.

– No dalej, Gorph! – zawołał. – Jak mnie pokonasz to zdejmę ci Grum z karku! I nie mam ci za złe, że chcesz się jej pozbyć!

– Wypiła za dużo *tumal* – burknął Gorph. – Nigdy nie obiecywałem, że wywalczę jej Horga. To mój przyjaciel i nie chcę go skrzywdzić.

To wywołało kolejny wybuch śmiechu; a Horg uznał to za tak zabawne, że się tarzał po ziemi, gromko rechocząc z rozbawienia. Grum się nie odezwała. Przez chwilę przypatrywała się w milczeniu Horgowi i Gorphowi, a potem powiedziała do Mamtha:

– Nie mówiłam, że to Gorph będzie dla mnie walczyć z Horgiem. Gorph to tchórz. Gdyby mógł, to w ogóle by się o nic nie bił. Mam mężczyznę, który będzie walczyć z Horgiem. I to teraz.

– Któż to taki? – zapytał Mamth.

Von Horsta ścisnęło w dołku. Wiedział, co nadciąga. Grum wskazała na niego grubym, brudnym paluchem.

– Oto on! – zawołała głośno.

– Nie jest człowiekiem-mamutem – sprzeciwił się Mamth. – Jak może walczyć dla ciebie?

– Bo nikt inny nie chce – przyznała Grum.

Mamth potrząsnął głową, ale zanim zdążył stanowczo się sprzeciwić, odezwał się Horg.

– Pozwól mu ze mną walczyć. To *karoo* i należy się nam trochę rozrywki.

– Obiecasz, że go nie zabijesz? – zapytał Mamth. – Trzymam go do małego kanionu.

– Nie zabiję go – obiecał Horg.

Von Horst podszedł do nich.

– A jeśli cię pokonam, to weźmiesz Grum za żonę? – zapytał.

– Taki jest obyczaj ludzi-mamutów – stwierdził Mamth. – Będzie musiał ją wziąć. Ale go nie pokonasz.

– Pokona mnie! – ryknął Horg. – Niech no go dopadnę!

– Jak będziemy walczyć? – zapytał von Horst. – Są jakieś reguły?

– Walczycie tak, jak walczą zwierzęta – wyjaśnił Mamth. – Nie wolno wam używać broni, kamieni ani kijów. Walczycie, póki jeden z was nie będzie już miał sił do walki albo się podda.

– Jestem gotowy – powiedział von Horst.

– Gotowy, Horgu? – zapytał Mamth.

Horg zaśmiał się nonszalancko i wzgardliwie.

– Gotowy – odparł.

– To walczcie! – rozkazał Mamth.

Widzowie otoczyli kręgiem przeciwników, którzy zbliżyli się do siebie. Horg był w dobrym nastroju. Po części przez wypity *tumal*, ale głównie dlatego, że był pewien łatwego zwycięstwa. Żartował sobie z przyjaciółmi tak z von Horsta jak i z Grum. To były dość rubaszne żarty i absolutnie nie do powtórzenia w dobrym towarzystwie, ale ogromnie wszystkich bawiły. To znaczy wszystkich oprócz Grum. Była wściekła.

– Niech no tylko cię dostanę! – wrzasnęła. – Pożalujesz, że się urodziłeś!

Von Horst się uśmiechnął, wyobrażając sobie, jakie życie czeka Horga, jeśli człowiek-mamut przegra. Śmierć byłaby słodsza.

Horg nagle ruszył na von Horsta – muskularne ramiona i dłonie jak bochny miały się na nim zacisnąć. Lecz porucznik się pochylił i zanurkował pod nimi, a potem się okręcił i walnął Horga w szczękę – ten aż się zachwiał. Zanim człowiek-mamut się pozbierał, znowu oberwał; i znowu głowa mu się zakołysała. Teraz był wściekły. Już nie kpił. Ryknął jak rozwścieczony słoń i ponownie zaatakował. Von Horst znowu zrobił unik i

wielkie cielsko przeleciało chwiejnie jeszcze kilkanaście kroków, zanim zdołało wyhamować.

Kiedy Horg się odwrócił, zobaczył biegnącego na niego von Horsta. Właśnie tego chciał. Teraz złapie przeciwnika; a jak już go dostanie w swoje łapy, to będzie mógł go miażdżyć, łamać mu kości ile zechce, póki tamten się nie podda.

Czekał, stojąc na rozstawionych nogach, szeroko otwierając ramiona. Von Horst biegł szybko, wprost na Horga. Tuż przed nim skoczył w powietrze, zgiął kolana przyciągając stopy jak najbliżej ciała i potem z całej siły – dodatkowo wzmocnionej przez impet ataku – kopnął Horga obiema stopami w twarz. Efekt był zadziwiający – zwłaszcza dla Horga. Biedak fiknął kozła w tył, wylądował na głowie i upadł twarzą na ziemię. Podniósł się powoli, otumaniony i półprzytomny. Von Horst na niego czekał.

– Masz dość? – zapytał.

Nie chciał bardziej dołożyć komuś w tym stanie. Tłum wrzaskliwie go zachęcał; i ze zmiennością i okrucieństwem, cechującymi tłumy, drwił z niedawnego mistrza. Grum, widząc, że jej nadzieje lada moment się spełnią, darła się ile tchu w płucach, szcując von Horsta, żeby wykończył niemal bezbronnego mężczyznę. Lecz Horg nie zamierzał się poddać.

Może słyszał Grum i wołał śmierć. Warcząc jak zwierzę skoczył na lżejszego przeciwnika.

– ZABIJĘ!!!! – wrzeszczał.

No i von Horst musiał się bić, bo wiedział, że Horg nie groził ot tak. Jeśli dostanie go w te wielkie łapska, mocno złapie, to go zabije. Obiema rękami chwycił za przegub jednego z wyciągniętych ramion, szybko się okręcił, nagle pochylił do przodu i przerzucił olbrzyma nad głowę – sztuczka jujitsu, o wiele prostsza niż to się wydawało zdumionym widzom. Horg ciężko upadł i leżał bez ruchu. Von Horst podszedł i stanął nad nim.

Rozległy się wrzaski „ZABIJ GO! ZABIJ GO!”, bo tych prymitywnych barbarzyńców ogarnęła żądza krwi, dodatkowo pobudzana przez *tumal*, jaki wypili.

Von Horst popatrzył na Mamtha.

– Zwyciężyłem? – zapytał.

Wódz kiwnął głową.

– Zwyciężyłeś – potwierdził.

Zwycięzca spojrzał na Grum.

– Oto twój małżonek. Weź go sobie.

Kobieta podbiegła i rzuciła się na leżącego Horga, bijąc go i kopiąc. Von Horst odwrócił się ze wstrętem. Pozostali, śmiejąc się, wrócili do jedzenia i *tumalu*.

Podszedł Thorek i klepnął von Horsta w plecy.

– Mówiłem im, że jesteś wielkim wojownikiem! – cieszył się.

– Przekonałeś się o tym – uśmiechnął się porucznik.

– Przyłącz się do *karoo* – powiedział Thorek. – Nie miałeś nic do jedzenia czy picia. Nie tak się robi *karoo*.

– Czemu miałbym robić *karoo*? – zapytał von Horst. – Nawet nie wiem, co świętujecie.

– Schwyтали Starego Białasa, Zabójcę. Coś takiego należy świętować. Nigdy nie było takiego mądrego, starego mamuta, ani tak wielkiego. Po następnym spaniu zaczniemy go szkolić, a kiedy już będzie wyszkolony, to zostanie wierzchowcem Mamtha. To mamut odpowiedni dla wodza.

– Chciałbym patrzeć, jak go szkolą – powiedział von Horst; bo uznał, że mogłaby to być dobra okazja, gdyby Stary Białas stawiał opór (a był pewien, że stawi).

– Zapytam Mamtha, czy możesz przyjść – obiecał Thorek. – Pewnie to będzie po następnym spaniu. Po *karoo* wszyscy będą chcieli spać.

Porozmawiali chwilę, opowiadając sobie, co się im przydarzyło od kiedy się rozdzielili. Potem Thorek poszedł pić ze współplemieńcami, a von Horst poszukał Lotai. Razem się przyglądali uczcie, teraz już hałaśliwej i żywiołowej. Bójki były częstsze, śmiech ogłuszający. Starzy wojownicy, zwykle pełni dostojeństwa, błaznowali i gromko się zaśmiewali z samych siebie. Wiele kobiet bełkotało i miało mętne oczy. Kiedy von Horst tak się im przyglądał, uderzyło go, jak mało lub wcale zmieniła się ludzka natura od plejstocenu po współczesność. Gdyby nie język i ubiór mogliby to być ludzie z dowolnego kraju zewnętrznego świata. Zobaczył zbliżającą się chwiejnie Grum. Na chwilę spuściła z oka swojego nowego małżonka. Von Horst skinął na nią.

– Czego chcesz?

– Zapomniałaś o naszej umowie?

– Jakiej umowie?

– Miałaś mi pomóc uciec, jeśli zdobędę dla ciebie Horga.

– Kiedy zasną po *karoo* pokażę ci drogę, ale nie możesz odejść teraz. Taragi by cię dopadły. Taragi odejdą, kiedy zabierze się więźniów do małego kanionu. Wtedy będziesz mógł odejść.

– Wtedy będzie za późno, bo i ja mam iść do małego kanionu. I jeżeli dobrze zrozumiałem, to stamtąd nie wrócę.

– Nie, nie wrócisz – przyznała, wzruszając ramionami. – Ale obiecałam, że pokażę, jak możesz uciec. To jedyny sposób, jaki znam. Jak nie będziesz mógł z niego skorzystać, to już nie moja wina.

Potem poczłapała na poszukiwanie Horga, a von Horst wrócił do Lotai.

Porucznikowi się wydawało, że uczta ciągnie się w nieskończoność. Ale w końcu ci, co jeszcze mogli chodzić, powlekli się do swoich jaskiń.

Horg upił się do nieprzytomności, a Grum tłukła go kijem po głowie – albo żeby go ukarać, albo żeby się ocknął; a może żeby go zabić. Von Horst nie wiedział, w jakim celu.

Lotai, Mumal i Gorph wspinali się do jaskini – ten ostatni był taki zamroczony, że jego wspinaczka po drabinach na skalną półkę z jaskinią raczej wyglądała porucznikowi na próbę samobójstwa.

Europejczyk podszedł do Grum.

– Wszyscy idą spać do jaskiń – szepnął. – Teraz masz okazję mi powiedzieć.

– Idź na półkę przed jaskinią Gorpha i czekaj na mnie.

Wspinał się po drabinach ku jaskini i słyszał, jak Grum beszta Horga i bije go; uśmiechnął się, rozmyślając o podobieństwie ludzi z epoki kamienia i współczesnej cywilizacji. Najwyraźniej zasadniczą różnicą były zahamowania. Znał podobne do Grum kobiety z zewnętrznego świata – miały drapieżne myśli.

Usiadł na półce i czekał. Był zupełnie sam. Tamci weszli do jaskini, żeby spać. Myślał o Lotai, o smutnym życiu jakie miały razem z Mumal. Myślał też o La-Ja; i były to smutne myśli. Dziwne, że ta mała dzikuska zdobyła takie miejsce w jego życiu, że przyszłość bez niej wydawała się ponura i szara. Czyżby ją kochał? Starał się analizować swoje uczucia, żeby odrzucić taką możliwość, ale tylko ponownie westchnął, uświadamiając sobie, że żadne logiczne argumenty nie zmienią tego, że znikając z jego życia zostawiła po sobie bolesną pustkę.

Zjawiła się Grum. Małe oczy miała przekrwione, włosy jeszcze bardziej zmierzwiłe. Była uosobieniem szpetoty – tak moralnie jak i fizycznie.

– No, Horg wie, że ma kobietę – oznajmiła.

– Czemu go biłaś?

– Z nimi tak trzeba od razu – wyjaśniła. – Jak się zaraz nie postawisz, to masz przechlapane, jak Mumal.

Kiwnął głową, pojmując filozofię dziewczyny; bo znał podobne do niej kobiety z zewnętrznego świata. Może ich technika była bardziej wyrafinowana, ale cel był taki sam. Dla nich małżeństwo oznaczało walkę o dominację. To była oferta 50:50, ich autorstwa – brały połowę i żądały drugiej.

– Powiedz mi teraz, jak mogę uciec.

– W tyle jaskini Gorpha jest dziura – wyjaśniła Grum. – Parę stóp w dół i jesteś w tunelu. Jak byłam mała, Gorph mnie bił. Wyrwałam mu się i schowałam w tej dziurze. Wiedziałam, że nie ośmieli się iść za mną, bo zawsze nam mówił, że ten tunel prowadzi do Mozop Az. Gonił mnie i wkładał rękę do tej dziury, próbując mnie złapać i musiałam wejść do tunelu, żeby mu uciec. Groził, że mnie zabije, jak wyjdę; o ile nie wpadnę do Mozop Az i wrócę na górę. Jak byłam mała, to bardzo się Gorpha bałam. Kiedy to się stało, wypił za dużo *tumal* i wiedziałam, że naprawdę mnie zabije, jak wyjdę. No i postanowiłam tam zostać, póki nie uznam że zasnął. Wtedy zaczęłam rozmyślać o Mozop Az. Może mogłabym pójść tak daleko tunelem, żeby je zobaczyć i bezpiecznie wrócić. W końcu nie miało dla mnie większego znaczenia, czy w nie wpadnę. Gorph był bardzo okrutny i wcześniej czy później na pewno by mnie zabił. Byłam tego pewna. Więc pomyślałam, że równie dobrze mogę zaryzykować z Mozop Az. Byłam bardzo ciekawska jak byłam mała. Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej chciałam to sprawdzić. Postanowiłam pójść tunelem i zobaczyć Mozop Az.

– Co to jest Mozop Az? – zapytał von Horst.

– To morze ognia. Pellucidar na nim pływa. Wiemy to, bo są na Pellucidarze miejsca, w których wydobywają się z ziemi ogień i dym, pochodzące z Mozop Az. W górach są dziury, z których wypływają

stopione skały. Pogrzebani w ziemi umarli są po trochu zabierani w głąb przez małe demony i spalani w Mozop Az. Nie ma co do tego wątpliwości, bo kiedy wykopujemy pogrzebane zwłoki, to widzimy, że ich część zabrano, a może i całe.

– Znalazłaś Mozop Az?

– Nie. Tunel nie prowadzi do Mozop Az, tylko do małego kanionu. Stamtąd, choć nie zawsze, możesz łatwo uciec z Ja-ru. Po prostu idź do końca kanionu i wdrap się na klif. Potem możesz zejść do innego kanionu, który prowadzi z naszej krainy na ziemię, gdzie ludzie-mamuty zapuszczają się rzadko albo i wcale.

– Dzięki – powiedział von Horst.

– Ale nie możesz iść teraz. Taragi by cię dopadły. Są na drugim końcu tunelu. Będą tam, póki się nie zaprowadzi więźniów do małego kanionu.

– Co to takiego, ten mały kanion?

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

– A czym może być mały kanion jak nie małym kanionem? – zapytała.

– Co się tam dzieje?

– Wkrótce sam się przekonasz. Teraz wracam do Horga. Zdobyłeś go dla mnie, a ja dotrzymałam obietnicy. Nie wiem, czy był wart zachodu, ale przynajmniej będę mieć własną jaskinię – po tych słowach odwróciła się i odeszła.

– Przynajmniej będę mieć własną jaskinię! – uśmiechnął się porucznik.

Najwyraźniej od niepamiętnych czasów dziewczyny brały ślub, żeby uciec od rodzin.

STARY BIAŁAS

Kiedy von Horst się obudził i wyszedł z jaskini, łagodny wiatr kołysał liśćmi rosnących w dole drzew. Powietrze było świeże i przejrzyste; żar stojącego w zenicie słońca łagodził wiatr, chłodny jakby wiał od śniegów dalekich gór. Porucznik się rozejrzył i stwierdził, że w naskalnej wiosce ludzi-mamutów znów wrzało życie. Usłyszał, że ktoś na dole wykrzykuje jego imię i zobaczył Thoreka, dającego mu znaki, żeby do niego zszedł. Gorph jeszcze nie wyszedł z jaskini, więc von Horst zszedł i dołączył u stóp klifu do Thoreka. Gromadziło się sporo wojowników. Był tam i Mamth, ale nie zwrócił uwagi na porucznika.

– Będziemy szkolić Starego Białasa – powiedział Thorek. – Mamth się zgodził, żebyś z nami poszedł. Możesz jechać ze mną na moim mamucie.

Pojawiło się stado, pędzone przez pastuchów, dosiadających ogromnych wierzchowców. To były dobrze wyszkolone mamuty, więc szły spokojnie i posłusznie. Kiedy wszyscy wojownicy wsiedli, Mamth poprowadził w górę głównego kanionu. Dochodzące tu wąwozy były przeważnie wąskie, o

stromych skalnych ścianach. Mamth zatrzymał się przed wejściem do jednego z nich. Wejście do tego wąwozu było bardzo wąskie i przegrodzone belkami (każda miała rozmiary sporego drzewa). Górna belka była przymocowana liną, uplecioną z długich traw. Wojownicy odwiązali linę i dwa mamuty, pod nadzorem swoich jeźdźców, uniosły belki i usunęły je. Grupa wjechała do wąwozu. Za wejściem się rozszerzał i miał płaskie dno. Ujechali niewielki kawałek i już von Horst zobaczył wielkiego mamuta, stojącego w cieniu drzewa. Kołysał się w przód i w tył na ogromnych stopach; głowa i trąba chwiały się w tym samym rytmie. Na obwisłym lewym policzku miał łatę białej sierści. To był Stary Białas, Zabójca. Von Horst rozpoznał by go pośród setek innych mamutów.

Na widok jeźdźców zwierzę uniosło trąbę i zatrąbiło. Skaliste wzgórza zadrżały od ostrzegawczego krzyku olbrzyma. Mamut ruszył ku nim i wtedy von Horst zauważył, że do jednej nogi ma przywiązaną wielką kłodę. Mógł się poruszać, ale tylko powoli. Do boków Starego Białasa doprowadzono dwa mamuty. Kiedy spróbował unieść trąbę i chwycić jeźdźców, tamte mamuty swoimi trąbami pochwyciły ją i przytrzymały – wymagało to połączonych sił obu zwierząt.

Teraz podjechał trzeci jeździec i po grzbiecie jednego z wytresowanych mamutów przeszedł na Starego Białasa i usiadł mu na karku – kontakt z człowiekiem wprowadził zwierzę w furję. Trąbiąc i rycząc próbował uciec zwierzętom, przyciśniętym do jego boków. Walczył, żeby podnieść trąbę i rzucić z siebie tego człowieczka, zataczając się po dnie wąwozu i wlokąc za sobą kłodę.

Stary Białas, Zabójca, był stary i mądry. Kiedy sobie uświadomił, że siłą nic nie zyska, nagle się uspokoił i na pozór stał się łagodny jak jagniątko. Potem zaczęła się jego tresura. Jeździec uderzył go otwartą dłonią w grzbiet, tuż za sobą: jednocześnie mamuty – ten z tyłu i te po

bokach – popchnęły go naprzód. Uderzenie w głowę, przed jeźdźcem, było sygnałem do zatrzymania się – i trzy ćwiczebne mamuty go zatrzymały. Wielokrotnie ćwiczono z nim te ruchy. Potem uczono go skręcać w lewo lub w prawo, na kopniak w przeciwstawny policzek. Stary Białas szybko się uczył. Mamth był zachwycony. Oto potężne i inteligentne zwierzę, godny wierzchowiec dla wodza. Treserzy bacznie obserwowali Starego Białasa – jego uszy, ogon, trąbę, oczy; to były wskaźniki jego nastroju – i ze wszystkich odczytywali uległość i rezygnację.

– Jeszcze nigdy nie widziałem dzikiego mamuta z taką łatwością poskromionego i tak szybko wytresowanego! – wykrzyknął Mamth. – Już jest wyszkolony. Zabierzcie tamte mamuty, niech sam niesie jeźdźca. Kłodę usuniemy potem.

Jeźdźcy odprowadzili tamte trzy mamuty na niewielką odległość od Starego Białasa; wielkie zwierzę stało, łagodnie kołysząc trąbą – obraz łagodności i uległości. Dosiadający go młody wojownik uderzył go w grzbiet, dając znak, że ma ruszyć do przodu. Stary Białas z szybkością atakującego węża uniósł trąbę i chwycił jeźdźca – i w tym samym czasie zmienił się w szalejącą furię i nienawiść.

Wrzeszcząc z wściekłości, uniósł szarpiącego się wojownika wysoko nad głowę, potem z impetem cisnął go na ziemię przed sobą. Trzej wojownicy, biorący udział w tresurze, skierowali ku niemu swoje mamuty, ale już było za późno. Stary Białas postawił na wojowniku wielką stopę i wdeptał go w ziemię. Potem chwycił wojownika z najbliższego mamuta i cisnął nim przez wąwóz. Cały czas trąbił i ryczał. Kiedy ruszył po następnego wojownika, obaj zawrócili swoje mamuty i wycofali się; ale Stary Białas ich ścigał, wlokąc za sobą ciężką kłodę. To był koniec tresury potężnego jeńca. Mamth, zawiedziony i wściekły, kazał wszystkim opuścić

wąwóz. Kłody wrót wróciły na swoje miejsce i wszyscy odjechali kanionem ku wiosce.

Von Horst był widzem pełnym zainteresowania; jego ciekawość wzmagaly wcześniejsze niezwykle doświadczenia ze Starym Białasem. Sprzyjał mamutowi i potajemnie się cieszył z tego, jak stare mądre zwierzę zwiodło swoich dręczycieli i choć częściowo się zemściło za męki i upokorzenia, jakich doświadczyło.

Von Horst chętnie by się też dowiedział, jak ludzie-mamuty kontrolują swoje ogromne wierzchowce; kiedy wyjechali z wąwozu zapytał Thoreka, czy mógłby kierować zwierzęciem, na którym jechali – Thorek, rozbawiony, zgodził się. W ten sposób zdobył umiejętność na pozór najmniej użyteczną ze wszystkich, jakich się do tej pory wyuczył.

– Czy kiedykolwiek uda się wam poskromić Starego Białasa? – zapytał.

Thorek potrząsnął głową.

– O ile Mamthowi nie odjęło rozumu, to nigdy nie zaryzykuje życia kolejnego wojownika dla tej bestii. To urodzony zabójca. Takich się nigdy nie poskromi. Zabił wielu wojowników i nigdy nie będzie spokojny, bo wie, jak łatwo nas zabić.

– Co się z nim stanie?

– Zabijemy go, ale najpierw dostarczy plemieniu trochę rozrywki.

Jechali w milczeniu. Von Horst szperał w pamięci, odgrzebuując wiele na wpół zapomnianych wspomnień. Najwyraźniejsza wśród nich była twarz La-Ja. Lekko odwrócił głowę ku Thorekowi.

– Lotai to ładna dziewczyna – stwierdził.

Thorek był zdziwiony i zły.

– Skąd znasz Lotai?

– Zakwaterowano mnie w jaskini Gorpha.

Thorek chrząknął.

– Będzie dobrą żoną dla jakiegoś wojownika – zadumał się von Horst.

– Będzie musiał ze mną walczyć – oznajmił Thorek.

Von Horst się uśmiechnął.

– Grum ma już męża – powiedział. – Ten, kto weźmie Lotai nie będzie musiał brać i Grum. Będzie tylko musiał walczyć z tobą. Ale nie wiedziałem, że cię obchodzi. Lotai też nie wie.

– Skąd wiesz?

– Powiedziała mi.

– Chcesz ją? – zapytał Thorek.

– Jest bardzo pociągająca, ale kocha innego.

– I boisz się z nim walczyć?

– Nie – odparł von Horst. – Nie boję się z nim walczyć. Już to robiłem i pokonałem go.

– I złączyłeś się z nią? – zawarczał Thorek niczym dzika bestia.

– Nie. Wiem, że go kocha.

– Kto to? Nie dostanie jej. Zabiję go. Kto to? Powiedz.

– TY – powiedział z uśmiechem von Horst.

Thorek miał głupią minę.

– Jesteś pewien? – zapytał.

– Absolutnie. Sama mi powiedziała.

– Przed następnym spaniem zapytam Mamtha i zabiorę Lotai do mojej jaskini.

– Musisz pytać Mamtha?

– Tak, jest wodzem.

– Teraz go zapytaj – zasugerował von Horst.

– Równie dobrze mogę teraz jak potem – przyznał Thorek.

Popędził swojego mamuta naprzód i zrównał się z Mamthem.

– Chciałbym, żeby Lotai, córka Gorpha, została moją kobietą – powiedział do wodza.

Mamth się nachmurzył.

– Nie.

– Czemu? – zapytał Thorek. – Jestem dobrym wojownikiem. Nie mam kobiety. Chcę Lotai.

– Ja też – odrzekł Mamth.

Thorek poczerwieniał. Już miał coś odpalić, kiedy von Horst ostrzegawczo przytknął palec do swoich warg i spowolnił mamuta, aż ten zajął swoje miejsce w kolumnie.

– Mam plan.

– Jaki plan? – zapytał Thorek.

– Plan, dzięki któremu zdobędziesz Lotai i jednocześnie zrobisz coś, co ją bardzo uszczęśliwi.

– Niby co takiego?

– Ona i jej matka, Mumal, są tu ogromnie nieszczęśliwe. Mumal chce wrócić do Sari, krainy, z której Gorph ją porwał. A Lotai chce z nią iść.

– I co ja na to mogę? – zapytał Thorek.

– Możesz je zabrać. Tylko w ten sposób zdobędziesz Lotai.

– Nie mogę ich zabrać. Nigdy bym ich nie wyprowadził z wioski.

– Poszedłbyś z nimi do Sari, gdybyś mógł?

– Ludzie z Sari by mnie zabili.

– Sarianie by cię nie zabili. Mumal jest Sarianką i mam przyjaciela, Dangara, który by zadbał, żeby cię przyjęto do plemienia. Zrobi wszystko, o co go poproszę.

– To na nic – upierał się Thorek. – Nigdy nie opuszczę wioski z dwiema kobietami.

– A zrobiłbyś to, gdybyś mógł?

– Tak. Pójdę gdziekolwiek, jeśli Lotai pójdzie ze mną.

– W tyle jaskini Gorpha jest wlot do tunelu.

– Tak, wiem. Prowadzi do Molop Az.

– Prowadzi do małego kanionu. Kiedy z drugiego końca odejdą taragi, możesz tamtędy wyjść z Lotai i Mumal.

– Skąd wiesz, że prowadzi do małego kanionu? – zapytał Thorek.

– Rozmawiałem z kimś, kto przeszedł tamtędy aż do miejsca, w którym są taragi.

Thorek przez jakiś czas jechał w milczeniu. Wojownicy wrócili do wioski i zsiadli. Pasterze odprowadzili mamuty. Mamth był rozdrażniony i ponury. Wyładował się na von Horście.

– Wracaj do jaskini Gorpha i zostań tam – rozkazał. – Może przed następnym spaniem zabierzemy cię do małego kanionu.

– To twój kres, przyjacielu – powiedział Thorek. – Przykro mi. Myślałem, że może znajdziemy jakiś sposób, żebyś poszedł z nami do Sari; ale droga nie będzie otwarta i taragi nie odejdą, póki nie zostaniesz zabrany do małego kanionu. A potem będzie za późno.

Von Horst wzruszył ramionami.

– Niewiele można na to poradzić – stwierdził.

– Nic a nic – upewnił go Thorek.

Poszedł z von Horstem ku drabinie prowadzącej do jaskini Gorpha.

– Może to nasza ostatnia rozmowa – powiedział.

– Może – przyznał von Horst.

– Porozmawiasz o mnie z Lotai?

– Oczywiście. Co mam powiedzieć?

– Zapytaj, czy pójdzie ze mną do Sari; czy obie z Mumal pójdą. Jeśli tak, to wyciągnij ku słońcu prawą rękę kiedy mnie znowu zobaczysz; jeśli nie – to lewą. Będę patrzył. Jeśli pójdą, to powiedz im, że muszą się schować kiedy pozostali wybiorą się do małego kanionu. Zrobię to samo i jak wszyscy odejdą, wejdziemy do tunelu i pójdziemy aż do taragów. Kiedy plemię odpuści mały kanion wyjdziemy i poszukamy Sari.

– Żegnaj – powiedział von Horst; doszli do stóp drabiny. – Żegnaj i powodzenia. Porozmawiam z Lotai tak szybko jak się da.

Porucznik znalazł Mumal i Lotai, siedzące we dwie przed jaskinią i natychmiast przedstawił im plan, który omówili z Thorekiem. Obie kobiety były zachwycone i długo siedzieli, planując przyszłość. Pojawił się Gorph i zażądał jedzenia. Był, jak zwykle, opryskliwy i brutalny. Patrzył spode łba na von Horsta i warczał na niego.

– Już cię nie będę musiał karmić – oznajmił. – Mamth zdecydował i wkrótce wszystko będzie gotowe w małym kanionie. Zabiorą cię tam z innymi więźniami i nie wrócisz.

– Będzie mi ciebie brakowało, Gorph – powiedział von Horst.

Człowiek-mamut popatrzył na niego z głupkowskim zdumieniem.

– Ja tam nie będę za tobą tęsknić – rzekł.

– Będzie mi brakować twojej uprzejmości i gościnności.

– Jesteś głupkiem – powiedział Gorph; pochłonął jedzenie i wstał. – Idę spać do jaskini – burknął. – Obudź mnie, jak przyjdzie wieść, że idziemy do małego kanionu.

Idąc ku wejściu do jaskini wymierzył Lotai paskudnego kopniaka – dziewczyna uniknęła go, szybko się odsuwając.

– Czemu sobie nie znajdziesz chłopca? – zapytał. – Mam cię powyżej uszu. Mam dość żywienia cię – potem wszedł do jaskini.

Cała trójka siedziała w milczeniu. Nie ośmielili się niczego planować z lęku, że ich podsłucha. Myśli kobiet były radosne – myślały o ucieczce, o Sari, o miłości i szczęściu. Mężczyzna nie myślał o przyszłości, ale o przeszłości – o świecie, w którym się urodził, o przyjaciółach i swojej rodzinie, o pięknej dziewczynie, która przemknęła przez jego życie, a mimo to je wypełniła. Dla niego nie było przyszłości – jedynie krótki czas niepewności, a potem śmierć. Młody człowiek wspiął się lekko po drabinach na półkę przed jaskinią Gorpha. Zatrzymał się i przyjrzał całej trójce, zatrzymał wzrok na Lotai.

– Masz iść do jaskini Mamtha – powiedział. – Wybrał cię na swoją kobietę.

Lotai mocno zbladła, w oczach miała przerażenie. Spróbowała coś powiedzieć, ale tylko się zachłysnęła oddechem, chwyciła się za gardło.

Von Horst popatrzył na posłańca.

– Powiedz Mamthowi, że Lotai była chora, ale że zaraz przyjdzie.

– Lepiej niech się nie ociąga – ostrzegł tamten – jeśli nie chce dostać batów.

Odszedł, a oni jakiś czas rozmawiali szeptem. Potem Lotai wstała i weszła do jaskini. Von Horst i Mumal jeszcze przez chwilę siedzieli, a potem i oni, zmożeni snem, poszli do jaskini.

Von Horsta obudziły głośne głosy przed jaskinią. Potem wszedł Gorph, wołając Lotai. Nie było odpowiedzi. Porucznik usiadł.

– Lotai tu nie ma – powiedział. – Nie rób takiego hałasu, chcę spać.

– Gdzie ona jest? – zapytał Gorph. – Powinna tu być.

– Może, ale jej nie ma. Mamth po nią przysłał, żeby poszła do jego jaskini. Idź i zapytaj Mamtha, gdzie ona jest.

Do jaskini weszli dwaj wojownicy.

– Nie przysłała do jaskini Mamtha – powiedział jeden z nich. – Wysłał nas po nią.

– Może coś jej się stało – podsunął von Horst.

Tamci dwaj razem z Gorphem przeszukali jaskinię. Wypyтали Mumal, ale ona tylko powtórzyła to, co powiedział von Horst – że Mamth przysłał po Lotai. W końcu sobie poszli, a pozostali wyszli za nimi na półkę. Porucznik wkrótce zobaczył, jak liczni wojownicy zaczynają przeszukiwać wioskę. Przeszukali każdą jaskinię, ale nie znaleźli Lotai. Von Horst widział Mamtha, stojącego wśród drzew u stóp klifu; z jego gestów poznał, że wódz jest bardzo zły. I nie mylił się. Wódz zjawił się osobiście w jaskini Gorpha i przeszukał ją; wypytał też Mumal, Gorpha i von Horsta. Bardzo chciał obwinić jedno z nich albo wszystkich, ale nie miał żadnych dowodów. Zatrzymał się przed von Horstem, nabzdyczony.

– Przynosisz pecha – oznajmił. – Ale już nie potrwa długo. Idziemy teraz do małego kanionu.

Do małego kanionu! Zbliżał się kres jego przygód na Pellucidarze. No i co z tego? Każdy musi umrzeć. Czasem jest trochę łatwiej, czasem trudniej. Nawet bardzo starzy i bezradni kurczowo czepiają się życia. Mogą tego nie chcieć, ale nic nie mogą na to poradzić – to po prostu jedno z niezmiennych praw Natury.

Zszedł za wojownikami po drabinach do stóp klifu. Zbierał się tam cały klan: mężczyźni, kobiety, dzieci. Do wioski przypędzono stado mamutów i wielkie zwierzęta sadzały sobie na grzbiecie mężczyzn, kobiety i dzieci. Von Horst rozejrzał się za Thorekiem, ale nie mógł go znaleźć; potem kazano mu dosiąść mamuta i znalazł się za jakimś wojownikiem. Na innym zwierzu zobaczył Fruga; widział też innych więźniów, siedzących za wojownikami. Byli tam ludzie z Amdaru, Go-hal i Lo-har. Von Horst nigdy nie spotkał żadnych poza Frugiem więźniów; ale słyszał jak rozmawiały o

nich Mumal, Grum i Lotai. Chętnie by porozmawiał z człowiekiem z Lo-har, bo to była kraina La-Ja. I dlatego uważał go za kogoś bliskiego. Radośnie by powitał nawet groźnego Gaza.

Wreszcie dostrzegł Thoreka. Stał z boku, wśród drzew, wpatrując się w von Horsta. Jak tylko człowiek z zewnętrznego świata napotkał jego spojrzenie, uniósł prawe ramię ku słońcu. Thorek kiwnął głową i odwrócił się.

Zaraz potem Mamth ruszył na swoim olbrzymim wierzchowcu, a inni za nim. Kudłaci wojownicy ze swoimi kobietami i dziećmi, olbrzymie zwierzęta, które ich niosły – to wszystko tworzyło obraz prymitywnego barbarzyństwa, który przyprawił von Horsta o dreszcz emocji, pomimo swoich ponurych konotacji. To naprawdę było porywające preludium do śmierci. Rozejrzał się. Niemal tuż przy nim jechał Gorph, sam jeden na grzbiecie mamuta.

– Gdzie Mumal? – zapytał von Horst.

Gorph spojrzał na niego i nabzdyczył się.

– Jest chora. Mam nadzieję, że umrze. Wtedy mógłbym sobie wziąć porządną kobietę. Nie musiałbym polować dla obu i ich bachorów.

Trakt wił się bokiem kanionu na szczyt grani, równoległej do kanionu o stromych ścianach. Plemię zsiadło tutaj, oddając mamuty pastuchom. Potem mężczyźni, kobiety i dzieci ustawili się na krawędzi kanionu, tworzącego pod nimi amfiteatr.

– To jest mały kanion – oznajmił wojownik, za którym jechał von Horst.

MAŁY KANION

Na krawędzi kanionu była półka, na której tłoczyli się członkowie plemienia, żeby widzieć leżące jakieś trzydzieści stóp niżej dno kanionu. W jego górnej części zbudowano masywny korral, w którym znajdowało się kilka mamutów; a znajdujące się w ścianie naprzeciwko widzów wejście do jaskini zablokowano kratownicą. Kiedy von Horst tak stał, patrząc w mały kanion, pojawił się Horg z pętlą zakończoną węzłem.

– Włóż w nią nogę – polecił porucznikowi – i mocno się trzymaj.

Podeszło jeszcze dwóch wojowników i we trzech chwycili linę.

– Wyjdź za krawędź – nakazał Horg. – Twoje kłopoty raz dwa się skończą. Chyba bym się chętnie z tobą zamienił.

– Nie, dziękuję – uśmiechnął się von Horst. – Wiem, kiedy zrezygnować.

– Jak już będziesz na dole, wyjdź z pętli – pouczył go Horg i potem wszyscy trzej opuścili go na dno kanionu.

Wciągnęli linę i rzucili porucznikowi kamienny nóż i dzidę z kamiennym grotem. Potem spuścili następnego więźnia. Był to Frug. Wódz Bastian spojrzał spode łba na von Horsta.

– Aleś mnie wpakował w tarapaty – burknął.

– Racjonalizujesz, przyjacielu – odparł von Horst. – Oraz szukasz kozła ofiarnego, jak to uroczu określają moi amerykańscy przyjaciele. Co tylko potwierdza moją opinię (a uważam tak od bardzo dawna), że zmieniają się style wąsów i kapeluszy, ale natura ludzka nigdy.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– To coś ulotnego. Moim skromnym zdaniem nic, co powiemy lub pomyslimy na dnie małego kanionu, nigdy dla nikogo (nawet dla nas samych) nie będzie konkretem.

Z góry zrzucono broń dla Fruga. Potem – jednego po drugim – opuszczono i uzbrojono pozostałych trzech więźniów. Pięciu skazańców stało, czekając na śmierć; może i się zastanawiali, pod jaką postacią kostucha się pojawi. Wszyscy byli rośli i krzepcy i bez wątpienia każdy z nich w duchu poprzyśiągł, że jak najdrożej sprzeda swoje życie. To, że ich uzbrojono, dawało cień nadziei, iż dostaną szansę, choćby i najmniejszą, wywalczenia sobie wolności.

Von Horst przypatrywał się tym trzem, których wcześniej nie widział.

– Który z was jest z Lo-har? – zapytał.

– Ja jestem z Lo-har – odparł najmłodszy z nich. – Czemu pytasz?

– Długo byłem z dziewczyną z Lo-har – odrzekł von Horst. – Razem uciekliśmy z Basti, gdzie byliśmy niewolnikami. Szliśmy do Lo-har, kiedy dwaj mężczyźni z Basti ją porwali jak spałem.

– Co to była za dziewczyna? – zapytał ten z Lo-har.

– La-Ja.

Wojownik zagwizdał ze zdumieniem.

– Córka wodza, Bruna – powiedział. – Cóż, tu cię czeka to samo, co by cię spotkało w Lo-har, gdybyś tam z nią dotarł.

– Czemu? – zapytał von Horst. – Co masz na myśli?

– To, że by cię tam zabili. A gdybyś dotarł do Lo-har z La-Ja, to Gaz by się uśmiercił. Od kiedy La-Ja zniknęła, jest na wojennej ścieżce. Dobrze dla Bastian, że nie wie, kto ją porwał. Gaz to potężny mężczyzna. W pojedynkę mógłby zniszczyć całe plemię takich Bastian.

Znowu ten Gaz! Von Horst niemal żałował, że nigdy nie będzie miał okazji zobaczyć tego mężnego wojownika.

– Ten z Lo-har nie ma dobrego zdania o Bastianach – powiedział Frugowi.

– On jest Bastianinem? – zapytał Lo-harianin.

– Jest ich wodzem – wyjaśnił von Horst.

– A ja jestem Daj z Lo-har! – zakrzyknął młody wojownik. – Ukradłeś córkę mojego wodza, ty zjadaczu ludzi! Zabiję!

Rzucił się na Fruga, trzymając dzidę z kamiennym grotem niczym karabin z bagnetem. Frug odskoczył, unikając pierwszego pchnięcia. Z półki doleciał wrzask zachęty barbarzyńskiej widowni. Obaj mężczyźni rozpoczęli zaciętą walkę. Frug był cięższy od przeciwnika o pięćdziesiąt funtów; ale Lo-harianin górował nad nim zwinnością i młodością. Frug zamierzał pokonać przeciwnika swoją wielką masą, ale Daj był dla niego za szybki. Za każdym razem odskakiwał. Przy trzecim ataku Bastianina Daj odskoczył jak wcześniej, potem prędko się odwrócił i dźgnął Fruga dzidą w bok.

Ludzie-mamuty dopingowali ich z góry.

– Zabij! Zabij! – wrzeszczeli.

Frug zawył z bólu i wściekłości, zawrócił i znowu zaatakował Daja. Tym razem Lo-harianin ani drgnął, póki Bastianin nie znalazł się tuż przy

nim; wtedy nagle przysiadł pod wymierzoną w siebie bronią przeciwnika i podstępnie dźgnął Bastianina w brzuch. Kiedy Frug się wił na ziemi, krzycząc, Daj wyrwał mu swoją broń z brzucha i wbił mu ją w serce. Tak zginął Frug, wódz Basti; tak ktoś z jej klanu pomścił La-Ja.

Wśród wrzasków i krzyków ludzi-mamutów człowiek z Amdaru zawołał:

– Patrzcie! Taragi! O tam! – i wskazał przeciwległą stronę kanionu.

Von Horst spojrział wraz z innymi. Wojownicy z półki podnieśli kratownicę, blokującą wejście do jaskini i pięć wielkich taragów wymykało się do kanionu – pięć potężnych szablozębnych tygrysów.

– Tandory! – wykrzyknął człowiek z Go-hal. – Wypuszczają na nas tandory! Dali nam dzidy i noże, żebyśmy walczyli z taragami i tadorami.

– Mają nas za dzielnych wojowników – uśmiechnął się von Horst, patrząc w górny koniec kanionu; zobaczył, że wypuszczono mamuty z korralu.

Mamutów było pięć; niedających się poskromić samców-zabójców. Jeden z nich górował nad pozostałymi, potężna bestia; ryczał gniewnie, wyczuwając woń taragów i ludzi. Wszystkie pięć ociężałe kroczyło ku centrum kanionu, natomiast wielkie koty sunęły wprost ku pięciu mężczyznom, czekającym na swój los. Wyglądało na to, że szlaki zwierząt się przetną, zanim taragi dotrą do ludzi. Ale jeden z nich wysforował się naprzód – mógł przejść przed mamutami i bez przeszkód dotrzeć do czterech więźniów.

Von Horst na tyle znał usposobienie mamutów i tygrysów, żeby wiedzieć, iż – będąc odwiecznymi wrogami – nawzajem się zaatakują, jeśli się znajdą w pobliżu siebie. Mógł się tylko domyślać, co by to oznaczało dla niego i współwięźniów. Może część zwierząt została by w tej walce unieszkodliwiona, co pozwoliłoby ludziom zabić te pozostałe przy życiu.

Nie wiedział, czy lepiej by na tym wyszli, czy nie. Być może ocaleńcom zwrócono by wolność. Zapytał o to Daja.

– Ludzie-mamuty nigdy nie pozwalają więźniom uciec, jeśli mogą temu zapobiec – odrzekł Lo-harianin. – Jeżeli zwierzęta nas nie zabiją, to umrzemy w inny sposób.

– Gdyby nam się udało dotrzeć do górnego końca kanionu – powiedział von Horst – to może byśmy zdołali uciec. Widzę ścieżkę, biegnącą od korralu na szczyt. Powiedziano mi, że jeśli uciekniemy tamtędy, to ludzie-mamuty nie będą nas ścigać, bo zaprowadziłyby ich do krainy, do której z jakiegoś powodu nigdy się nie zapuszczają.

– Taragi i tandory nigdy nam nie pozwolą dotrzeć do górnego końca kanionu – odparł Daj.

Tarag, który wysforował się na czoło, szykował się do ataku. Przypadł do ziemi i czołgał się naprzód. Ogon drgał mu nerwowo. Płonące ślepia wlepił w von Horsta, stojącego tuż przed współwięźniami. W tyle pozostałe taragi spotkały się z tandorami. Kanion dygotał i grzmiał rykiem i trąbieniem atakujących bestii.

– Biegnijcie w górny koniec kanionu! – zawołał von Horst do towarzyszy. – Może niektórym uda się uciec!

Tarag zaatakował: rozciągnął wargi w okropnym grymasie, odsłaniającym wielkie szablaste zęby aż po dziąsła; rozdziawił paszczę. Rzucił się z rykiem na kruchego człowieczka. Von Horst kiedyś powstrzymał atak taraga dzidą z kamiennym grotem. Wtedy przypisał szczęściu powodzenie tego manewru. Wydawało się niemożliwe, żeby takie szczęście się powtórzyło. Ale byłże to tylko szczęśliwy traf? Do jego zwycięstwa przyczyniły się też umiejętności, siła i stalowe nerwy. Czy i tym razem pomogą pokonać bestię?

Kiedy tarag się wzniosł w końcowym skoku, porucznik przykląkł na kolano i mocno wbił koniec drzewca dzidy w ziemię. Był bardzo opanowany i skupiony, chociaż musiał się poruszać z szybkością błyskawicy. Grot dzidy wysunął do przodu, celując w szeroką białą pierś szablo zębego tygrysa. Kiedy zwierzę uderzyło, człowiek odtoczył się w bok i skoczył na równe nogi.

Dzida utkwiła głęboko w piersi taraga i ten z przeraźliwym wrzaskiem potoczył się po dnie kanionu. Ale natychmiast się poderwał, groźnie warcząc i straszliwie rycząc szukał tego, który mu zadał taki ból. Utkwił groźne ślepie w von Horście i spróbował go dopaść, ale tkwiący w ziemi koniec dzidy tylko jeszcze głębiej wbijał grot; tarag się zatrzymał i uderzał łapą w raniące go „coś”. Jego ryki były teraz ogłuszające, ale von Horst się zorientował, że zwierzę mogło już tylko straszyć i rozejrzał się, sprawdzając, jaką ma szansę dotrzeć do górnego końca kanionu. Jego towarzysze przemieszczali się w tym kierunku. Po jego prawej taragi i mamuty toczyły tytaniczną walkę. Trzy taragi skierowały atak na najmniejszego samca. Pozostałe cztery mamuty stały ogonami ku sobie, a czwarty, największy z całej piątki, tarag je okręzał.

Von Horst ruszył ku górnemu końcowi kanionu. Miał nadzieję, że zwierzęta go nie zauważą, ale dostrzegł go wielki tarag, okrążający mamuty. Zatrzymał się i wpatrzył w porucznika, a potem ruszył na niego. Już nie było dzidy, żeby się bronić przed atakiem zbrojnego w kły i pazury zwierza – wynik tego pojedynku był z góry przesądzony.

Człowiek ocenił odległość do końca kanionu. Dotrze tam, zanim potężny drapieznik go dopadnie? Wątpliwe. Potem zobaczył, jak ogromny mamut – na którego już wcześniej zwrócił uwagę – odłącza się od grupy i rusza naprzód, jakby chciał przeciąć drogę taragowi. Von Horst uznał, że

ogromny tandor pomyślał, iż wielki kot próbuje mu uciec, co go zdopingowało do pościgu i ataku.

Teraz mógł mieć szansę ucieczki. Jeżeli mamut dopadnie szablozębnego zanim ten dotrze do von Horsta – albo jeśli spodziewany atak mamuta przeszkodzi szablozębnemu w napaści – to porucznik mógłby się dostać w bezpieczne miejsce, kiedy wszystkie zwierzęta w kanionie będą zajęte sobą. Zaczął biec, dopingowany to kruchą nadzieją. Ale tarag nie zamierzał tak łatwo zrezygnować ze zdobyczy. Nie zwrócił uwagi na mamuta, tylko dalej ścigał człowieka. Von Horst spojrział przez ramię i zdumiała go ogromna szybkość olbrzymiego mamuta. Pędził niczym koń czystej krwi żeby przeciąć drogę drapieżnikowi. Ten ostatni prędko zmniejszał dystans do von Horsta. Pytanie, który pierwszy go dogoni – a to by zdecydowało, jaka śmierć go spotka. Czy umrze rozdzierany straszliwymi pazurami, czy też zostanie rzucony wysoko w powietrze i potem wdeptany w ziemię przez tony prehistorycznego cielska?

Na obrzeżu kanionu barbarzyńscy jaskiniowcy wylili z zachwytem i uciechy, patrząc na ten wyścig ze śmiercią. Mamth się zorientował, że trzech więźniowie odkryli ścieżkę w górnym końcu kanionu i byli na drodze do wolności. Ścieżka nie była strzeżona, bo ludzie-mamuty wierzyli, że nikt oprócz nich o niej nie wie; była tak słabo widoczna na ścianie kanionu, że nie wykryłby jej nikt, kto by o niej nie wiedział. Lecz teraz, widząc, że tamta trójka dotarła do końca kanionu i zaczęła się wspinać, wódz wysłał wojowników, żeby ich schwytali. Ale nie było wiadomo, czy zdążą dotrzeć na czas w górę kanionu.

Poniżej, na dnie kanionu, tarag skoczył do von Horsta. Dzika bestia albo się nie przejmowała bliskością mamuta (pędzącego teraz równoległe z nią), albo zamierzała pozbawić rywala łupu. Wtem zdarzyło się coś dziwnego. Trąba mamuta wystrzeliła z szybkością błyskawicy, opasała

taraga, przechwytyjąc go w powietrzu. Potem potężny zwierz zakołysał wrzeszczącym i machającym łapami taragiem; na koniec, z całą swoją ogromną siłą cisnął go w górę i w bok.

Celowo czy przypadkiem cisnął nim na obrzeże kanionu, pomiędzy widzów, rozpędzając ich na wszystkie strony. Tarag – rozwścieczony i tylko lekko poturbowany – zaatakował uciekających, powalając ich na lewo i prawo.

Lecz von Horst tego nie widział. Za bardzo był zaabsorbowany tym, co mu groziło. A najwyraźniej groziło mu wielkie niebezpieczeństwo. Jak tylko mamut załatwił taraga, oplótł trąbą porucznika i uniósł w powietrze. Dla von Horsta oznaczało to koniec. Pomodlił się w duchu, żeby śmierć była szybka i bezbolesna. Kiedy zwierz zawracał, porucznikowi mignęło zamieszanie na półce na górze kanionu – szalejący tarag, zbrojna w dzidy dwudziestka wojowników, szykująca się odważnie do odparcia ataku zwierza; potem zobaczył trzy taragi i cztery mamuty, walczące na śmierć i życie przy akompaniamencie niemal ogłuszającego trąbienia, wrzasków, warczenia i ryków.

Niosący go w trąbie mamut posuwistym truchtem biegł kanionem. Von Horst się zastanawiał, czemu jeszcze nim nie rzucił albo go nie stratował. Czyżby się nim bawił, przedłużając udrukę? Co się kryło w mądrym umyśle potężnego zwierza? Trąba wygięła się w tył i – ku zdumieniu porucznika – delikatnie posadziła go na karku mamuta. Przytrzymała go przez chwilę, póki nie złapał równowagi, potem się cofnęła.

Mamut niósł von Horsta, omijając walczące zwierzęta, w dolny koniec małego kanionu. Porucznik lepiej się usadowił za wielkimi uszami, których się złapał dla bezpieczeństwa – tak się złożyło, że wtedy spojrzął w dół. Na lewym policzku mamuta rosła łąta białej sierści.

Ah Ara, ma Rahna – Stary Białas, Zabójca. Czy to możliwe, że wielkie zwierzę go rozpoznało? Czy rewanżowało się człowiekowi za pomoc? Von Horst nie mógł w to uwierzyć. Ale z jakiego innego powodu powstrzymało się od zabicia go? I czyż teraz nie starało się go uratować?

Von Horst był świadom wielkiej rozumności tych ogromnych zwierząt i niezwyklej mądrości, przypisywanej Staremu Białasowi przez ludzi-mamutów. Ta wiedza oraz wiecznie odradzająca się nadzieja sprawiły, że wbrew rozsądkowi uwierzył, że znalazł wiernego przyjaciela i potężnego sprzymierzeńca. Ale co mu z tego przyjdzie? Wciąż byli zamknięci w małym kanionie z walczącymi na śmierć i życie, doprowadzonymi do szaleństwa wonią krwi zwierzętami. Gdyby był w górnym końcu kanionu, mógłby uciec ścieżką; ale nie był – mamut niósł go w dolny koniec, zagrodzony potężnymi belkami.

Wkrótce nie było wątpliwości, że Stary Białas chce tędy uciec z kanionu. Posuwistym truchtem biegł prosto na zaporę. Zbliżając się do niej przyspieszył; a kiedy miał do niej mniej niż pięćdziesiąt stóp – opuścił głowę i zaatakował.

Von Horst był przerażony. Obaj zginą przy zderzeniu z zaporą z belek. Pomyślał, że może trzeba się zsunąć z karku atakującego mamuta. Ale po co? Śmierć od kłów i pazurów wielkich kotów mogłaby być o wiele gorsza od tego, co było przed nim – okropne zderzenie i potem już nic. Nie będzie cierpienia.

Mamut wydaje się powolnym, niezgrabnym zwierzęciem; ale wcale taki nie jest. Teraz, w ostatniej fazie biegu, Stary Białas pędził na wrota z belek z szybkością pociągu ekspresowego – żywy taran o straszliwej sile. Von Horst leżał płasko, ręce zaczepił poniżej wielkich uszu. Czekał na koniec; od opuszczenia O-220 stawiał czoło tyłu niebezpieczeństwom w barbarzyńskim Pellucidarze, że nie za bardzo się przejmował

nieuchronnością śmierci. Teraz, kiedy stracił La-Ja, może się okazać wyczekiwany wyzwoleniem od ciągłej walki o przeżycie. No bo czyż życie jest warte tej nieustannej szarpaniny?

W mgnieniu oka było po wszystkim. Potężna czaszka łupnęła w ciężką zaporę. Belki, rozszczepione jak zapalki, poleciały na wszystkie strony. Wielkie zwierzę uderzyło kolanami w niższe belki, niemal zrzucając człowieka. Potem złapało równowagę i wyrwało się z małego kanionu na wolność.

LUDZIE-BIZONY

Von Horst nie mógł uwierzyć, że jest wolny. Prawdziwy cud; w nagrodę za ludzkie potraktowanie olbrzymiego wybawcy uszedł z życiem z niebezpiecznej sytuacji, z której tylko cud mógł go uratować. Ale co dalej? Miał wierzchowca, i co z tego? Gdzie mamut go niósł? Będzie mógł nim kierować? Da radę mu uciec? A jeśli tak, to dokąd ma iść? Wiedział już, że właściwie nie ma żadnej nadziei na znalezienie Sari. Nawet gdyby mu się udało wrócić do Lasu Śmierci, przez który musiałyby przejść, żeby odnaleźć szlak Dangara, to rozumiał, że ponowne wejście do tego ponurego i złowieszczonego lasu równałoby się samobójstwu. Chętnie by poszedł do Lo-har, bo była to kraina La-Ja. Orientował się mniej więcej – poczynając od miejsca, w którym wyszedł z Lasu Śmierci – w jakim kierunku leży Lo-har; toteż postanowił, że kiedy znowu będzie panem samego siebie, poszuka tej krainy. Zawsze istniała nadzieja, że dziewczyna tam dotarła. Chociaż wydawało się niemal niemożliwe, iż udało jej się przedostać przez te okropne, pełne przerażających niebezpieczeństw, tereny.

I jak miałyby tam dotrzeć, gdyby nawet szczęśliwie trafił na właściwy szlak? Miał tylko kamienny nóż, który dostał od ludzi-mamutów i bezużyteczny teraz pas z nabojami (właściwie nie wiadomo czemu się go nie pozbył i dlaczego nikt mu go jeszcze nie odebrał).

To prawda, że czas spędzony w Pellucidarze i coraz większa znajomość tego podświata sprawiły, że mocniej uwierzył w to, że potrafi o siebie zadbać; poza tym nabrał respektu dla niebezpieczeństw, z którymi z pewnością będzie się musiał zmierzyć. Tyle co do przyszłości. A co z teraźniejszością?

Stary Białas zwolnił i szedł powoli w dół głównego kanionu, oddalając się od wioski ludzi-mamutów i małego kanionu. Nie było słychać żadnych odgłosów pościgu i von Horst uznał, że pewnie członkowie plemienia byli tak zaabsorbowani grasującym wśród nich tygrysem szablozębnym, że po prostu nie zwrócili uwagi na ucieczkę Starego Białasa i więźnia.

Mamut znalazł się poza pogórzem i skierował ku rzece; to na jej brzegach natrafił na niego von Horst i tu potem złapali porucznika ludziamamuty. Łagodnie opadająca dolina pełna była pasących się zwierząt – von Horst, widząc je, zadumał się jak będzie zdobywał pożywienie, zbrojny jedynie w kamienny nóż. Zastanawiał się też, gdzie idzie Stary Białas. Jeśli go zostawi na otwartej równinie, to może nigdy nie dotrzeć do widocznych za ogromnymi stadami drzew nad rzeką; a musiał się dostać pod ich osłonę, żeby mieć choć niewielką szansę przetrwania. Tam mógłby się schronić i znaleźć materiał na łuk, strzały i dzidę, których potrzebował do nieustającej walki o życie, wypełniającej cały czas ludzi w tym barbarzyńskim świecie.

Ale Stary Białas skręcił w lewo, obierając szlak równoległy do rzeki. Von Horst nie chciał iść w tym kierunku, bo teren był jak okiem sięgnąć otwarty i bardzo skąpo zadrzewiony. Musi się dostać do drzew, których całe mnóstwo rosło nad rzeką.

Widział nieudane próby okiełznania Starego Białasa. Widział, jak mamut słucha sygnałów jeźdźca zanim go zabił i zastanawiał się, czy wielkie zwierzę pamięta, czego się nauczyło; i czy pamiętając usłucha. Może próba pokierowania nim przypomni mamutowi upokorzenia, jakich doznał od swoich porywaczy i sposób, w jaki się pozbył ostatniego jeźdźca.

Von Horst przez chwilę się wahał, a potem wzruszył ramionami i kopnął Starego Białasa lewą stopą. Nic się nie stało. Znowu kopnął, kilka razy. Teraz mamut skierował się w prawo i von Horst kopał, póki Stary Białas nie zaczął iść wprost ku rzece. Potem utrzymywał zwierza na tym kursie, wykorzystując sygnały, których się nauczył od ludzi-mamutów – których oboje się nauczyli.

Kiedy dotarli do rzeki, von Horst mocno klepnął Starego Białasa w czubek głowy i mamut się zatrzymał, a człowiek zsunął się na ziemię. Zastanawiał się, co zwierzę teraz zrobi, ale nie zrobił nic – stał spokojnie, machając trąbą. Porucznik stanął przed nim i pogłaskał po trąbie.

– Żegnaj – powiedział spokojnie, jak jeździec przemawia do konia.

Stary Białas delikatnie otoczył go trąbą i po chwili puścił, a von Horst odszedł ku drzewom i rzece. Położył się na brzuchu i napił, a mamut przyszedł i pił obok niego.

Von Horst nie wiedział, jak długo pozostał nad rzeką, wśród drzew. Łapał ryby, zbierał owoce i orzechy, kilka razy spał; zrobił łuk i strzały i dobrą, mocną dzidę. Tę ostatnią zrobił z myślą o taragach. Była dłuższa od jego poprzednich dzid, ale nie za długa; i była ciężka. Zrobił ją z giętkiego drewna o długich włóknach. Nie złamie się tak łatwo.

Póki tam był, często widywał Starego Białasa. Ogromne zwierzę żywiło się bambusami, rosnącymi nad rzeką w wielkich kępach, w pobliżu drzewa, na którym von Horst sklecił sobie schronienie. Kiedy nie jadło, często podchodziło do drzewa, na którym mieszkał człowiek. Von Horst zawsze

wtedy gładził mamuta i mówił do niego – bo był jego jedynym towarzyszem. Po jakimś czasie zaczął wyczekiwać powrotu Starego Białasa i trochę się martwić, jeśli za długo go nie było. Dziwna to był przyjaźń między człowiekiem a mamutem. Von Horst przypuszczał, że tak przed eonami mogło się zacząć udomawianie zwierząt w zewnętrznym świecie.

Broń była gotowa i porucznik postanowił wyruszyć na poszukiwanie Lo-har. Nie oczekiwał, że odnajdzie tę krainę, ale musiał mieć jakiś cel. Równie dobrze mógł się natknąć na Sari, jak znaleźć Lo-har, ale zwyczajnie nie mógł tu zostać i czekać na śmierć – przypadkową lub ze starości. Poza tym poczucie humoru i ciekawość kazały mu zobaczyć wspaniałego Gaza.

Stary Białas stał pod pobliskim drzewem, kryjąc się przed żarem stojącego w zenicie słońca i łagodnie się kołysał. Von Horst podszedł, żeby go pogłaskać na pożegnanie, bo naprawdę bardzo polubił gigantycznego przyjaciela i towarzysza.

– Będzie mi ciebie brakować, stary. Byliśmy razem tu i tam i sporo dokonaliśmy. Powodzenia! – po raz ostatni klepnął go w trąbę, odwrócił się i ruszył w nieznaną na beznadziejne poszukiwania.

Kiedy tak wodził wzrokiem po rozległym, pozbawionym horyzontu krajobrazie, delikatnie się rozmywającym na krańcach ludzkiego pola widzenia, trudno mu było pogodzić kompletną dzikość tego dziewiczego świata ze świadomością, że jakieś pięćset mil pod jego stopami może się znajdować miasto, pełne pojazdów i ludzi takich jak on, zajmujących się swoimi sprawami i swoim życiem, dla których największym zagrożeniem był bezmyślny kierowca lub rzucona niedbale na chodnik skórka od banana.

Bawiło go domyślanie się, co by powiedzieli jego przyjaciele, gdyby go teraz zobaczyli – wymuskany, wyrefinowany porucznik Frederick Wilhelm Eric von Mendeldorf und von Horst, nagi nie licząc biodrowej przepaski, człowiek plejstocenu (o ile taki w ogóle istniał). Potem wrócił myślami do

Pellucidaru i La-Ja. Zastanawiał się, dlaczego tak go nie lubiła i krzywił się na niepozwalający się zlekceważyć wniosek. Chciałby temu zaprzeczyć i wyrzucić ze świadomości. Ale nic z tego. *KOCHAŁ JĄ*; kochał tę małą barbarzynekę, równie nieświadomą istnienia alfabetu jak i miseczek do obmywania palców.

Wędrował pogrążony w marzeniach – a tak nie wolno chodzić po Pellucidarze, gdzie trzeba być albo bardzo szybkim, albo bardzo martwym. Nie słyszał tego, co szło za nim, bo szło na miękkich stopach – myślał o La-Ja z Lo-haru. Potem, znenacka, wróciła mu świadomość, gdzie jest i potrzeba nieustannej czujności; ale za późno. Coś chwyciło go w pasie i poderwało w górę. Szamocząc się spojrział w dół – prosto we włochate oblicze Starego Białasa. Potem został delikatnie usadowiony na szerokim karku. Omal się głośno nie roześmiał z ulgi. Natychmiast poczuł nową nadzieję co do przyszłości – tak działa towarzystwo, nawet towarzystwo niepotrafiącego mówić zwierzęcia.

– Ty stary sukinkocie! – wykrzyknął. – O mało nie umarłem ze strachu! Ale się cieszę, że cię widzę! Pewnie i ty się poczułeś samotny, co? Żaden z nas nie ma wielu przyjaciół. No to się będziemy trzymać razem, jak długo zechcesz.

Stary Białas niósł człowieczka – do którego się dziwnie przywiązał – przez niebezpieczeństwa, które w innym przypadku mogłyby się okazać śmiertelne. Nawet potężny tarag schodził mamutowi z drogi; nie zaatakował żaden byk z olbrzymich stad, wśród których przechodzili. Pewnego razu kołował nad nimi thipdar, olbrzymi pteranodon z lasu, mogący unieść dorosłego bawołu. Szli w cieniu jego skrzydeł o dwudziestu stopach rozpiętości – mamut spokojny, człowiek zaniepokojony – ale nie zanurkował ku nim.

Co jakiś czas się zatrzymywali, żeby coś zjeść, napić się wody i przespać; ponieważ w tym pozbawionym czasu świecie czas nic nie znaczył, von Horst nie próbował go zliczać. Wiedział jedynie, że muszą być daleko od Ja-ru. Często szedł, żeby rozruszać mięśnie, a Stary Białas kroczył tak blisko niego, że włochata trąba dotykała nagiego ciała człowieka.

Von Horst, żeby zająć czymś umysł, nauczył mamuta paru rzeczy – na komendę sadzać go sobie na karku i opuszczać na ziemię; klękać i kłaść się; na odpowiedni znak iść, truchtać lub atakować; podnosić i nieść różne rzeczy; opierać głowę o drzewo i przewracać je; owijać drzewo trąbą i wrywać z korzeniami.

Wyglądało na to, że Stary Białas lubił się uczyć i był dumny ze swoich osiągnięć. Von Horst dawno się zorientował, że mamut jest bardzo inteligentny; i jedna z cech ogromnego zwierza dowodnie o tym świadczyła – poczucie humoru Starego Białasa. Było tak dobrze rozwinięte, że nie można go było przeoczyć i niekiedy von Horst mógłby przysiąc, że mamut uśmiecha się z własnych żartów. Lubił na przykład zajść go z tyłu, złapać za kostkę i majtnąć nim w powietrze – ale nigdy go nie upuścił, nie zrobił mu krzywdy; zawsze ostrożnie stawał na ziemi. Kiedy uznał, że von Horst za długo śpi, stawał na nim stopę i udawał, że chce go zdeptać; albo napelniał trąbę wodą i robił porucznikowi prysznic. Człowiek nigdy nie wiedział, czego i kiedy może się spodziewać, ale raz dwa zrozumiał, że Stary Białas nigdy go nie skrzywdzi.

Von Horst nie miał pojęcia, jaką trasę przeszli; wiedział jednak, że musiał to być kawał drogi, a mimo to nie natrafili na żadną wioskę czy pojedynczego człowieka. Zdumiewała go rozległość bezludnych terenów, na których żyły wyłącznie zwierzęta. Niegdyś było tak i w zewnętrznym świecie. Chociaż teraz trudno w to było uwierzyć.

Nie wiedział, czy był bliżej Lo-har niż przedtem. Wyprawa często wydawała się idiotyczna i beznadziejna. Ale cóż innego mógł zrobić? Równie dobrze mógł się przemieszczać w dobrym jak i złym kierunku. Gdyby miał człowieka za towarzysza – gdyby była z nim Ja-La – mógłby wziąć pod uwagę osiedlenie się na stałe w jednej z tych pięknych dolin, przez które przechodzili; lecz samotne trwanie w jednym i tym samym miejscu było nie do pomyślenia. Parł więc przed siebie, poznając nowy świat, o którym pewnie nikt – prócz niego – nigdy się nie dowie.

Każde nowe wzniesienie budziło w nim ciekawość nieznanego. Co leży po drugiej stronie? Jakie nowe krajobrazy się odsłonią?

Pewnego razu, kiedy Stary Białas ociężałe wspinał się na łagodną pochyłość, człowiek z takim samym jak zwykle entuzjazmem się zastanawiał, co leży za szczytem, do którego się zbliżali; wtem usłyszał gromki ryk, a za nim kolejne. Miał wrażenie, że towarzyszyły im ludzkie głosy.

Dla von Horsta ludzie oznaczali nieprzyjaciół, tak już przesiąkł obyczajami epoki kamienia; mimo to postanowił ich sobie obejrzeć. Może to byli Lo-harianie. Może dotarł do Lohar! Dźwięki wskazywały na mężczyzn pędzących stado bydła, w którym było wiele byków (sądząc po gromkich rykach, za granią były głównie byki). Von Horst zsunął się z grzbietu Starego Białasa i kazał mamutowi zostać tu, gdzie był. Potem ostrożnie popęzł naprzód, licząc, że dotrze na szczyt niezauważony. Udało mu się i po chwili patrzył na scenę, mogącą zachwiać jego wiarą w sprawność własnego wzroku.

Leżał na skraju niskiego klifu, a pod nim były cztery stworzenia jak z sennego koszmaru. Miały ludzkie ciała – tęgich, przysadzistych mężczyzn. Ich twarze, barki i piersi były porośnięte długimi, brązowymi włosami. Po obu stronach czoła sterczały krótkie, mocne rogi, podobne do rogów

bizona. Mieli też ogony, zakończone kępką sierści. Z ich gardeł wydobywały się tak porykiwania byków, które von Horst słyszał, jak i ludzka mowa. Nie mieli broni i nie było żadnej wątpliwości, że jakaś istota czy istoty (niewidoczne dla von Horsta) trzymała je na dystans: bo ile razy zaczynali podchodzić do klifu, tyle razy leciały ku nim kamienie i się cofali. Zawsze gniewnie wtedy ryczeli, a czasem któryś z nich tupał w ziemię lub wzbijał stopą kurz – zupełnie jak rozwścieczony byk. Dlatego von Horst i wtedy i później myślał o nich jako o ludziach-bizonach.

Ponieważ ich zdobycz rzucała w nich kamieniami, porucznik uznał, że są to zapewne ludzie; chociaż, ma się rozumieć, na Pellucidarze mogły to być najrozmaitsze dziwne odmiany człowieka czy zwierzęcia. Wątpił, żeby to byli ludzie-bizony, bo zauważył, że żaden z tej czwórki nie ciskał kamieniami, co z pewnością by zrobili, gdyby byli wystarczająco inteligentni.

Kiedy ta czwórka ze sobą rozmawiała, wyłapywał słowo lub dwa i przekonał się, że mówią językiem wspólnym dla wszystkich Pellucidarian. Właśnie jeden z nich podniósł głos i zawołał do tych, co ich przyparli do podnóża klifu.

– Przestań rzucać kamienie, gilaku. To tylko pogorszy twoją sprawę jak cię złapiemy, a możesz być pewny, że cię złapiemy. Nie macie ani jedzenia ani wody, więc musicie albo wyjść, albo umrzeć z głodu.

– Czego od nas chcecie? – zapytał głos spod klifu.

– Chcemy kobietę – odparł ten sam człowiek-bizon.

– Mnie nie chcecie? – zapytał głos.

– Tylko żeby cię zabić. Ale jak nam dasz kobietę, to cię oszczędzimy.

– Skąd mam wiedzieć, czy dotrzymacie słowa?

– Nie kłamujemy – stwierdził człowiek-bizon. – Przyrowadź ją tutaj, a pozwolimy ci odejść.

– Przyrowadzę – rzekł głos z dołu.

– Świnia! – mruknął pod nosem von Horst.

Chwilę potem zobaczył, jak spod nawisu klifu wychodzi mężczyzna, wlokąc za włosy kobietę. Porucznik natychmiast się poderwał, przerażony i wściekły, bo na pierwszy rzut oka ich rozpoznał – Skruf i La-Ja.

Chwilowo był bezradny, bo do ziemi było trzydzieści, czterdzieści stóp. Przez moment mógł tylko stać i patrzeć, potem nasadził strzałę na cięciwę, ale dziewczyna częściowo zasłaniała Skrufa. Von Horst nie mógł strzelić, nie narażając jej.

– La-Ja! – zawołał.

Dziewczyna spróbowała odwrócić głowę w stronę jego głosu. Ludzie-bizony spojrzeli na postać stojącą na szczycie klifu.

– Na bok, La-Ja! – zawołał. – Na bok!

Natychmiast skręciła w prawo, obracając Skrufa bokiem, tak, że stał się dobrym celem dla łucznika. Zagrała cięciwa. Skruf wrzasnął i padł na ziemię, zaciskając dłonie na upierzonej brzechwie tkwiącej w nim strzały; przy tej okazji puścił włosy dziewczyny.

– Uciekaj! – nakazał von Horst. – Biegnij równolegle do klifu! Pobiegnę górą, póki nie znajdę drogi na dół.

Ludzie-bizony już się otrząsnęli ze zdumienia i biegli ku dziewczynie – ale miała lekką przewagę i gdyby dopisało jej szczęście mogłaby im uciec. Ich ciężkie, przysadziste ciała nie wydawały się stworzone do szybkiego biegu.

Von Horst odwrócił się i zawołał do Starego Białasa, żeby za nim szedł; potem pobiegł górą klifu, tuż za La-Ja. Niemal od razu uświadomił sobie, że wygląd ludzi-bizonów maskował ich zwinność – doganiali dziewczynę. Znowu nasadził strzałę na cięciwę. Zatrzymał się tylko na moment – żeby wycelować i strzelić do biegnącego na czele człowieka-bizona. Potem

zerwał się do biegu – ale stracił dystans, którego już nie mógł nadrobić. Za to chwilowo zwiększył lukę pomiędzy La-Ja a goniącymi ją, bo prowadzący człowiek-bizon leżał na ziemi ze strzałą w plecach.

Pozostali zmniejszali dystans i von Horst znowu się musiał zatrzymać i strzelić. Jak poprzednio, najbliższy dziewczyny człowiek-bizon padł na ziemię. Dziki przeturlał się parę razy, ale kiedy znieruchomiał, leżał bardzo spokojnie. Teraz zostali już tylko dwaj, ale porucznik został w tyle za nimi. Chciał choć trochę ich dogonić, ale nie mógł. Na koniec się zatrzymał i posłał dwie strzały ludziom-bizonom. Bliższy upadł, ale w drugiego nie trafił. Wypuścił jeszcze dwie strzały, ale nic to nie dało i zrozumiał, że tamten jest poza zasięgiem – poza zasięgiem i szybko dogania ściganą. Przed uciekającą dziewczyną wznosił się las ogromnych drzew. Jeśli tam dotrze, może umknąć ścigającemu; a była bardzo szybka.

Wszyscy troje biegli w milczeniu; von Horst na szczycie klifu z trudem dotrzymywał im kroku. Potem dziewczyna zniknęła wśród pni ogromnych drzew; chwilę później człowiek-bizon wbiegł tam za nią. Von Horst był w panice. Z niekończącego się klifu nie było żadnego zejścia. Mógł tylko biec, póki nie znajdzie drogi w dół; ale co w tym czasie spotka La-Ja?

Tak niespodziewanie ją odnalazł, był tak blisko niej i potem ją stracił – był zrozpaczony, niepocieszony. Ale teraz wiedział, że ona żyje, a to już było coś. Tuż za sobą usłyszał znajome trąbienie Starego Białasa; chwilę później otoczyła go włochata trąba i posadziła w zagłębieniu masywnej czaszki. Tuż przy skraju lasu natrafili na szczelinę we wzniesieniu i mamut, ostrożnie stawiając stopy, zszedł z klifu. Von Horst zawrócił go w miejsce, gdzie zniknęła La-Ja. Lecz tam musiał zsiąść, bo drzewa rosły zbyt blisko siebie i wielkie zwierzę nie mogło wejść do lasu – nie mogło też ani wyrwać z korzeniami, ani przewrócić wielkich pni.

Von Horst zostawił Starego Białasa, żeby wejść do lasu; miał przecucie, że po raz ostatni widzi wiernego przyjaciela i sprzymierzeńca i z ciężkim sercem wszedł w ponury, złowieszczy las.

Tylko przez chwilę myślał o Starym Białasie, bo z oddali usłyszał słaby krzyk, a potem głos dwa razy wykrzyknął jego imię – „Von! Von!” – głos kobiety, którą kochał.



KRU

Von Horst, kierując się jedynie wspomnieniem tego odległego, słabego krzyku, parł w las. Jeszcze nigdy nie widział drzew takich rozmiarów rosnących obok siebie; czasem tak blisko, że z trudem pomiędzy nimi przechodził. Nie było ścieżki, a ponieważ musiał iść zygzakiem, wkrótce całkiem stracił poczucie kierunku. Dwa razy głośno zawołał La-Ja, w nadziei, że dziewczyna odpowie i da mu tym wskazówkę, gdzie jest – ale odpowiedzi nie było. Dotarło do niego, że tylko ostrzegł człowieka-bizona, że ktoś go ściga i ma się on teraz na baczności i chociaż porusza się tak szybko jak może, to jest ostrożniejszy. Porucznik szedł, coraz bardziej sfrustrowany, coraz bardziej przekonany o daremności poszukiwań; czuł, że prawdopodobnie krąży w kółko i nigdzie nie dotrze. Przyszło mu nawet do głowy, że może nigdy nie znaleźć wyjścia z tego labiryntu ponurych drzew; nie wspominając już o dotarciu na czas do La-Ja, żeby móc jej w czymkolwiek pomóc. I tak, pogrążony w ponurych myślach, dotarł nagle na skraj lasu. Przed nim znajdowało się wejście do kanionu, prowadzącego

między niskie, ale urwiste wzgórza; no i wreszcie była ścieżka. Dobrze widoczna, wiodła w głąb kanionu.

Von Horst, z nową nadzieją, wyszedł ufnie z lasu, żeby pójść tam, gdzie ścieżka go zaprowadzi – bo pobieżne spojrzenie teraz już doświadczonym wzrokiem upewniło go, że niedawno ktoś wszedł tędy do kanionu i w pyle ścieżki dostrzegł ślad drobnej stopy. Kanion był właściwie wąskim, skalistym parowem, wijącym się pośród wzgórz; kiedy nim szedł, co jakiś czas mijał wejścia do podobnych, łączących się z nim, wąwozów. Lecz główny szlak był wyraźny i szedł nim, mając teraz pewność, że wkrótce dogoni La-Ja i jej porywacza.

Już dobrą chwilę był w parowie i zaczynał się niecierpliwić, bo za żadnym zakrętem nie widział tych, co jego zdaniem byli przed nim, kiedy usłyszał hałas za sobą. Pospiesznie się odwrócił i zobaczył podkradającego się ku niemu człowieka-bizona. Kiedy ten się zorientował, że został zauważony, wydał ryk, który mógłby się wyrwać z gardzieli rozwścieczonego byka. Odpowiedziano mu tak z dołu jak i z góry parowu i wkrótce z obu stron ścieżki pojawili się nowi ludzie-bizony.

Von Horst znalazł się w pułapce. Po obu stronach ściany parowu, chociaż niskie, były nie do przebycia. Z tyłu ludzie-bizony blokowali odwrót, z przodu – nie pozwalali iść dalej. Teraz wszyscy ryczeli. Od skalistych ścian parowu odbijał się echem gniewny chór zwierzęcego wyzwania i groźby. Czekali na niego. Von Horst teraz to rozumiał. Słyszeli, jak wołał La-Ja. Wiedzieli, że idzie za nią i czekali w jednym z wąwozów, które minął. Jak łatwo go schwytali. Ale niby jak miał tego uniknąć? Jak miałyby szukać La-Ja, nie idąc tam, dokąd ona poszła?

Co miał teraz zrobić? Ludzie-bizony bardzo wolno się ku niemu zbliżali. Najwyraźniej czuli do niego wielki respekt. Zastanawiał się, czy porywacz La-Ja miał czas i sposobność opowiedzieć współplemieńcom o

spustoszeniu, jakiego ten dziwaczny gilak dokonał wśród tej czwórki, co się z nim pierwsza spotkała. To była jedna z irytujących cech wewnętrznego świata – nie móc określić, ile upłynęło czasu, co z łatwością mogło oznaczać różnicę pomiędzy życiem a śmiercią.

– Co robisz w naszej krainie? – zapytał najbliższy z ludzi-bizonów.

– Przyszedłem po kobietę – odparł von Horst. – Jest moja. Gdzie jest?

– Kim jesteś? Nigdy przedtem nie widzieliśmy takiego gilaka jak ty, ani nikogo, kto by mógł z daleka przysyłać śmierć na patykach.

– Oddajcie kobietę – zażądał von Horst – bo ześlę śmierć na was wszystkich.

Wyjął z kołczanu strzałę i nasadził na cięciwę.

– Nie możesz nas wszystkich zabić – stwierdziło stworzenie. – Nie masz tylu patyków ilu jest Ganaków.

– Co to Ganakowie? – zapytał von Horst.

– My jesteśmy Ganakowie. Zaprowadzimy cię do Drovana. Jeśli powie, żeby cię nie zabijać, to cię nie zabijemy.

– Jest tam kobieta?

– Tak.

– To pójdę. Gdzie ona jest?

– Idź w górę parowu za Ganakami przed tobą.

I wszyscy ruszyli w tym kierunku, w którym wcześniej szedł von Horst; dotarli do dużej, otwartej doliny, w której rosło wiele drzew, malowniczo rozsianych na łagodnie pofałdowanym terenie. Na równinie, niezbyt daleko, leżało coś wyglądającego jak kolista, otoczona palisadą wioska – i ku niej poszli ludzie-bizony.

Kiedy von Horst znalazł się bliżej, stwierdził, że poza wioską znajdują się obsiane pola, na których pracują mężczyźni i kobiety – ludzie jak on – a

nie Ganakowie. Lecz wokół kręciło się wielu Ganaków-samców; oni nie pracowali.

Do wioski prowadziła pojedyncza, niewielka bramka. W obrębie palisady stał krąg stykających się ze sobą glinianych chałup – przerwany wyłącznie tam, gdzie znajdowała się bramka. Przed chałupami rosły ocieniające je drzewa. Pośrodku dużego placu stała grupka chałup; tutaj też rosły dające cień drzewa.

Właśnie do tej grupki chałup zaprowadzono von Horsta. Zobaczył tam krzepkiego mężczyznę-bizona, stojącego w cieniu i odpędzającego ogonem muchy z nóg. Przed nim stali La-Ja i jej porywacz oraz grupa ciekawskich Ganaków.

Kiedy pojawili się nowi, wielki byk spojrzał w ich stronę. Miał masywne rogi oraz obficie owłosioną twarz, barki i pierś. Małe, okrągłe, szeroko rozstawione oczy, przenikliwe i zaczerwienione, patrzyły groźnie na von Horsta. Głowę miał pochyloną, jak to bywa u zwierząt.

– Co to takiego? – zapytał, wskazując von Horsta.

– To gilak, który zabił trzech co byli ze mną – odparł porywacz La-Ja.

– Opowiedz jeszcze raz, jak ich zabił – zażądał wielki byk.

– Posłał patyki, żeby ich zabiły – brzmiała odpowiedź.

– Małe patyki nie zabijają, Trunie. Jesteś albo głupkiem, albo kłamcą.

– Małe patyki zabiły trzech, co byli ze mną i jednego, co też tam był, gilaka. Widziałem jak ich zabijały, Drowanie. Widzisz je? Są w tym czymś na jego plecach.

– Sprowadzić niewolnika – nakazał Drowan. – Jakiegoś starego, co już się do niczego nie nadaje.

Von Horst stał, wpatrując się w La-Ja. Mało co widział i słyszał z tego, co się wokół niego działo. La-Ja patrzyła na niego. Jej twarz była niemal bez wyrazu.

– A więc jeszcze nie umarłeś – powiedziała.

– Słyszałem, jak mnie wołasz, La-Ja. Przyszedłem tak szybko jak mogłem.

Zadarła brodę.

– Wcale cię nie wołałam – oznajmiła wyniośle.

Von Horsta zatkało. Wyraźnie słyszał – dwa razy – jak go wołała. Nagle się wściekł. Poczzerwieniał.

– Ty idiotko – powiedział. – Nie masz pojęcia, co to wdzięczność. Nie warto cię ratować.

I odwrócił się do niej plecami.

Natychmiast pożałował tych słów; ale był urażony – urażony i zraniony jak jeszcze nigdy w życiu. I był zbyt dumny, żeby odwołać to, co powiedział.

Przyszedł mężczyzna-bizon, prowadząc starą niewolnicę. Podprowadził ją do Drovana. Wódz brutalnie ją popchnął.

– Idź i stań tam – rozkazał.

Stara kobieta powoli odeszła – przygarbiona i bezbronna istota.

– Tyle wystarczy! – krzyknął Drovan. – Stań tam, gdzie jesteś.

– TY! – ryknął, wskazując na von Horsta. – Jak się nazywasz?

Człowiek beczelnie łypnął na pół-zwierzę. Aż się gotował z wściekłości – wściekłości na siebie i na cały świat.

– Nie rycz, kiedy do mnie mówisz – powiedział.

Drovan gniewnie smagnął nogi ogonem i opuścił głowę niczym szykujący się do ataku rozwścieczony byk. Powoli zrobił kilka kroków ku von Horstowi, a potem się zatrzymał, grzebnał stopą ziemię i zaryczał – ale człowiek ani się nie cofnął ani nie okazał strachu.

Wódz nagle dostrzegł starą niewolnicę, stojącą na placu tam, gdzie jej kazał. Znowu popatrzył na von Horsta. Wskazał starą kobietę.

– Jeśli twoje patyki zabijają, to ją zabij – polecił. – Ale nie wierzę, że zabijają.

– Moje patyki zabijają – powiedział von Horst. – Ganakowie zobaczą, że zabijają.

Zrobił parę kroków ku starej niewolnicy i nasadził strzałę na cięciwę; potem odwrócił się ku Drovanowi i wskazał La-Ja.

– Uwolnisz tę dziewczynę i mnie, jeżeli pokażę, że moje patyki zabijają?

– Nie – warknął wódz.

Von Horst wzruszył ramionami.

– Na twoją odpowiedzialność – powiedział i z tymi słowy naciągnął cięciwę i – zanim ktokolwiek się zorientował, co zamierza i przeszkodzić – posłał upierzoną strzałę prosto w serce Drovana.

Plac natychmiast stał kłębowiskiem ryczących byków. Rzucili się na von Horsta, zanim zdążył nasadzić kolejną strzałę na cięciwę i powalili go na ziemię; tłukli go pięściami i próbowali rozedrzeć rogami. Ale tylu ich było, że sobie nawzajem przeszkadzali.

Już byłoby po nim, kiedy napastników powstrzymał władczy głos.

– Nie zabijać – nakazał. – Dajcie mu wstać. To mówię ja, wódz Kru.

Byki od razu puściły von Horsta i zwróciły się ku mówcy.

– Kto twierdzi, że Kru jest wodzem? – zapytał jeden z nich. – To ja, Tant, będę teraz wodzem, skoro Drovan nie żyje.

Von Horst z trudem się podniósł w trakcie tej sprzeczki. Przez chwilę był półprzytomny, ale szybko wziął się w garść. Pospiesznie poszukał łuku i go znalazł. Znalazł też i pozbierał trochę strzał, które wypadły podczas szamotaniny. Teraz był czujny. Rozejrzał się wokół. Wszystkie byki

obserwowały dwóch kandydatów na wodza, lecz niektóre ustawiały się bliżej Kru niż Tanta. Parę niepewnie stanęło u boku Tanta. Porucznik uznał, że Kru ma większe szanse. Zbliżył się do tych, co się gromadzili wokół Kru. Ukradkiem nasadził strzałę na cięciwę. Wiedział, że bardzo ryzykuje, a rozsądek nakazywał mu dbanie o własny interes – ale wciąż był wściekły i nie dbał o to, czy przeżyje czy nie. Nagle się wyprostował.

– KRU JEST WODZEM! – zawołał, posyłając strzałę w pierś Tanta. – Jeszcze jacyś się nie godzą, żeby Kru był wodzem? – zapytał.

Niektórzy z tych, którzy się zebrali wokół Tanta, pobiegli, żeby go powalić; atakowali z nastawionymi rogami, jak byki. Lecz ci, co otaczali Kru, ruszyli im naprzeciw. Kiedy walczyli, von Horst powoli się cofał, aż się oparł plecami o chatę wodza. Blisko niego stała La-Ja. Nie zwracał na nią uwagi, chociaż nie miał wątpliwości, że wie, iż ona tam jest.

Porucznik był zaabsorbowany dziwacznymi metodami walki tych pół-zwierząt. Kiedy się nie szczepiali, to starali się uderzyć rogami w brzuch przeciwnika i wypruć mu flaki. Często zderzali się głowami tak mocno, że obaj padali. Kiedy się szczepiali, jeden chwycił drugiego za ramiona i wielkim wysiłkiem próbowali sobie nawzajem pokaleczyć twarz, szyję lub pierś.

To był obraz dzikiej furii, tym straszniejszy, że towarzyszyły temu ryki i parskanie walczących. Ale raz dwa było po wszystkim, bo przeciwnicy Kru byli nieliczni i nie mieli przywódcy. Ci, co przeżyli, wycofywali się jeden po drugim, zostawiając pole Kru.

Nowy wódz, przejęty własną ważnością, przechadzał się dumnie. Natychmiast posłał po kobiety Drovana i Tanta; było ich około trzydziestu. Wybrał dla siebie połowę z nich, a resztę oddał swoim stronnikom, żeby się nimi podzielili.

Von Horst i La-Ja pozostawali na uboczu; ludzie-bizony właściwie nie zwracali na nich uwagi. Oni też woleli pozostawać niezauważeni, bo nie ulegało wątpliwości, że to, co się stało oraz widok i woń krwi wprawiły byki w histeryczne podekscytowanie. Teraz jednak zauważył ich stary byk – wydał gromki ryk i grzebał stopą ziemię. Ruszył ku nim, pochylając głowę, jakby chciał zaatakować. Von Horst nasadził strzałę na cięciwę. Byk się zawahał, a potem popatrzył na Kru.

– Gilaki – powiedział. – Kiedy zabijemy gilaki albo pošlemy je do roboty?

Kru spojrzał na niego. Von Horst czekał na odpowiedź wodza. Liczył na to, że jego wdzięczność zapewni wolność i jemu i La-Ja (bo nadal się troszczył o jej dobro). Przekonał się, że inaczej po prostu nie może, choćby była nie wiem jak niewdzięczna. Zastanawiał się też, jakiej wdzięczności może się spodziewać ze strony tego brutalnego mężczyzny-bizona, skoro La-Ja nie okazywała mu żadnej.

– No i? – powiedział stary byk. – Zabijamy gilaki czy wysyłamy je do roboty na pola?

– Zabić oną! – zawołała jedna z kobiet.

– Nie – warknął Kru. – Onej nie zabijemy. Zabierzcie je stąd, zamknijcie w chacie i pilnujcie. Potem Kru zadecyduje, co zrobić z mężczyzną.

Von Horsta i La-Ja zamknięto w brudnej chacie. Nie związano ich. Mężczyźni nie odebrano broni i mógł tylko uznać, że byli zbyt głupi i pozbawieni wyobraźni, żeby pojąć, że należało to zrobić. La-Ja przeszła na jedną stronę chaty i usiadła, von Horst na drugą. Milczeli. Mężczyzna nawet nie spojrzał na kobietę, ale ona się w niego wpatrywała.

Był nieszczęśliwy i prawie nie miał nadziei. Gdyby była dla niego miła (choćby z grzeczności), to mógłby sobie wyobrazić przyszłość, o którą

warto z zapalem walczyć. Ale teraz, bez nadziei na jej miłość, nie miał nic. Świadomość, że ją kocha, budziła w nim tylko pogardę dla samego siebie; a powinna być powodem dumy. Poczował się tylko do obowiązku chronienia jej, bo była kobietą. Wiedział, że będzie próbował ją uratować. Wiedział, że walczyłyby dla niej, ale nie odczuwał euforii.

Położył się i zasnął. Śnił, że śpi w czystym łóżku, w chłodnych prześcieradłach; kiedy się obudził, włożył czystą bieliznę i porządnie wyprasowane ubranie i zszedł na wspaniały obiad, podany na idealnie nakrytym stole. Stuknął go w ramię lokaj, przynosząc tacę z jedzeniem.

Obudził się i ujrzał stojącą obok kobietę. Kopnęła go w ramię.

– Obudź się – powiedziała. – Oto twoja stawa.

Rzuciła mu na brudną podłogę naręczę świeżo ściętej trawy i trochę warzyw.

– To i dla kobiety – dodała.

Von Horst usiadł i popatrzył na nią. Nie była Ganaczką, lecz człowiekiem jak on.

– Po co ta trawa? – zapytał.

– Do jedzenia – odparła.

– Nie jadamy trawy, a warzyw jest za mało dla jednej osoby – powiedział.

– Będziecie jeść trawę, albo padniecie z głodu – stwierdziła kobieta. – Nam, niewolnikom, nie dają dużo warzyw.

– A co z mięsem? – zaciekawił się von Horst.

– Ganakowie nie jedzą mięsa, więc go nie ma. Jestem tu od tylu snów, że straciłam rachubę i nigdy nie widziałam, żeby ktoś jadł mięso. Po jakimś czasie przywykniecie do trawy.

– Czy wszystkim więźniom każą pracować na polach? – zapytał von Horst.

– Nigdy nie wiadomo, co robią. Z zasady zatrzymują kobiety i każą im pracować w polu póki się za bardzo nie zestarzeją; potem je zabijają. Jeśli mają mało niewolnic, to przez jakiś czas oszczędzają mężczyzn; inaczej od razu ich zabijają. Oszczędzili mnie przez wiele snów. Należę do Splya. Tę kobietę komuś dadzą, bo jest młoda. Ciebie pewnie zabiją, bo teraz mają mnóstwo niewolnic; więcej niż mają ochotę żywić.

Kiedy kobieta odeszła, von Horst zebrał warzywa i położył je przy La-Ja. Dziewczyna popatrzyła na niego. Jej oczy zapłonęły.

– Czemu robisz takie rzeczy? – zapytała. – Nie chcę, żebyś coś dla mnie robił. Nie chcę cię lubić.

Von Horst wzruszył ramionami.

– I świetnie ci idzie – odparł sucho.

Wymamrotała coś, czego nie zrozumiał i zaczęła dzielić warzywa na dwie części.

– Ty zjesz swoją porcję, a ja swoją – oznajmiła.

– Za mało ich dla jednego, a co dopiero dla dwojga. Lepiej weź sobie wszystkie – upierał się. – Tak czy siak nie przepadam za surowymi warzywami.

– To je zostaw. Ja ich nie zjem. Skoro nie lubisz warzyw, to zjedz trawę.

Von Horst zamilkł i zaczął żuć bulwę. Była lepsza niż nic – to było wszystko, co mógł o niej powiedzieć. Dziewczyna jadła i od czasu do czasu ukradkiem mu się przyglądała. Raz ją na tym przyłapał, a ona szybko odwróciła wzrok.

– Czemu mnie nie lubisz, La-Ja? – zapytał. – Co takiego zrobiłem?

– Nie chcę o tym rozmawiać. W ogóle nie chcę z tobą rozmawiać.

– To niesprawiedliwe – wypomniał jej. – Gdybym wiedział, co zrobiłem, mógłbym to naprawić. Byłoby o wiele przyjemniej, gdybyśmy się zaprzyjaźnili, bo będziemy się stale widzieć, zanim dotrzemy do Lo-har.

– Nigdy nie dotrzemy do Lo-har.

– Nie trać nadziei. Ci ludzie są głupi. Na pewno ich przechytrzymy i uciekniemy.

– Nie. A jeśli nawet, to nie pójdziesz do Lo-har.

– Pójdę tam, gdzie ty – rzekł z uporem.

– Po co chcesz iść do Lo-har? Tylko by cię zabili. Gaz by cię złamał na pół. Ale właściwie czemu chcesz tam iść?

– Bo ty idziesz – odparł tak cicho, jakby mówił do siebie.

Popatrzyła na niego uważnie, pytająco. Wyraz jej twarzy leciutko się zmienił, czego on nie zauważył, bo na nią nie patrzył. Miała teraz odrobinę mniej nieprzejednaną minę. Różnica jak między lodem a granitem – lód jest bardzo zimny i twardy, ale się topi.

– Gdybyś mi tylko powiedziała, co zrobiłem – nalegał. – Czemu mnie nie lubisz.

– Tego nie mogę ci powiedzieć. Gdybyś nie był głupcem, to sam byś wiedział.

Potrząsnął głową.

– Przykro mi, ale chyba nim jestem. Więc powiedz mi, proszę, skoro jestem takim głupcem.

– Nie – odparła zdecydowanie.

– A dasz mi jakąś wskazówkę? Najdrobniejszą?

Przez chwilę się zastanawiała.

– Może bym i mogła. Pamiętasz, że mnie uderzyłeś i siłą zabrałeś z Basti?

– Zrobiłem to dla twojego dobra i potem przeprosiłem – przypomniał jej.

– Tak – przyznała. – Ale nic z tym nie zrobiłeś.

– Nie rozumiem – powiedział bezradnie.

– Gdybym ci wierzyła, to mogłabym ci przebaczyć. Ale nie potrafię uwierzyć, że ktoś może być aż takim głupcem.

Usiłował rozwiązać tę zagadkę, ale nie potrafił, choć łamał sobie głowę. Co *powinien* był zrobić???

– Może po prostu się nawzajem nie rozumiemy – orzekła La-Ja. – Powiedz mi, dlaczego konkretnie się upierasz, żeby iść ze mną do Lo-har. I jeśli będzie to z tego powodu, który zaczynam podejrzewać, to powiem ci, czemu cię nie lubię.

– To zakład – zakrzyknął mężczyzna. – Chcę iść do Lo-har, bo...

Przerwało mu dwóch mężczyzn-bizonów, wpadając do chaty.

– Chodź! – nakazali. – Teraz Kru każe cię zabić!

RYCZĄCA HORDA

Dwaj Ganakowie dali La-Ja znak, żeby z nimi poszła.

– Kru posłał i po ciebie – powiedzieli. – Ale ciebie nie zabije – dodali, szczerząc się w uśmiechu.

Kiedy szli przez wioskę ku chacie wodza, wielu Ganaków leżało w cieniu licznych drzew, rosnących wokół placu. Niektórzy jedli trawę, ściętą przez niewolników; inni spokojnie przeżuwali, drzemiąc z półprzymkniętymi oczami. Część dzieci się bawiła. Mało hałaśliwie. Za to dorośli ani się nie bawili, ani się śmiali, ani nie rozmawiali. Byli typowymi przeżuwaczami i pewnie byli równie głupi. Nie nosili żadnych ozdób ani odzieży, w ogóle nie mieli broni.

Von Horst właśnie temu brakowi broni i głupocie przypisywał to, że nie odebrali mu jego oręża. Wciąż miał łuk i strzały i nóż, chociaż nie odzyskał dzidy, którą upuścił podczas bójki po zabiciu Drovana.

Więźniów doprowadzono przed Kru, leżącego w cieniu wielkiego drzewa, rozpościerającego koronę ponad jego chatą – która dopiero co była

chatą Drovana. Popatrzył na nich zaczerwienionymi oczami; głównie gapił się na La-Ja.

– Należysz do mnie – powiedział jej. – Należysz do wodza. Wkrótce wejdiesz do chaty. Teraz zostaniesz na zewnątrz, patrzeć jak umiera gilak-mężczyzna. Zobaczysz, jak się umiera, kiedy się rozzłości Kru – potem spojrzął na leżącego przy nim byka. – Splay, idź powiedzieć niewolnikom, żeby przynieśli tańczącą wodę i śmierć-drzewo.

– Co to za pomysł? – zapytał von Horst. – Czemu miałbyś mnie zabić? Gdyby nie ja, nie zostałbyś wodzem.

– Za dużo mężczyzn-niewolników – burknął Kru. – Za dużo jedzą. Tańcząca woda dobra; śmierć-drzewo zabawa.

– Zabawa dla kogo? Dla mnie?

– Nie; zabawa dla Ganaków, żadnej zabawy dla gilaka.

Wrócił Splay z niewolnikami. Kilku mężczyzn niosło niewielkie drzewko, ogołoczone z gałęzi; inni mężczyźni i kobiety nieśli liczne patyki oraz tykwy i toporne dzbany, wypełnione jakimś płynem.

Mężczyźni-bizony, widząc ich, zaczęli się schodzić z całej wioski. Ich kobiety też przyszły, ale młodzież przepędzono. Usiedli, tworząc wielki krąg wokół drzewa przed chatą wodza. Niewolnik podał dzban komuś z kręgu. Ten upił solidny haust i przekazał dzban siedzącemu przy nim. I tak dzban zaczął drogę wokół kręgu. Niewolnicy z tykwami i dzbanami szli jego śladem tuż na zewnątrz kręgu. Kiedy był pusty, od razu zastąpiono go pełnym.

Mężczyźni-niewolnicy, którzy przynieśli pień małego drzewa, wykopali w ziemi dziurę na otwartej przestrzeni pomiędzy chatą wodza a wejściem do wioski. Kiedy była dostatecznie głęboka, ustawili w niej pionowo drzewko i udeptali wokół niego ziemię. Sterczało jakieś sześć stóp ponad ziemię. W tym czasie wiele tykw i dzbanów obiegało krąg. Mężczyźni i

kobiety porykiwali; jedna z kobiet wstała i zaczęła podskakiwać i wyginać się w dziwacznej parodii tańca. Wkrótce dołączyli do niej inni – tak mężczyźni jak i kobiety – i wreszcie wszyscy dorośli z wioski podskakiwali, kołysali i zataczali się po placu.

– Tańcząca woda – uśmiechnął się do La-Ja von Horst.

– Tak, to woda co odbiera mężczyznom rozum. Czasem robi z tchórzy odważnych ludzi i bestie z odważnych; i zawsze głupców ze wszystkich. Gaz dużo tego pije przed zabijaniem.

– Tamto to musi być drzewo śmierci – von Horst skinął ku pieńkowi, który niewolnicy kończyli ustawiać; teraz gromadzili wokół niego suchą trawę, liście i patyki.

– Drzewo śmierć! – szepnęła La-Ja. – Do czego ono?

– Dla mnie – powiedział porucznik.

– Ale jak? Nie rozumiem. Niemożliwe, żeby mieli zamiar... O nie, to niemożliwe.

– Ależ możliwe, La-Ja. Dziwne, nieprawdaż?

– Co jest dziwne?

– Że te istoty, tak bliskie zwierzętom, nie mogły same czegoś takiego wymyślić i zrealizować. Jedynie człowiek spośród wszystkich zwierząt potrafi dla zabawy wymyślać tortury.

– Nigdy o tym nie pomyślałam, ale to prawda. Prawdą jest także, że tylko człowiek wytwarza napój, co mu kradnie rozum i upodabnia go do bestii.

– Nie do bestii, La-Ja; czyni go bardziej ludzkim. Bo usuwa zahamowania i pozwala mu być sobą.

Nie odpowiedziała, lecz stała wpatrując się, zafascynowana, w pal pośrodku placu. Von Horst patrzył na jej uroczy profil, zastanawiając się, co też się dzieje w tym na wpół barbarzyńskim umyśle. Wiedział, że koniec

gwałtownie się zbliża, ale nie robił nic, żeby uciec przed okropną śmiercią, jaką szykowali mu niewolnicy. Gdyby miał na względzie tylko siebie, to spróbowałby się uwolnić i zginął w walce; ale była też dziewczyna. O wiele bardziej zależało mu na uratowaniu jej niż samego siebie.

Wokół nich ludzie-bizony tańczyli i porykiwali. Usłyszał, jak Kru woła:

– Ogień! Ogień! Dajcie nam ogień, byśmy tańczyli dokoła niego! Więcej tańczącej wody! Niewolnicy, przynieście więcej tańczącej wody!

Jedni niewolnicy napełnili tykwy i dzbany; inni rozpalili ogień w pobliżu pala i porykująca horda natychmiast zaczęła krążyć wokół. Po rozpaleniu ogniska ludzie-bizony stali się bardziej hałaśliwi i rozhukani, bardziej zwierzęcy. A po nowej porcji napitku odrzucili resztki cywilizacyjnej ogłady.

Z prawa i z lewa przewracali się na ziemię; ci, co jeszcze utrzymywali się w pionie byli tak pijani, że ledwo się trzymali na nogach. Potem ktoś zawołał:

– Gilak! Na śmierć-drzewo z nim!

Podchwycili to wszyscy, którzy jeszcze byli w stanie mówić i Kru chwiejnie ruszył ku von Horstowi.

– Na śmierć-drzewo z nim! – ryknął. – Dziewczyna! – zawołał, jakby ją sobie przypomniał dopiero teraz, kiedy ją zobaczył. – Chodź ze mną! Należysz do Kru – i wyciągnął po nią brudną łapę.

– Nie tak szybko! – rzekł von Horst, stając pomiędzy nimi.

Potem uderzył Kru w twarz, zbijając go z nóg, chwycił La-Ja za rękę i zaczął biec do wyjścia z wioski, które niewolnicy zostawili otwarte, kiedy wnosili drzewo i rozpałkę. Za nimi była cała horda ludzi-bizonów, ryczących z wściekłości, bo do ich otumanionych umysłów zaczęło docierać, że więźniowie usiłują uciec. Przed nimi byli niewolnicy. Czy spróbują ich powstrzymać? Von Horst puścił dłoń La-Ja i zdjął swój, teraz

bezużyteczny, pas z nabojami. Bez użyteczny? Nie całkiem. Niewolnik chciał go zatrzymać, a on uderzył go pasem w bok głowy i powalił.

To i jedno spojrzenie na minę von Horsta wystarczyło, żeby reszta niewolników zeszła mu z drogi. Lecz niektórzy ludzie-bizony ruszali już w pościg. Jeden rzut oka w tył upewnił porucznika, że albo on albo La-Ja zaraz ich zostawią za sobą. Mieli kłopoty z utrzymaniem się na nogach, a ci co jeszcze się na nich trzymali poruszali się tak chaotycznie, że pościg w ich wykonaniu był po prostu śmieszny. Niemniej nadciągali, a do bramki było daleko. Von Horst, ku swojemu rozczarowaniu, zobaczył, że niektórzy odzyskują równowagę. Lecz przez ten swój paskudny napitek większość z nich była bezradna. Jednakże paru połączyło siły i groźną grupką ścigali uciekinierów.

– Postaram się, żeby myśleli nie tylko o nas – rzekł von Horst i kiedy mijali buzujący ogień wrzucił w płomienie swój pas z nabojami.

Kiedy się zbliżali do bramki, znowu się odezwał do La-Ja.

– Biegnij. Spróbuję ich powstrzymać na chwilę lub dwie.

Potem gwałtownie się odwrócił ku nadbiegającym ludziom-bizonom. Tylko ze dwunastu było na tyle trzeźwych, żeby panować nad swoimi ruchami i trzymać się celu. Większość kołowała wokół ognia albo bezradnie leżała na ziemi; a nawet ta dwunastka niezbyt pewnie trzymała się na nogach.

Von Horst wypuścił strzałę ku najbliższemu ścigającemu. Trafił w brzuch i przeciwnik padł na ziemię, wrzeszcząc i porykując. Druga strzała powaliła następnego. Reszta była blisko, za blisko. Posłał strzałę w trzeciego i to ich zatrzymało, przynajmniej na chwilę. Potem zaczęły wybuchać wrzucone w ogień naboje. Przy pierwszym wybuchu ścigający się odwrócili, żeby zobaczyć, co wywołało ten dziwny dźwięk – w tej samej chwili von Horst gwałtownie się okręcił i pobiegł ku bramce.

Stwierdził, że La-Ja stoi tuż za nim – ale też się odwróciła i pobiegła, kiedy zobaczyła, że on mknie ku bramce.

– Chyba kazałem ci uciekać.

– I co by to dało, gdyby cię złapali albo zabili? Tylko by mnie znowu złapali. Ale nic by z tego nie mieli. Kru by mnie nie dostał.

Wtedy zobaczył, że ona trzyma w dłoni kamienny nóż i w gardle urosła mu gęła ze współczucia dla niej. Chciał ją przytulić na pocieszenie, ale kiedy się ucieka przed śmiercią nie można brać w ramiona kobiety, która cię nienawidzi.

– Przecież mogłaś uciec i dotrzeć do Lo-har.

– Nie tylko dotarcie do Lo-har się liczy na świecie – odparła zagadkowo.

Minęli już bramkę. Za nimi grzmiały wybuchające naboje i szaleńcze porykiwania ludzi-bizonów. Przed nimi rozciągała się pofałdowana, usiana drzewami dolina. Po swojej lewej mieli wielki las, po prawej – linię drzew u stóp niskich, zalesionych wzgórz.

Von Horst skierował się w prawo.

– Las jest bliżej – podpowiedziała La-Ja.

– Jest w złym kierunku – odparł. – Lo-har powinno leżeć w stronie, w którą idziemy. I leży, prawda?

– Tak, mniej więcej.

– Co ważniejsze, jeśli wejdziemy w wielki las, to się raz dwa zgubimy i nie wiadomo, gdzie wyjdziemy.

La-Ja spojrzała za siebie.

– Zaczynają nas doganiać – powiedziała. – Są bardzo szybcy.

Von Horst uświadomił sobie, że nigdy nie dotrą do wzgórz przed ścigającymi, że próba wyrwania się na wolność tylko opóźniła

nieuniknione.

– Zostało mi jeszcze parę strzał. Możemy biec póki nas nie dogonią. Coś się może wydarzyć, jakiś cud i to musi być cud. Jeśli nic się nie stanie, to możemy się bronić. Może zabiłbym tyłu, żeby reszta się cofnęła, a my znowu pognalibyśmy ku klifom.

– Nic z tego. Popatrz ku wiosce.

Von Horst aż gwizdnął. Z bramki wysypywali się kolejni wojownicy. Kru najwyraźniej posyłał wszystkich, co się mogli utrzymać na nogach, żeby dołączyli do pościgu.

– Wygląda na ciężką zimę – stwierdził.

– Zima? – zapytała La-Ja. – Widzę tylko Ganaków. Gdzie jest zima?

Była zdyszana i mówiła urywanym głosem.

– Dajmy temu spokój. Oszczędzajmy oddech na bieg.

Całą energię poświęcili na odsadzenie się od ludzi-bizonów; ale bez większej nadziei. Pościg stale się zbliżał; jednak zbliżali się do klifów i niewielkiego lasu, który je na wprost przesłaniał.

Von Horst nie wiedział, skąd mu się brała pewność, że będą uratowani, jeśli dotrą do klifów – jednak ją czuł i umacniało ją to, że ludzie-bizony najwyraźniej chcieli ich dogonić najszybciej jak się da. Gdyby wiedzieli, że zbiedzy im się nie wymkną nawet wtedy, kiedy dotrą do wzgórz, to by się tak nie spieszyli, biegliby wolniej, nie wysilaliby się tak.

La-Ja potknęła się i upadła. Von Horst zawrócił i natychmiast znalazł się przy niej. Kiedy pomagał jej wstać, wydała mu się bardzo słaba.

– To na nic – powiedziała. – Nie mogę dalej biec. Długo uciekałam od Skrufa, ani do syta nie jedząc, ani porządnie nie wypoczywając. Osłabłam. Idź beze mnie. W pojedynkę łatwo się uratujesz. Już nic nie możesz dla mnie zrobić.

– Nie trap się – odrzekł. – Tu się będziemy bronić. I tak wkrótce musielibyśmy to zrobić.

Odwrócił się, żeby popatrzeć na nadbiegające pół-zwierzęta. Za moment będą w zasięgu łuku. Było ich dziewięciu, a jemu zostało sześć strzał. Gdyby powalił sześciu ścigających, to mógłby zwieść trzech pozostałych; ale co z chmarą, idącą od wioski w górę doliny?

Rozmyślał, jak daremna była w takim przypadku jego obrona, kiedy nagle coś kazało mu się odwrócić i spojrzeć na La-Ja. Było to jedno z tych dziwnych, psychicznych zjawisk, jakich doświadczyła większość z nas, a które większość uczonych ośmiesza. Siła, która kazała von Horstowi się odwrócić, była niemal fizyczna, tak potężnie i stanowczo na niego podziałała. Kiedy się odwrócił, krzyknął z przerażeniem, skoczył i chwycił La-Ja za prawy przegub.

– La-Ja! – zawołał. – Dzięki Bogu, że cię zobaczyłem – wyrwał jej z palców kamienny nóż i puścił dłoń dziewczyny; oblał się zimnym potem i cały się trząsnął. – Jak mogłaś, La-Ja? Jak mogłaś?

– Tak byłoby najlepiej – odpowiedziała. – Gdybym była martwa, mógłbyś uciec. Wkrótce nas złapią i wtedy obydwójce umrzemy; bo oni zabiją ciebie, a ja zabiję się sama. Nie pozwolę, żeby Kru mnie wziął.

– Nie – von Horst na to. – To prawda, ale poczekaj, aż już nie będzie nadziei.

– Już nie ma. I tak już za dużo dla mnie zrobiłeś. Ja mogę tylko cię uwolnić, żebyś się uratował. Oddaj nóż.

Von Horst potrząsnął głową.

– Jak ucieknę przed Kru, kiedy mnie złapią i nie będę miała noża?

– Oddam ci go, jeżeli obiecasz, że tego nie zrobisz póki nie umrę. Póki żyję, póty jest nadzieja.

– Obiecuję. Nie chcę umierać. Po prostu chciałam cię ocalić.

– Bo mnie nienawidzisz? – uśmiechnął się kącikiem ust.

– Być może – odparła bez uśmiechu. – Może nie chcę mieć takich zobowiązań wobec kogoś, kogo nie lubię; a może...

Oddał jej nóż.

– Obiecałaś – przypomniał jej.

– Dotrzymam obietnicy. Patrz, są bardzo blisko.

Odwrócił się i przekonał, że ludzie-bizony są niemal w zasięgu łuku. Nasadził strzałę i czekał. Zobaczyli to i zwolnili. Rozsypali się na boki, żeby być trudniejszym celem. Nie podejrzewał ich o taki rozsądek.

– Zdejmę parę! – zawołał do La-Ja. – Pobiegnij do klifów. Uważam, że dasz radę. Na jakiś czas ich powstrzymam.

Dziewczyna nie odpowiedziała, a on nie mógł spuścić z oka ludzi-bizonów na tak długo, żeby się ku niej odwrócić. Łuk zaśpiewał. Mężczyzna-bizon wrzasnął i upadł.

– Jestem coraz lepszym łucznikiem – skomentował na głos.

Ten poryw dziecięcej dumy na progu śmierci go rozbawił i uśmiechnął się. Pomyślał, że gdyby był w domu, mógłby występować na jarmarkach. Może nawet by się nauczył strzelać do tyłu patrząc w lustro (widział, jak to robią mistrzowie strzelectwa). To wszystko było bardzo zabawne. Wyobraził sobie zakłopotanie kolegów oficerów i innych przyjaciół na widok dużego, barwnego afisza, zapowiadającego występ „porucznika Fredericha Wilhelma Erica von Mendeldorfa und von Horsta, mistrza świata w łucznictwie; wstęp 25 fenigów”.

Wciąż się uśmiechając wypuścił kolejną strzałę.

– Chyba mogę żądać więcej za wstęp – dumął, kiedy padł następny człowiek-bizon. – Dobry jestem.

La-Ja rozpaczliwym okrzykiem przerwała mu te przyjemne rozmyślenia.

– Tandor się zbliża, Von! – zawołała. – Idzie na nas. Ogon ma zadarty i idzie prosto na nas. To musi być stary samiec, który oszalał. Są okropne.

Von Horst spojrział za siebie. Tak, nadciągał mamut i prosto jak strzała szedł w ich stronę. Nie było wątpliwości, że ich zauważył i teraz szykował się do ataku. Kiedy się znajdzie bliżej zatrąbi, postawi uszy i ogon i trąbę i ruszy na nich niczym lokomotywa, co się wyrwała spod kontroli. Nie będzie ucieczki – ludzie-bizony przed nimi, oszalały mamut z tyłu!

– To raczej nie jest nasz szczęśliwy dzień – stwierdził.

– Dzień? – zainteresowała się La-Ja. – Co to jest dzień?

Ludzie-bizony obserwowali mamuta. Za nimi szybko się zbliżali ich towarzysze. Wkrótce będzie ich setka. Von Horst się zastanawiał, czy stawiać opór atakowi mamuta. Nie mieli broni. Jak się będą bronić? Potem obejrzał się na mamuta i serce забиło mu mocniej. Olbrzym był teraz całkiem blisko i szykował się do ataku. Porucznik wyraźnie widział łatę białej sierści na lewym policzku. Wydał okrzyk tak znajomy wielkiemu zwierzowi. W tej samej chwili wielka trąba powędrowała w górę, gromkie trąbienie wstrząsnęło powietrzem i Stary Białas zaatakował.

Von Horst objął La-Ja i stał na drodze gigantycznego monstrum. Czyżby Stary Białas go nie poznał? A może naprawdę oszalał i zabijał wszystko jedno kogo, dla samego zabijania?

Dziewczyna przywarła do porucznika. Czuł jej ramiona wokół swojej szyi, jędrne młode piersi przyciśnięte do swojego ciała i pogodził się z losem. Jeśli ma teraz umrzeć, to nie mógłby wybrać szczęśliwego końca – w ramionach kobiety, którą kochał.

Stary Białas, wrzeszcząc z furii, minął ich o włos, tak blisko, że omal ich nie przewrócił i runął na ludzi-bizonów. Rozbiegli się, ale nie uciekli. I wtedy von Horst zobaczył, jak walczą z potężnym tandorem.

Odskoczyli, potem przyskoczyli, bodąc z boków w brzuch wielkiego zwierza, kiedy przebiegał obok nich. Przewracali się, ale natychmiast znowu się podrywali na nogi. Grupa zwabiała Starego Białasa w jedną stronę, a pięćdziesięciu Ganaków rzuciło się na niego z obu boków i z tyłu, próbując go pokaleczyć twardymi rogami. Może w ten sposób powalali inne mamuty, lecz Stary Białas nie był jak one. Kiedy poczuł, jak rogi orzą mu twardą skórę, przestał atakować. I nie pozwolił, żeby któryś z nich znowu się znalazł za nim. Zbliżał się do nich powoli, przypominając von Horstowi wielkiego kocura, skradającego się do ptaka. Ludzie-bizony czekali na szarżę, gotowi uskoczyć w bok, a potem przyskoczyć i go poranić; ale nie zaatakował. Podeszedł blisko i zrobił krótki, szybki wypad – pochwycił mężczyznę-bizona, podniósł wysoko ponad swoją głowę i z ogromną siłą cisnął w jego pobratymców, powalając kilkunastu. Zanim się zdążyli pozbierać, Stary Białas był wśród nich, tratując i rzucając nimi, póki ci, co zdążyli mu ująć, nie pognali ku wiosce ile sił w nogach.

Mamut ścigał ich krótko, chwytając paru maruderów i ciskając nimi przed siebie, w wystraszoną, porykującą horde. Potem zawrócił i podeszedł ku von Horstowi i dziewczynie swoim powolnym, rozkołysanym krokiem.

– Teraz nas zabije! – krzyknęła La-Ja. – Czemu nie uciekliśmy, póki mieliśmy szansę?

PORZUCONY

- Nic nam nie zrobi – zapewnił ją von Horst.
- Skąd wiesz? Widziałeś, co zrobił Ganakom.
- Jesteśmy przyjaciółmi, Stary Białas i ja.
- To nie czas, żeby się śmiać słowami – oburzyła się. – To bardzo odważne, ale nierozsądne.

Mamut się do nich zbliżał. La-Ja odruchowo mocno przyłgnęła do von Horsta. Otoczył ją opiekuńczo ramieniem i jeszcze mocniej przytulił. Nie miał wątpliwości, że to jej postępowanie zadaje kłam częstym zapewnieniom, że go nie lubi i zastanawiał się, czy strach mógł tak szybko pokonać jej dumę. To w ogóle nie pasowało do La-Ja. Był zdumiony, ale nie miał zamiaru za bardzo dociekać, co ją wepchnęło w jego ramiona. Sam fakt wystarczał. Mógł tylko zapisać w pamięci, że ma kolejny dług wdzięczności wobec Starego Białasa.

Mamut zatrzymał się przed nimi. Jakby się dziwił obecności dziewczyny. Von Horst się bał, że wielkie, dzikie zwierzę mogłoby jej nie

zaakceptować. Znało tylko jednego człowieka-przyjaciela. Wszyscy inni ludzie byli wrogami, których należało zabić. Człowiek mówił do niego i głaskał trąbę, z wahaniem wyciągającą się ku dziewczynie. Potem nakazał, żeby mamut posadził ich sobie na grzbiecie. Moment wahania, kiedy wrażliwy czubek trąby powoli owijał się wokół La-Ja. Dziewczyna nie drgnęła. Von Horst był jej za to wdzięczny. Jakaż była dzielna! Trąba owinęła się wokół nich i ramiona dziewczyny znowu objęły szyję mężczyzny. Stary Białas wzmocnił chwyt. Von Horst powtórzył komendę, żeby ich podnieść – oderwali się od ziemi i znaleźli tuż za wielką głową mamuta. Na rozkaz porucznika mamut ruszył w kierunku Lo-har.

La-Ja leciutko westchnęła.

– Nie rozumiem. Jak potrafisz sprawić, żeby wielki tandor robił, co mu każesz?

Von Horst opowiedział jej o swoim pierwszym spotkaniu ze Starym Białasem i o wszystkim, co się potem działo – swojej niewoli u ludzi-mamutów, o małym kanionie, o ucieczce.

– Widziałam, jak zaatakowałaś Fruga. A potem Skruf zawlókł mnie za rzekę i nie wiedziałam, czy zabił cię Frug, czy ludzie-mamuty. Albo czy oni cię porwali. Skruf ukrył mnie w jaskini nad rzeką. Zakneblował mnie, żebym nie mogła krzyknąć i przyciągnąć uwagę ludzi-mamutów. Słyszeliśmy, jak nas szukają. Wolałabym już, żeby to oni mnie porwali, niż wrócić do Basti i Skruf o tym wiedział. Pomyślałam, że może i ciebie uwięzili.

Szybko się ugryzła w język, jakby jej się to bezwiednie wyrwało.

– Rozumie się, że nic mnie to nie obchodziło. Miałam na myśli tylko to, że kraina ludzi-mamutów jest o wiele bliżej Lo-har niż Basti. Nie chciałam, żeby mnie znowu zabrali do Basti. Długo się ukrywaliśmy, potem wyruszyliśmy, ale przy pierwszym śnie uciekłam. Tak mnie luźno związał

rzemieniami, że uwolniłam ręce. Uciekałam ku Lo-har. Przeszłam długą drogę i myślałam już, że jestem bezpieczna. Spałam wiele razy, więc wiedziałam, że musiałam daleko zawędrować. Miałam dużo szczęścia. Spotkałam tylko paru zjadaczy mięsa i zawsze wtedy było się gdzie schować – drzewo, albo jaskinia z bardzo wąskim wejściem. Nie widziałam żadnego człowieka, póki się kiedyś nie obejrzałam za siebie ze szczytu niewielkiego wzgórza i nie ujrzałam idącego moim śladem Skrufa. Był daleko za mną, ale od razu go poznałam. Zobaczył mnie. Nie było wątpliwości, że mnie zobaczył, bo nagle się zatrzymał i przez chwilę stał bez ruchu. Potem ruszył za mną truchtem. Odwróciłam się i pobiegłam. W każdy znany mi sposób próbowałam zmylić trop i po długim czasie uznałam, że mi się udało. Ale nie. Napadł mnie, kiedy spałam i zaczął mnie wlec do Basti. To wtedy znaleźli nas ludzie-bizony. Resztę znasz.

– Przeżyłaś ciężkie chwile, La-Ja – powiedział von Horst. – Nie rozumiem, jak ci się udało ująć z życiem.

– A ja myślę, że miałam łatwo – odpowiedziała. – Bardzo mało dziewcząt, uprowadzonych z plemienia, ucieka swoim porywaczom. Wiele z nich zostaje zabitych. Inne muszą się łączyć z mężczyznami, których nie lubią. Tego bym nie zrobiła. Prędzej bym się zabiła. Uważam, że mam wielkie szczęście.

– Ale pomyśl o tych wszystkich niebezpieczeństwach i trudnościach, którym musiałaś stawić czoło – upierał się von Horst.

– O tak – przyznała. – Nie jest łatwo zawsze być samotną wśród wrogów. To nie jest przyjemne, ale wcale nie było aż tyle zagrożeń. Gorbussy były najgorsze. Nie znosiłam ich.

Von Horst był zaskoczony. Wydawało się nie do uwierzenia, żeby dziewczyna przeszła przez to, co La-Ja i nie stała się kłębkim nerwów, a przecież ona najwyraźniej traktowała to wszystko jako rzecz naturalną.

Trudno mu było nie porównywać jej z dziewczynami ze swojego świata i zapomnieć w jak odmiennym środowisku żyje. Tam, gdzie one stąpały swobodnie, ona byłaby równie przerażona, jak one w Pellucidarze – chociaż trudno było sobie wyobrazić La-Ja przerażoną w jakichkolwiek okolicznościach.

Często lubił sobie wyobrażać, że zabiera ją ze sobą do zewnętrznego świata. Było tam tyle rzeczy, dla niego banalnych, które by ją zdumiały – jej pierwsza podróż pociągiem, samochodem, samolotem; widok wielkich budynków; olbrzymie liniowce; wielkie miasta. Próbował sobie wyobrazić, jak zareagowałby ktoś, kto nigdy tego nie widział, nawet nie śnił, że coś takiego istnieje.

Wiele rzeczy uznałaby za głupie i niepraktyczne – chodzenie w butach na wysokich obcasach, które by ją cisnęły w stopy; noszenie futer, kiedy nie jest zimno czy ubieranie się ciepło w dzień a chodzenie półnago w nocy. Wszystkie ubrania by jej przeszkadzały; nie podobałyby się jej. Ale z tak piękną twarzą i figurą, taka dumna i taka kobieca wkrótce by do nich przywykła; był tego całkiem pewien.

Biedna mała La-Ja! Jaką zbrodnią byłoby pozwolić, żeby cywilizacja ją skaziła! Lecz nie musiał się tym martwić. Nie będzie jego nawet w Pellucidarze; i mało prawdopodobne, żeby on sam powrócił kiedyś do zewnętrznego świata – a tym bardziej zabrał tam ze sobą ją lub kogoś innego.

Takimi marzeniami i zdawkowymi rozmowami z La-Ja umiłował sobie czas, kiedy Stary Białas niósł ich w stronę Lo-har. Nawet większe drapieżniki, które po drodze spotykali, schodziły z drogi ogromnemu samcowi-mamutowi – toteż podróż mieli spokojną, bez stałego zagrożenia ze strony tych dzikich drapieżców, którzy by ich nieustannie nękali, gdyby szli pieszo.

Spali trzy razy i jedli kilka razy, kiedy La-Ja oznajmiła, że zbliżają się do Lo-har. Zatrzymali się, żeby wypocząć i przespać się – to miał być ostatni sen przed Lo-har i dziewczyna wydawała się zaabsorbowana i przybita. Podczas tej ostatniej wspólnej podróży była przyjazna i towarzyska, więc von Horst nabrał nadziei; chociaż musiał przyznać sam przed sobą, że nie dała mu powodu wierzyć, że nie tylko go toleruje. Mimo to był bardzo szczęśliwy – szczęśliwszy niż był od wejścia w ten dziwny świat; a może i szczęśliwszy niż kiedykolwiek, bo nigdy przedtem nie był zakochany.

Znaleźli miejsce na postój i Horst poszedł na równinę, gdzie strzałą z łuku zabił małą antylopę. Teraz piekli kawałki mięsa nad niewielkim ogniskiem. Stary Białas poszedł powoli do kępy młodych drzewek i szybko ogałacał je z listowia. Stożące w zenicie słońce prażyło otwartą równinę, przy której rozbili obóz i na której spokojnie pasły się ogromne stada, chwilowo nie niepokozone przez żadnego polującego drapieżcę.

Von Horst był świadomy spokoju i zadowolenia, unoszących się nad tą sceną jak biały obłok nad morzem podczas lata i jego nastrój z tym współgrał. Wpatrywał się w La-Ja, pożerając ją wzrokiem, bliski wyznania przepelniającego go uczucia. Odwróciła się i napotkała jego wzrok; przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem popatrzyła na równinę i wskazała.

– Kiedy jutro wyruszymy, pójdę w tamtym kierunku, sama.

– Co ty mówisz? Nie tam leży Lo-har; jest wprost przed nami. I w tę stronę szliśmy.

– Po naszej lewej jest wielkie jezioro – wyjaśniła. – Musielibyśmy je obejść. Nie zobaczysz go stąd, bo leży w głębokiej niecce, otoczonej klifami.

– Nie pójdziesz sama. Idę z tobą.

– Czyż nie powiedziałam ci jasno wiele razy, że nie chcę, żebyś ze mną poszedł? Ile razy muszę ci powtarzać, że cię nie lubię? Odejdź i zostaw mnie. Pozwól mi spokojnie wrócić do moich ludzi.

Von Horst poczerwieniał. Już miał na języku gorzkie słowa, ale je przełknął. Wykrztusił tylko:

– Idę z tobą, bo... bo... bo nie możesz iść sama.

La-Ja wstała.

– Nie potrzebuję cię i nie chcę – oznajmiła, a potem położyła się w cieniu drzewa, żeby się przespać.

Von Horst siedział, zamyślony i nieszczęśliwy. Stary Białas skończył jeść, napił się ze strumienia obok obozu i stanął pod najbliższym drzewem – drzemał. Von Horst wiedział, że mamut tam pozostanie i będzie lepszym strażnikiem niż każdy z ludzi; toteż wyciągnął się na ziemi i raz dwa zasnął.

Kiedy się obudził, Stary Białas nadal stał w cieniu; wielkie kudłate cielsko łagodnie się kołysało. Stada wciąż się pasły na rozległej równinie. Wiszące w zenicie słońce wciąż pogodnie oświetlało tę spokojną scenę. Mógł spać nie dłużej niż minutę; albo, uświadomił to sobie, mógł przespać tydzień wedle czasu zewnętrznego świata. Rozejrzał się za La-Ja. Nie było jej tam, gdzie ją ostatnio widział. Poderwał się, tknięty złym przeczuciem. Pospiesznie spojrział we wszystkie strony. Dziewczyny nigdzie nie było widać. Wiele razy wykrzykiwał jej imię, ale odpowiedzi nie było.

Potem poszedł tam, gdzie spała i obejrzał ziemię w pobliżu obozowiska. Nic nie wskazywało, że oprócz nich był tam jakiś inny człowiek czy zwierzę; lecz nie było w tym nic dziwnego, bo trawa, mocno wygryziona przez pasące się stada, nie zachowywałaby śladów ludzkich stóp.

Odrzucił możliwość, że La-Ja uprowadził siłą jakiś człowiek lub zwierzę. Gdyby jej to groziło, to by go wołała na pomoc, a Stary Białas z pewnością obroniłby obozowisko przed każdym intruzem.

Było tylko jedno wyjaśnienie – La-Ja odeszła sama, wymknęła się. Powiedziała mu, że nie chce, żeby z nią szedł. Ponieważ się upierał, że i tak pójdzie, to nie pozostawało jej nic innego niż to, co zrobiła – po prostu od niego uciekła.

Uraziła jego dumę, ale to było nic w porównaniu z bólem serca. Świat mu się zawalił. Nie miał po co żyć. Cóż miał robić? Gdzie pójść? Nie miał pojęcia, gdzie leży Sari, a jedynie tam mógłby odnaleźć swojego jedynego przyjaciela w tym rozległym, barbarzyńskim świecie. Tylko przez chwilę był niezdecydowany; potem zawołał Starego Białasa, który na jego rozkaz posadził go sobie na grzbiecie. Kiedy mamut ruszył, von Horst poprowadził go w nowym kierunku, który La-Ja wskazała, zanim zasnęli. Podjął decyzję. Pójdzie do Lo-har. Póki życia nie zrezygnuje ze zdobycia kobiety, którą kochał.

Pospieszał Starego Białasa w nadziei, że dogoni dziewczynę. Nie wiedział, ile spał, więc nie miał pojęcia, jak daleko przed nim mogła być. Powiedziała mu, że Lo-har leży o jeden marsz od ich ostatniego postoju, a szli i szli, aż o mało nie padł ze zmęczenia. Na koniec Stary Białas odmówił dalszego marszu bez odpoczynku – i nigdzie nie było śladu La-Ja, jakiejś wioski, czy choćby wielkiego jeziora, które wedle niej powinni obejść.

Zastanawiał się, czy szukali w dobrym kierunku: bo było całkiem możliwe, że wioska leży w lewo lub w prawo od linii jego marszu. Ale wydawało się dziwne, że mógłby przejść w pobliżu jakiejś wioski i nie dostrzec śladu człowieka. Łowcy zawsze byli w terenie, a widok obcego by ich przywabił – sprawdzić kto to, a może i zabić. Liczył jednak, że znajomość z La-Ja zagwarantuje mu pokojową rozmowę z jej ojcem, wodzem Brunem; zamierzał poprosić o przyjęcie do plemienia.

Wreszcie musiał się zatrzymać, żeby Stary Białas mógł się pożywić i odpocząć; dopiero wtedy, kiedy się zatrzymali nad strumieniem,

uświadomił sobie, jak bardzo on sam potrzebował jedzenia i snu. Zabrał ze sobą, zawinięte w skórę, kawałki mięsa antylopy, którą upolował na ostatnim postoju – mięsem i owocami zaspokoił głód, a potem zasnął.

Musiał długo spać, bo był bardzo zmęczony; bezpieczny pod czujną strażą Starego Białasa spał spokojnie i mocno. Kiedy się obudził, coś dotykało jego piersi. Nie od razu otworzył oczy, bo rozpoznał dotyk wilgotnego koniuszka trąby Starego Białasa. Po prostu sobie leżał, rozkoszując się krótkimi, leniwymi chwilami pomiędzy snem a jawą. Ale świadomość wróciła, przejmując kontrolę nad wszystkimi zmysłami i stopniowo poczuł woń, nie będącą wonią Starego Białasa. To był mocny, ostry zapach. Powoli otworzył oczy.

I zdrętwiał, bo rozpoznał stworzenie stojące nad nim i obwąchujące go wilgotnym nosem. To było największe i najbardziej przerażające ze wszystkich drapieżnych zwierząt Pellucidaru – ryth, olbrzymi niedźwiedź jaskiniowy, od dawna wymarły w zewnętrznym świecie. Zamknął oczy i udawał martwego, bo słyszał, że niedźwiedź nie ruszy martwego zwierzęcia, którego sam nie zabił. Poważnie wątpił w prawdziwość tej opowieści, no ale była to przysłowiowa słomka – i jedyna. Mógł tylko leżeć i liczyć na szczęście.

Nos się cofnął. Słyszać było wyłącznie oddech zwierzęcia. Co robiło? Niepewność doprowadzała do amoku i wreszcie nie mógł tego dłużej znosić. Niedźwiedź stał nad nim; głowę odwrócił w bok, patrzył, nasłuchiwał, węszył. Von Horst leżał w niewielkim zagłębieniu pod rozłożystym drzewem. Niewiele widział w tej stronie, w którą patrzył niedźwiedź. Zwierzę mogło zobaczyć co najwyżej szczyt łagodnego stoku, schodzącego ku brzegowi strumienia, przy którym leżał porucznik; ale musiało wywęszyć lub usłyszeć coś zbliżającego się.

Von Horst pomyślał, że to pewnie powracający Stary Białas. Musiał bardziej niż zazwyczaj oddalić się od postoju. Kiedy wróci i zobaczy rytha, zagrażającego przyjacielowi, rozpęta się zażarta walka. Porucznik wiedział, że Stary Białas niczego się nie boi; wiedział też, że potężny niedźwiedź jaskiniowy słynął z wojowniczości i odwagi. Słyszał, że to potężne zwierzę mogło zabić mamuta jednym ciosem mocarnej łapy; lecz Stary Białas nie był jakimś tam mamutem, on był MAMUTEM. Ludzie-mamuty twierdzili, że nigdy nie było mamuta dorównującego mu rozmiarami, walecznością i bystrością. A potem na szczycie wzniesienia ukazał się człowiek; zobaczyli go równocześnie i niedźwiedź i von Horst. Schodził stokiem, ale nie wprost na nich; jeszcze ich nie zauważył, bo krył ich gęsty cień drzewa.

Był w połowie stoku i von Horst sądził, że niedźwiedź pozwoli mu przejść, kiedy tamten ich zobaczył. W tej samej chwili porucznik go rozpoznał. To był Daj, młody wojownik z Lo-har, którego poznał w małym kanionie w Ja-ru, krainie ludzi-mamutów.

Kiedy Daj zobaczył niedźwiedzia, rozejrzał się za najbliższym drzewem. To była dla człowieka jedyna obrona przed takim zwierzem. Ruszył biegiem, a wtedy niedźwiedź ogłuszająco zaryczał i pognał ku niemu. Von Horst skoczył na równe nogi. Był uratowany, bo teraz mógł się wdrapać na drzewo zanim zwierzę zawróci i go dopadnie. Ale co z Dajem? Najbliższe drzewo było trochę za daleko, żeby zdołał do niego dobiec, zanim niedźwiedź go dogoni; Daj wyęczał wszystkie siły, żeby zdążyć..

Kiedy von Horst wstawał, podniósł łuk i strzały, leżące na ziemi obok niego. Ujrzał w nich szansę na ocalenie Daja. Nasadził strzałę na cięciwę, wycelował i wypuścił ją. Pocisk wbił się głęboko w zad niedźwiedzia. Zwierzę ryknęło z bólu i wściekłości i pomimo wielkiego cielska szybko i zwinnie zawróciło, szukając wzrokiem zuchwalca, który się ośmielił je zaatakować – i natychmiast ruszyło na von Horsta.

Uratował Daję, ale chyba przecenił swoje bezpieczeństwo, bo nie wziął pod uwagę zwinności i szybkości gigantycznego rytha.

Kiedy wypuścił pierwszą strzałę, od razu nasadził drugą na cięciwę i teraz wypuścił i ją; potem rzucił łuk na ziemię i podskoczył ku wiszącej nad nim gałęzi drzewa. Nie wiedział, czy trafił czy nie. Niedźwiedź nie zwolnił, tylko pędził wprost na niego. Poczul na nogach, kiedy je podciągał na drzewo, powiew powietrza przeciętego pazurami bestii. Głęboko westchnął z ulgi, że zdołał uciec z tak na pozór beznadziejnej sytuacji.

Spojrzał w dół – niedźwiedź stał pod nim i uderzał łapą w upierzone drzewce, sterczące mu z lewej strony piersi. Ryczał, ale już nie tak gromko i krew płynęła mu z pyska. Von Horst przekonał się, że drugą strzałą poważnie go ranił; chociaż raczej nie była to śmiertelna rana. Te mocarne, prehistoryczne stworzenia krzepko trzymały się życia.

Niedźwiedź energicznie uderzał łapą w drzewce, potem upadł, dostał spazmatycznych drgawek i znieruchomiał. Von Horst uznał, że pewnie sam sobie wbił strzałę w serce; ale nie od razu zszedł na ziemię. Rozejrzał się za Dajem, ale go nigdzie nie zobaczył; liście przeszkadzały. Wykrzyknął jego imię.

– Kim jesteś? – nadeszła odpowiedź.

– Ludzie-mamuty nazywali mnie Von. Poznaliśmy się w małym kanionie. Przypominasz mnie sobie?

– Tak. Dzięki tobie tamtego dnia unikałem śmierci. Nie mógłbym cię zapomnieć. Co się stało niedźwiedziowi? Leży. Wygląda na to, że jest martwy, ale co mogło go zabić?

– Poczekaj, aż się upewnię, że nie żyje – ostrzegł von Horst. – Jeśli tak, to zejdziemy.

Kamiennym nożem odciął gałąź i rzucił nią w niedźwiedzia. Zwierzę nie zareagowało, von Horst uznał, że jest martwe i zsunął się na ziemię.

Kiedy zbierał swoją broń, podszedł do niego Daj, przyjaźnie uśmiechnięty.

– I znowu ocaliłeś mi życie – powiedział. – Nie wiem dlaczego, bo na pewno nie jesteśmy z tego samego plemienia.

– Jesteśmy tej samej rasy – odparł von Horst. – Obaj jesteśmy gilakami. Pellucidarczyk wzruszył ramionami.

– Gdyby wszyscy tak uważali, to w Pellucidarze byłoby zbyt wielu gilaków i wkrótce by wybili całą zwierzynę.

Von Horst uśmiechnął się, myśląc o rozległych terenach wewnętrznego świata z garstką mieszkańców i o przeludnionych miejskich slumsach zewnętrznego świata.

– Oby dla dobra wszystkich gilaków Pellucidaru, nigdy wam nie wmówiono braterstwa ludzi.

– Nie wiem, o czym mówisz – przyznał Daj. – Ale chciałbym wiedzieć, co zabiło rytha.

Von Horst pokazał mu okrwawioną strzałę, którą wyciągnął z truchła.

– Ta w piersi go zabiła – powiedział. – Przebiła mu serce.

– Te małe kawałeczki drewna zabiły rytha! – wykrzyknął Daj.

– Plus wiele szczęścia – uściślił von Horst. – Ale jeśli jedną z nich trafisz jakież stworzenie prosto w serce, to zabije.

– Tak, ale jak ją w nie wbiłeś? Nie mogłeś podejść tak blisko rytha, żeby ją wbić, bo by cię zabił, a są za lekkie, żeby nimi rzucać jak dzidą.

Von Horst pokazał Dajowi swój łuk i wyjaśnił jak go używać. Pellucidarczyk był bardzo zaciekawiony. Obejrzał go i oddał.

– Lepiej stąd chodźmy – powiedział. – Ten ryth polował na równinie. Jego partnerka może gdzieś tu być. Jeśli nie wróci, to pójdzie jego śladem aż go znajdzie. To nie jest dobre miejsce.

– Gdzie idziesz? – zapytał von Horst.

– Do Lo-har – odparł Daj. – Wiele razy spałem w drodze z Ja-ru, ale teraz powinienem tam dotrzeć po trzech lub czterech kolejnych snach.

– Trzech lub czterech? – spytał porucznik. – Myślałem, że byłem bardzo blisko Lo-har.

– Nie – powiedział Daj. – Ale gdzie idziesz?

– Do Lo-har – odpowiedział von Horst.

– Czemu?

– Nie mam gdzie iść. Jestem z innego świata, do którego pewnie nie będę mógł wrócić. Znam w Sari kogoś, kto mógłby być moim przyjacielem, ale nie mogę znaleźć tam drogi. W Lo-har znam dwoje ludzi, którzy chyba mnie nie zniechęcą. Idę tam poprosić Bruna, żeby mnie przyjął do plemienia.

– Kogo znasz w Lo-har?

– Ciebie i La-Ja.

Daj podrapał się w głowę.

– Brun pewnie kazałby cię zabić. A jeśli nie, to Gaz by cię zabił. Ale jeśli chcesz iść do Lo-har, to cię tam zabiorę. Równie dobrze możesz umrzeć tam, jak gdzie indziej.



GAZ

Trzy długie marsze w stronę, z której dopiero co przyszedł, zaprowadziły von Horsta i Daja w miejsce, w którym La-Ja porzuciła tego pierwszego i przekonały go, że dziewczyna umyślnie wskazała mu zły kierunek. Świadomość jej czynu, w połączeniu z ucieczką Starego Białasa, tak go podłamała, że poważnie myślał o zrezygnowaniu z najwyraźniej daremnego pościgu za La-Ja. Lecz kiedy się wyspali i Daj był gotowy do drogi, to von Horst z nim poszedł – chociaż jego przygnębienie jeszcze się pogłębiło, kiedy się przekonał, że szlak do Lo-har był tym, którym szli z La-Ja do chwili, kiedy go posłała w złym kierunku. Jeden długi marsz zaprowadził ich do piaskowcowego kanionu i naskalnych domostw Lo-har, gdzie witano Daja z większą radością i entuzjazmem, niż von Horst się przyzwyczaił. Lecz wobec niego byli podejrzliwi i nieufni, patrzyli na niego wrogo, kiedy Daj niezliczone razy tłumaczył, że ten obcy jest przyjacielem, który go uwolnił z niewoli i dwa razy uratował mu życie.

– Czego szuka w Lo-har? – zapytał strażnik, który jako pierwszy zatrzymał ich w bezpiecznej odległości od wioski i to pytanie powtarzali inni, w miarę jak się do wioski zbliżali.

Daj w odpowiedzi tłumaczył, że von Horst jest wielkim wojownikiem z innego świata, chcącym zamieszkać w Lo-har, dołączyć do plemienia. Zaś von Horst, nie zwracając uwagi na rozlegające się wokół niego pomruki i mamrotanie, cały czas wypatrywał La-Ja.

– Gdzie jest Brun? – zapytał Daj. – Zdecyduje, czy obcy może zostać czy nie.

– Bruna tu nie ma – odpowiedział wojownik.

– A gdzie jest?

– Może i nie żyje. Wiele snów minęło od kiedy wyruszył na poszukiwanie La-Ja, swojej córki.

– To kto jest teraz wodzem? – zaciekawił się Daj.

– Gaz – brzmiała odpowiedź.

Daj był zdziwiony i zaskoczony.

– Wojownicy go wybrali? – zapytał.

Wojownik potrząsnął głową.

– Nie. Zagarnął władzę, grożąc, że zabije każdego, kto się sprzeciwi. Gaz to mocarny mężczyzna. Do tej pory nikt nie zakwestionował jego prawa do władzy; choć wielu by to zrobiło, gdyby się nie bali, bo nie jesteśmy szczęśliwi pod jego władaniem.

– Gdzie jest Gaz? – Daj przeszukiwał wzrokiem wioskę.

– Poszedł za La-Ja.

Von Horst natychmiast zrobił się czujny i baczny.

– Dokąd poszła? – zapytał.

Wojownik i Daj spojrzeli na niego pytająco, bo Daj nie wiedział, że porucznik kocha La-Ja.

– Czemu chcesz to wiedzieć, obcy przybyszu? – zapytał podejrzliwie wojownik.

– Gdy się dowiem, gdzie poszła kobieta, znajdę mężczyznę.

Daj i wojownik potaknęli.

– Też prawda – zgodził się Daj, a potem zadał pytanie, które von Horst chciał zadać, ale się nie ośmielił. – Czemu Gaz poszedł za La-Ja? Nie było jej od wielu snów i jej ojciec już wyruszył na poszukiwania. Skoro Gaz za nią poszedł, to czemu nie zrobił tego wcześniej?

– Nie rozumiesz – stwierdził wojownik. – La-Ja wróciła parę snów temu i Gaz chciał ją na małżonkę; ale ona nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Kiedy chciał ją siłą zabrać do swojej jaskini, wymknęła mu się i uciekła.

– A Gaz? – zapytał von Horst.

– Poszedł za nią. Bez wątpienia już ją dopadł i jest jego kobietą. Dobrze, żeby dziewczyna, zwłaszcza córka wodza, okazała charakter. Gaz będzie ją bardziej za to lubił. Te, które łatwo zdobyć, nie są tak długo lubiane, jak te odporne. Może La-Ja uciekła tylko poza wioskę i potem czekała na Gaza. Wiele dziewczyn tak robi.

– W którą stronę poszła? – zapytał ponownie von Horst; głos miał ochrypły i wiązał mu w krtani.

– Gdybyś wiedział, co dla ciebie korzystne, nie wtrącałbyś się teraz, tylko czekał aż Gaz wróci. Wtedy i tak będzie zły. Na twoim miejscu, obcy przybyszu, uciekłbym z Lo-har najdalej jak się da przed powrotem Gaza.

– W którą stronę poszła? – powtórzył von Horst.

Wojownik potrząsnął głową.

– Tam – wskazał w górę kanionu. – Za rozwidleniem w górze kanionu jest piękna kotlina. Miejsce, do którego mężczyzna mógłby zabrać swoją kobietę, albo kobieta zwabić swojego mężczyznę.

Von Horst zadrżał. Potem bez słowa ruszył w górę kanionu, ku pięknej kotlinie, do której kobieta mogłaby zwabić swojego mężczyznę.

Wojownik i Daj stali, patrząc za nim. Daj potrząsnął głową.

– Jakie to smutne. Jest wielkim wojownikiem i dobrym przyjacielem.

Wojownik wzruszył ramionami.

– Co za różnica? – zapytał. – Po prostu Gaz zabije go trochę wcześniej i tyle.

Von Horst wdrapywał się na stromiznę w górze kanionu; jego myśli były kłębowiskiem nadziei, lęków i pasji – miłości i gniewu. Nie został ślad po stuleciach cywilizacji: był teraz najprawdziwszym jaskiniowcem z epoki kamienia. Wypatrywał rywala, przepełniony żądzą mordy, jak robiłby to jakiś prymitywny przodek w zewnętrznym świecie. A kobietę, którą kochał, wziąłby teraz czy tego by chciała, czy nie.

Ze szczytu spojrzął w najpiękniejszą kotlinę, jaką kiedykolwiek widział, ale ledwo rzucił na nią okiem. Szukał wzrokiem czegoś o wiele piękniejszego. Schodząc w kotlinę, wypatrywał śladu, w którą stronę poszli tamci i wreszcie znalazł dobrze widoczną ścieżkę wydeptaną przez zwierzęta, wijącą się z biegiem strumyka, płynącego ku większej rzece, ledwo widocznej w mglistej dali. Od czasu do czasu widać było ślad drobnej, obutej w sandał stopy, często przykryty odciskiem dużej stopy, mogącej należeć tylko do rosnącego mężczyzny.

Von Horst puścił się kłusem. Chciał zawołać dziewczynę, lecz wiedział, że mu nie odpowie nawet jeśli go usłyszy, bo czyż wyraźnie nie dała do zrozumienia, że jego miłość nie wzbudza takiego samego uczucia. Zastanawiał się, gdzie się podziała jego duma, że ściga kobietę, która go

nienawidzi i zamierza wziąć ją siłą, wbrew jej woli. Dumał, że powinien się wstydzić, ale się nie wstydził. Przez chwilę był zdumiony, a potem sobie uświadomił, że się zmienił – że nie był tym samym mężczyzną, który Bóg raczy wiedzieć jak dawno temu wszedł do wewnętrznego świata. Zmieniło go środowisko – barbarzyński Pellucidar uznał go za swoją własność.

Sama myśl o Gazie wprawiała go w furję. Uświadomił sobie, że nienawidził tego człowieka dłużej, niż zdawał sobie z tego sprawę. Nie bał się go, jak nie bał się śmierci. Może to ona nie pozwalała mu bać się Gazy, bo słyszał, że ten człowiek zwiastuje śmierć.

Podążał równym tempem. Nie miał jak się zorientować, jak daleko przed nim byli. Ile prawdy lub fałszu było w insynuacjach wojownika, co posłał go na szlak, którego się nawet nie domyślał; sama myśl o nich doprowadzała go do szału, myśl, że może się spóźnić. Ale najgorsza była ta, że La-Ja przysłała z własnej woli i czekała. Powiedziała mu, że ma obowiązek związać się z wielkim wojownikiem; czemu nie Gazem? Von Horst głośno jęknął i przyspieszył. Jeśli jakiś człowiek cierpiał kiedyś jak potępieniec, to z pewnością on.

Dotarł do miejsca, gdzie ścieżka się rozwidlała; węższa, słabiej wydeptana, skręcała w prawo, ku strumieniowi płynącego po jego prawej. Dokładnie się przyjrzał i uznał, że tych dwoje wybrało słabiej widoczną ścieżkę i w błocie na obu brzegach rzeki, przy przeprawie, znalazł trop, tym razem wyraźniejszy. Z tego miejsca szlak prowadził wprost do wejścia do małego bocznego kanionu; potem musiał już tylko iść w jego głąb. Usłyszał przed sobą jakiś hałas i ochryply głos krzyczącego coś mężczyzny. Nie mógł rozróżnić słów. Głos dochodził zza zakrętu kanionu; krzyczącego nie było widać.

Teraz powinien by zachować ostrożność, ale tego nie zrobił. Jeszcze przyspieszył, za nic mając ostrożność. I zniemacka natrafił na Gazy i La-Ja.

Ta ostatnia niepewnie się trzymała na wąziutkiej półce na wyniosłej skarpie. Stopy tkwiły na tej wąskiej podporze, ciało przyciskała do ściany klifu; rozpostarła ramiona i mocno przywarła dłońmi do twardego kamienia. Gaz, nie mogąc się wspiąć na klif, stał pod nim i wywrzaskiwał rozkazy, żeby La-Ja do niego zeszła. Von Horst na ich widok odetchnął z ulgą – nie spóźnił się!

Gaz nagle podniósł kamień i cisnął nim w La-Ja.

– Złaź! – zaryczał. – Bo cię strącę!

Kamień uderzył w skarpę tuż obok głowy dziewczyny. Gaz schylił się po następny.

Von Horst krzyknął na niego i tamten się odwrócił, zaskoczony. Człowiek z zewnętrznego świata sięgnął przez ramię po strzałę. Nie miał żadnych skrupułów, żeby zastrzelić osobę, zbrojną jedynie w dzidę i kamienny nóż. Ku swojemu zdziwieniu stwierdził, że kołczan jest pusty. Gdzie się podziały strzały? Był pewien, że je miał, kiedy wchodził do wioski. Potem sobie przypomniał, jak tubylcy go potracali, kręcąc się wokół niego. Pewnie wtedy ktoś mu zabrał strzały.

Gaz wojowniczo kroczył ku niemu.

– Ktoś ty? Czego tu szukasz?

– Przyszedłem po ciebie, Gaz. Przyszedłem cię zabić i wziąć sobie dziewczynę.

Gaz ryknął i podszedł. Uznał, że to wielki żart, że jakiś wojownik kwestionuje jego przewagę. La-Ja na tyle odwróciła głowę, że mogła spojrzeć w dół. Co poczuła, rozpoznając von Horsta (a musiała go od razu poznać)? Któż to wie? Po prawdzie, to nie dała po sobie poznać, że go zobaczyła. Lecz chwilę później, kiedy na moment spuścił z oczu Gaza, zobaczył, że dziewczyna schodzi. Nie miał pojęcia, co zamierzała. Może

chciała pomóc w walce mężczyźnie, którego wybrała? A może chciała uciec, korzystając z tego, że obaj mężczyźni szykowali się do bitki?

– Kim jesteś? – zapytał Gaz. – Nigdy wcześniej cię nie widziałem.

– Jestem von Horst, a La-Ja jest moją kobietą – warknął ten drugi.

– Wiesz, kim jestem?

– Facetem, dla którego przemierzyłem cały świat, żeby go zabić – odrzekł von Horst. – Jesteś Gaz.

– Odejdź! – krzyknęła La-Ja. – Odejdź, zanim Gaz cię zabije! Nie chcę cię! Nawet gdybyś zabił tysiąc Gazów, nie będę twoja. Uciekaj! Uciekaj, póki możesz!

Von Horst przyjrzał się Gazowi. To był monstrualny mężczyzna; ogromny, brodaty facet, mogący ważyć sporo ponad trzysta funtów. Sprawiał wrażenie brutalnego, grubiańskiego i odpychającego. Zaatakował porucznika, szczerząc szczerbate zęby. Ten ostatni się nie przestraszył. Już wcześniej miał do czynienia z wojownikami z epoki kamienia. Nie byli wyszkoleni; a wielkie, włochate cielska niektórych z nich sugerowały krzepę o wiele większą niż ta, którą naprawdę mieli. Von Horst się przekonał, że jest silniejszy od wszystkich, których spotkał. Górowali nad nim tylko wagą; co nie zawsze dawało im przewagę, bo zmniejszało ich zwinność.

Von Horst nie miał już cierpliwości do La-Ja. Chciał najszybciej jak się da skończyć z Gazem i wziąć dziewczynę w karby. Rozważał nawet sprawienie jej porządnego lania. Uważał, że sobie na nie zasłużyła. Rozumował jak ktoś z epoki kamienia.

Kiedy Gaz się na niego rzucił, von Horst wymierzył mu potężny cios w twarz, usuwając się z drogi wielkiemu cielsku. Gaz się zachwiał i zawył z wściekłości. Kiedy zawrócił, żeby znowu zaatakować von Horsta, dobył zza przepaski biodrowej kamiennego noża. On też chciał od razu zakończyć

pojedynek, bo doprowadzało go do szału to, że ten mały obcy stawiał mu czoło i zadał w tej walce pierwszy cios – a wszystko to na oczach kobiety, którą sobie wybrał. Jeśli to się powtórzy, to stanie się pośmiewiskiem całej wioski.

Von Horst zobaczył nóż w dłoni Gaza i dobył swojego. Tym razem czekał, a Gaz wolniej podchodził. Kiedy się znalazł blisko porucznika, skoczył, wymierzając nożem potężny cios w pierś przeciwnika. Von Horst sparował go lewym ramieniem i wbił nóż w bok Gaza, potem odskoczył. Ale wtedy zawadził stopą o sterczący z ziemi kamień i się przewrócił. Gaz natychmiast znalazł się na nim, przyduszając cielskiem. Jedna wielka łapa sięgnęła do gardła von Horsta, druga chciała mu wbić nóż w serce.

Europejczyk złapał go za przegub, powstrzymał opadający nóż. Lecz Gaz dusił go drugą łapą, próbując uwolnić prawą rękę i wbić przeciwnikowi nóż w serce. Von Horst padając upuścił własny nóż. Trzymając broń Gaza z dala od siebie, wodził dłonią po ziemi, szukając własnego noża. Od czasu do czasu przerywał poszukiwania, żeby wymierzyć Gazowi potężny cios w twarz – ten zawsze wtedy luzował chwyt na gardle, co pozwalało von Horstowi zaczerpnąć powietrza; lecz człowiek z zewnętrznego świata uświadomił sobie, że szybko słabnie i jeśli nie znajdzie noża, to koniec nastąpi niedługo.

Ponownie mocno przyłożył Gazowi i kiedy znowu zaczął szukać noża, tym razem natrafił na niego od razu, jak gdyby ktoś mu go podłożył. Nie szukał wyjaśnienia – najważniejsze, że miał nóż.

Zobaczył jak Gaz patrzy za siebie i usłyszał, jak klnie. Potem głęboko wbił nóż w bok jaskiniowca. Ten wrzasnął, puścił gardło von Horsta i spróbował chwycić go za rękę z nożem. Lecz przeciwnik mu na to nie pozwolił i raz za razem wbijał kamienny nóż w krwawiący bok.

Potem Gaz próbował się podnieść i odsunąć od von Horsta, ale ten chwycił go za brodę i przytrzymał. Bez przerwy dźgał go nożem. Ryki i wrzaski Gaza cichły. Jego ciało zaczęło wiotczeć, wreszcie po raz ostatni zadygotało i upadło na zwycięzcę.

Von Horst zepchnął je na bok i wstał. Zadyszany i zakrwawiony, rozejrzał się za kobietą – teraz jego kobietą. Stała w pobliżu, szeroko otwierając oczy, pełna niedowierzania. Powoli do niego podeszła.

– Zabiłeś Gaza! – wyszeptała z trwożliwym podziwem.

– No i co z tego? – zapytał.

– Nie myślałam, że ci się uda. Sądziłam, że to on zabije ciebie.

– Przykro mi, że cię zawiodłem – prychnął. – Ciekaw jestem, czy zdajesz sobie sprawę, co to oznacza.

– Nie jestem rozczarowana. A co to oznacza?

– To oznacza, że zamierzam cię wziąć. Jesteś moja. Rozumiesz?
JESTEŚ MOJA!!!

Uśmiech pojawił się powoli, jak słońce przebijające się przez chmurę wątpienia.

– Byłam twoja niemal od początku, ale byłeś za głupi, żeby to zrozumieć.

– Co takiego? – wyjąkał. – O czym mówisz? Tylko mnie odtrącałaś i próbowałaś od siebie przepędzić. Uciekłaś, kiedy spałem, a przedtem skierowałaś mnie w złą stronę.

– Tak, zrobiłam to wszystko. Bo cię kochałam. Wiedziałam, że gdybym ci powiedziała, że odwzajemniam twoją miłość to poszedłbyś za mną do Lo-har. Sądziłam, że gdybyś tu przyszedł, to by cię zabito. Skąd mogłam wiedzieć, że pokonasz Gaza, którego wcześniej nikt nie potrafił uśmiercić?

– La-Ja! – wyszeptał i przytulił ją.

Razem wrócili do wioski w Lo-har. Otoczyli ich wojownicy i kobiety.

– Gdzie Gaz? – zapytali.

– Nie żyje – odrzekła La-Ja.

– To nie mamy wodza.

– Oto wasz wódz – oznajmiła dziewczyna, kładąc dłoń na ramieniu von Horsta.

Jedni wojownicy się śmiali, inni gderali.

– To obcy. Cóż takiego zrobił, że powinien być wodzem?

– Kiedy Brun odszedł, pozwoliliście Gazowi być wodzem, bo się go baliście. Nienawidziliście go i był marnym wodzem, lecz żaden z was nie miał śmiałości spróbować go zabić. Von zabił Gaza w uczciwym pojedynku na noże i wziął na żonę córkę waszego wodza. Który wojownik spośród was lepiej się nadaje na wodza do powrotu Bruna niż Von? Jeśli ktoś jest innego zdania, niech wystąpi i walczy z Vonem gołymi rękami.

I tak porucznik Frederich Wilhelm Eric von Mendeldorf und von Horst został wodzem mieszkańców jaskiń w Lo-har. Był mądrym wodzem, bo łączył nabytą psychikę jaskiniowca z cenną wiedzą z innego świata. Stał się dla nich niemal bogiem i już nie żałowali utraty Bruna.

Po jakimś czasie pojawiły się pogłoski o dziwnych ludziach, którzy pojawili się z południa. Mieli broń, której nie mógł się oprzeć żaden człowiek czy zwierzę – robiła wielki hałas, pluła dymem i zabijała na odległość.

Kiedy von Horst usłyszał te wieści, zadrżał z emocji. Ci ludzie mogli być tylko członkami ekipy, która przybyła z zewnętrznego świata w wielkim sterowcu O-220 – jego przyjaciółmi. Bez wątpienia szukali go. Przywołał swoich wojowników.

– Zamierzam się spotkać z tymi obcymi, o których dotarły do nas wieści. Myślę, że to moi przyjaciele. Lecz jeżeli nimi nie są, to swoją

bronią będą w stanie zabić wielu z nas, zanim podejdziemy na tyle blisko, żeby ich zabić. Ilu chce ze mną pójść?

Wszyscy się zgłosili, ale wziął tylko około pięćdziesięciu i kiedy wyruszyli, mogli się kierować wyłącznie niejasnymi pogłoskami. Lecz idąc na południe i rozmawiając z ludźmi z innych plemion, których pojмали po drodze te wieści stawały się coraz dokładniejsze. Wreszcie wrócili zwiadowcy von Horsta i donieśli, że widzieli grupę ludzi, co rozbili obóz nad rzeką, całkiem blisko.

Jaskiniowcy z Lo-har, dowodzeni przez von Horsta, podkradli się do obozu obcych. Porucznik zobaczył uzbrojonych mężczyzn; mieli strzelby i pasy na naboje. Układ obozu, panująca w nim dyscyplina, wartownicy i wojskowy duch upewniły go, że ci ludzie mieli kontakt z cywilizacją. Ale wciąż był za daleko, żeby rozpoznać twarze; o ile były tam jakieś znajome. Jednego był pewien – to nie była ekipa z O-220.

Przez chwilę szeptał do swoich wojowników; potem wstał i powoli poszedł w stronę obozu. Zrobił ledwie parę kroków na otwartej przestrzeni, kiedy dostrzegli go wartownicy i podnieśli alarm. Von Horst zobaczył pojawiających się w obozie ludzi, patrzących w jego stronę. Uniósł obie ręce nad głowę, na znak, że przybywa w pokoju. Nikt się nie odezwał, kiedy szedł przez otwarty teren na obrzeże obozu; potem z radosnym okrzykiem wybiegł jakiś człowiek.

– Von!

Dopiero po chwili porucznik się zorientował, kto wykrzyknął jego imię – to był Dangar; a za nim stali Thorek, Lotai i Mumal. Von Horst był zdumiony. Jak oni się spotkali? Kim byli ci uzbrojeni mężczyźni?

Podszedł do nich wysoki, przystojny mężczyzna.

– Porucznik von Horst? – zapytał.

– Tak. A pan?

– David Innes. Kiedy O-220 wrócił do zewnętrznego świata, a Jason Gridley postanowił do nich dołączyć, kazał mi obiecać, że zorganizuję wyprawę i poszukam pana. Zrobiłem to natychmiast po powrocie do Sari. Nie szczęściło mi się, póki jeden z moich ludzi nie spotkał Dangara, wracającego po długiej nieobecności do Sari. Zaprowadził nas do Lasu Śmierci. Kiedy przez niego przeszliśmy, nie mieliśmy pojęcia, w którą stronę iść, póki nie natrafiliśmy na Thoreka, Lotai i Mumal, uciekających z krainy ludzi-mamutów. Powiedzieli nam, iż wierzą, że i tobie udało się uciec i ich zdaniem możesz szukać Lo-har. Nigdy nie słyszeliśmy o Lo-har, ale udało się nam pojmać więźnia, który wiedział, w jakim kierunku leży ta kraina. Potem trafiliśmy na człowieka zwanego Skruf, którego zraniłeś strzałą. Obiecaliśmy mu ochronę i skierował nas do wioski ludzi-bizonów. Zbliżaliśmy się do Lo-har, ale wciąż trudno było je znaleźć. Ci ludzie znali tylko ogólny kierunek, w jakim się znajdowało. Cała nasza nadzieja była w schwytaniu Lo-harianina. Zrobiliśmy to przed ostatnim snem. Jest teraz z nami i wbrew swojej woli prowadzi nas ku swojej krainie, bo sądzi, że zwrócimy się przeciwko niemu i jego ludziom.

– Kto to jest? – zapytał von Horst.

– To Brun, wódz Lo-harian – odpowiedział Innes.

Von Horst dał znak swoim współplemieńcom, żeby przyszedli do obozu i poprosił, żeby przyprowadzono Bruna. Innes posłał po niego, zawiadamiając, że zjawilo się trochę jego ludzi. Lecz kiedy Brun przyszedł i zobaczył von Horsta, dumnie się wyprostował i odwrócił do niego plecami.

– Nie znam tego człowieka – oznajmił. – On nie jest z Lo-har.

– Spójrz na tych, co się zbliżają, Brunie – podpowiedział von Horst. – Rozpoznasz wszystkich, a zwłaszcza La-Ja.

– La-Ja! – wykrzyknął wódz. – A już myślałem, że nie żyje. Wszędzie jej szukałem.

Ludzie z Lo-har w przyjaźni obozowali z ludźmi z Sari. Było wiele rozmów, zjedzono mnóstwo stawy i dwa razy spano w tym samym obozie, zanim postanowiono go zwinąć.

– Wrócisz z nami do Sari, poruczniku? – zapytał Innes. – Gridley lada chwila może wrócić z nową wyprawą. To może być twoja jedyna szansa powrotu do zewnętrznego świata.

Von Horst spojrział na małą, złotowłosą dziewczynę-jaskiniowca, obgryzającą kość.

– Wcale nie jestem pewien, czy zależy mi na powrocie do zewnętrznego świata – odpowiedział.